

Polska Zbrojna

NR 8 (832) SIERPIEŃ 2015

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524



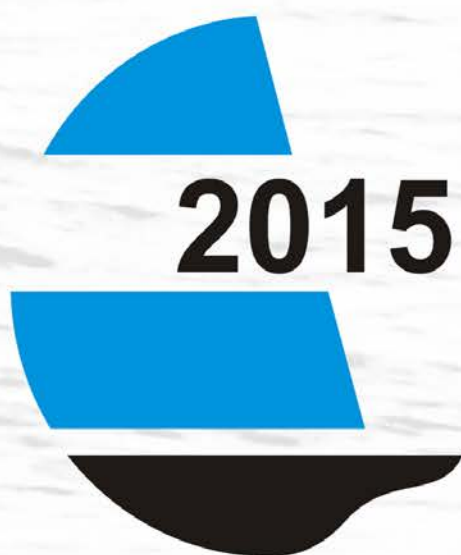
MYŚLIWSKA DROGA

WITOLD HERBST
I MIROSŁAW FERIĆ:
BOHATEROWIE DYWIZJONU 303

PODOFICEROWIE SZKOLĄ ŻOŁNIERZY I PROWADZĄ DO BOJU



**7-9 WRZEŚNIA
2015**



BALTEXPO

XVIII MIĘDZYNARODOWE TARGI MORSKIE

- NOWOCZESNY PRZEMYSŁ OKRĘTOWY I OFFSHORE
- LOGISTYKA I ROZWÓJ PORTÓW MORSKICH
- BEZPIECZEŃSTWO WYBRZEŻA, PORTÓW I ŻEGLUGI

WIĘCEJ INFORMACJI I REJESTRACJA UCZESTNIKÓW:

WWW.BALTEXPO.ZTW.PL



**PONAD
300
WYSTAWCÓW**

**3 DNI
KONFERENCJI**

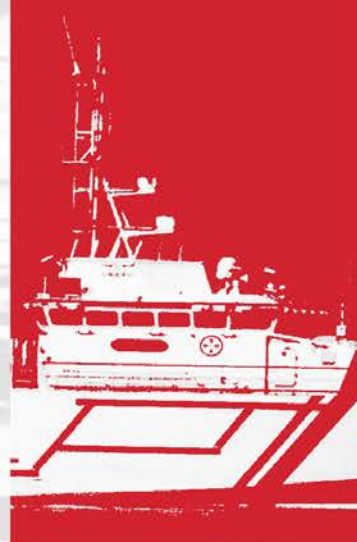
W TYM:

**NOWOCZESNY PRZEMYSŁ
OKRĘTOWY I OFFSHORE
W POLSCE**

8.09.2015

**BEZPIECZEŃSTWO
WYBRZEŻA,
PORTÓW I ŻEGLUGI**

9.09.2015



**PATRONAT
MEDIALNY**

polskaZbrojna



WOJCIECH KISS-ORSKI

GŁÓWNY TEMAT NINIEJSZEGO NUMERU „POLSKI ZBROJNEJ” POŚWIĘCAMY PROBLEMOM PODOFICERÓW W NASZYM WOJSKU.

Jeden z pięciu starszych chorążych sztabowych uczestniczących w redakcyjnej debacie mówi, że ścieżka rozwoju podoficerów w Polsce wymaga zmian i modyfikacji, co dowodzi, że system ciągle jest w budowie i daleko mu do doskonałości. Warto więc pamiętać, że mamy własne, bardzo ciekawe doświadczenia z funkcjonowania korpusu podoficerskiego w dwudziestolecie międzywojennym (zlepionego przecież z trzech zaborczych armii), które sprawdziły się w wojnie obronnej w 1939 roku. Czasy to może odległe, ale to właśnie już wtedy, o czym zaświadczały analizy socjologiczne wojska i wojny, utrwaliło się przekonanie, że podoficerowie to sól wojska. Oni bowiem oddziałują na szeregowych, ale bez nich nic nie znaczą, i na oficerów, którzy z kolei sami też nic nie robią. To przekonanie, jak wynika z zamieszczonych na kolejnych stronach artykułów, powoli zaczyna być w polskiej armii coraz popularniejsze.

Tak samo jak to, że dosłowne kopiowanie wzorców amerykańskich – skądinąd w wielu wypadkach wartościowych – nie zawsze sprawdza się na polskim gruncie. Chociażby dlatego, że z różnic podyktowanych historią obu krajów wynikają także wyraźne i oczywiste odrębności mentalnościowe.

➤ Więcej o podoficerach na stronach 14–31



nr 8 (832)
sierpień 2015



Zdjęcie na okładce:
Sławomir Hesja
Krajniewski

DEBATA „POLSKI ZBROJNEJ”

14 | Podoficerem być

O problemach żołnierzy, którzy są kręgosłupem każdej armii.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

24 | Akademia sierżantów

Refleksje st. chor. sztab.
Andrzeja Woltmana po
studiach za oceanem.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

28 | Jestem lepszym dowódcą

Amerykański kurs dla
najlepszych piechocińców.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

30 | Dyplomowany komandos

Pierwszy Polak, który ukończył
Uniwersytet Podoficerów
Starszych Sił Specjalnych USA.



armia

BARTOSZ BERA

NORBERT BĄCZYK

32 | Czekając na caracalą

Pałaca potrzeba wymiany floty śmigłowców.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

38 | ORP „Ślężak”, czyli początek drogi

Znaczący krok w modernizacji marynarki
wojennej.



arsenał

USAF

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

42 | Sekcja entuzjastów

Pomysł ppłk. Andrzeja Demkowicza
na szkolenie wysokogórskie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

46 | Żandarm na misji

Czym zajmowali się polscy żołnierze
w Republice Środkowoafrykańskiej?

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

50 | Dziękuję Ci, mamo

Uczą się żyć na nowo po stracie
męża, syna, ojca...

PAULINA GLIŃSKA

54 | Od urzędu do korporacji

Od internatu do własnego „M”.

JAROSŁAW RYBAK

57 | Tajne twarze

Czy specjaliści powinni się pokazywać
publicznie?

TADEUSZ WRÓBEL

58 | Wyścig bombowców

Zbrojeniowa rywalizacja trzech
mocarstw.



76 | Zła passa reżimu
Trwający od ponad czterech lat konflikt w Syrii jest jak węzeł, który coraz trudniej rozsupłać.

76 | Gęsta sieć milicji
Irak broni się przed Państwem Islamskim.

79 | Zderzenie wewnątrz cywilizacji
Drugie spojrzenie na irackie milicje.

82 | Wielka gra w kraju gór
Walka o wpływ w Azji Centralnej.

85 | Pieśń na wiele głosów
Podsumowanie czerwcowego szczytu Unii Europejskiej.

88 | Znikająca armia
Amerykańskie wojska lądowe mają coraz mniej żołnierzy.

91 | Nowa twarz Japonii
Koniec z polityką neutralności w Kraju Kwitnącej Wiśni.



94 | Myśliwska droga
Witold Herbzt z Dywizjonu 303.

104 | Mieliśmy dość egzekucji
Westyna Gójska wspomina powstanie warszawskie.

107 | Ostatni szturm „Lisa Pustyni”
Nieudana kampania gen. Rommla.

112 | Z bagien na ocean
Niezwykłe maszyny – amfibie gąsienicowe.



116 | Denali znacząca wysoka
Ekpa Denali Polish Expedition o wyprawie na McKinleya.

124 | W rytmie marsza
Wspominamy Festiwal Orkiestr Wojskowych w Warszawie.

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: 261 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Piotr Bernabik, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: 261 845 244, 261 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendeck, tel.: 725 880 221;
Norbert Bączek, Rafał Ciastoń, Robert Czulda, Jerzy Eisler,
Andrzej Fajara, Grzegorz Janiszewski, Włodzimierz Kaleta,
Ewa Korsak, Tomasz Otłowski, Bogusław Politowski,
Witold Repetowicz, Marek Rogusz, Jarosław Rybak,
Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Łukasz Zalesiński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: 261 845 170

FOTODYTOR
Andrzej Witkowski, tel.: 261 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Piotr Jaszczuk (kierownik), Anita Kwatrowska (tłumacz),
Aneta Rosiak, Małgorzata Szustkowska, Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
Elżbieta Toczec, tel. 261 840 400,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: 22 389 65 87, 500 259 909,
faks: 22 301 86 61; biuro@toplogic.pl

Numer zamknięto: 24.07.2015 r.

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

kadr

ŻOŁNIERZE 9 KOMPANII 3 BATALIONU PIECHOTY ZMOTORYZOWANEJ
17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej podczas szkolenia
na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych w Ustce





MICHAŁ
WAJNGHOLD
/ KLUB DOWÓDZTWA
SIL SPECJALNYCH
USTKA

Święto Wojska Polskiego



**Tomasz
Siemoniak**

**wiceprezes Rady Ministrów
minister obrony narodowej**

Żołnierze i pracownicy wojska

Jak co roku, 15 sierpnia obchodzimy Święto Wojska Polskiego. To ważna data w kalendarzu każdego, kto czuje się związany z armią. Tego dnia oddajemy cześć wszystkim, którzy walczyli za Ojczyznę w całej naszej historii. Tegoroczne obchody mają jeszcze dodatkowy wymiar, gdyż przypadają w 95. rocznicę Bitwy Warszawskiej – jednego z najważniejszych triumfów w historii polskiego oręża i naszej walki o niepodległość. Z tej okazji składam serdeczne podziękowania wszystkim, którzy swoją codzienną służbą i pracą przyczyniają się do rozwoju naszych współczesnych sił zbrojnych. Wasz trud i zaangażowanie sprawiają, że odczuwamy dumę z armii, jaką dziś posiada Rzeczpospolita. Życzę wszystkim wytrwałości oraz satysfakcji ze służby i pracy dla dobra armii i naszej Ojczyzny.



**gen.
Mieczysław
Gocuł**

**szef Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego**

Święto Wojska Polskiego obchodzone w rocznicę Bitwy Warszawskiej upamiętnia wielkie zwycięstwo naszego oręża. Heroizm tamtych dni jest źródłem patriotycznych treści. Wyznacza wzór poświęcenia, odwagi, pozostaje drogowskazem w służbie współczesnych żołnierzy. Przywołując wydarzenia z sierpnia 1920 roku, pamiętajmy, że wolność i niepodległość stanowią dla Polaków wartość najwyższą. Dynamika zmian w środowisku bezpieczeństwa nakazuje stałą, wykraczającą poza tradycyjnie rozumiane granice, troskę o sprawę obronności Polski.

Z okazji święta dziękuję żołnierzom Wojska Polskiego za wysiłek, zaangażowanie oraz oddanie żołnierskiej powinności. Życzę wytrwałości i satysfakcji z dobrze pełnionej służby. Serdecznie pozdrawiam weteranów, kombatanów i żołnierzy rezerwy. Słowa uznania kieruję do pracowników Wojska Polskiego. Pozdrawiam żołnierskie rodziny.

Życzę środowisku wojskowemu niezawodnego zdrowia, szczęścia oraz wszelkiej pomyślności.



**gen. dyw. dr
Mirosław
Różański**

**dowódca generalny
rodzajów sił zbrojnych**

Z okazji Święta Wojska Polskiego dziękuję wszystkim żołnierzom i pracownikom wojska oraz rezerwistom, weteranom i ich rodzinom za rzetelną, pełną zaangażowania służbę i pracę dla Polski – dla jej codziennej pomyślności i trwałego bezpieczeństwa. W dniu, który przypomina nam o jednym z najznamienitszych triumfów w historii naszego oręża, życzę wszystkim Państwu sukcesów w budowaniu potencjału obronnego Ojczyzny oraz dumy ze służby w coraz nowocześniejszych i lepiej wyszkolonych siłach zbrojnych. Życzę zdrowia, pomyślności osobistej, szczęścia, a przede wszystkim nieustającej satysfakcji z przynależności do naszej wielkiej wojskowej rodziny.



**gen. broni
Marek
Tomaszewski**

**dowódca operacyjny
rodzajów sił zbrojnych**

Wkalendarzu 15 sierpnia to data szczególna, symbolizująca chwałę oręża polskiego. Dla nas, żołnierzy, to fundament, na którym budujemy swoje oddanie w służbie i przywiązanie do Ojczyzny.

W dniu Święta Wojska Polskiego składam najlepsze życzenia żołnierzom i pracownikom wojska służącym w odległych rejonach świata oraz wykonującym obowiązki w kraju. Wyrażam podziękowania kombatanom, weteranom misji poza granicami kraju, rezerwistom, emerytom, którzy, pełniąc służbę, zapisywali chwalebne karty dziejów Wojska Polskiego. Jednocześnie życzę Wam zdrowia i pogody ducha. Szczególnie serdeczne słowa kieruję do rodzin żołnierzy i pracowników wojska, którzy oddali swoje życie, niosąc innym ludziom pokój, bezpieczeństwo i nadzieję na lepsze jutro.

Wszystkim Wam życzę wszelkiej pomyślności, zdrowia, hartu ducha i wielu sukcesów zawodowych oraz wszystkiego najlepszego. To Wasza praca i poświęcenie pozwalają nam wspólnie wypełniać zadania dla dobra Ojczyzny i Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.



A. ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ

Zostajemy pod Hindukuszem

Prawie 200 żołnierzy i pracowników wojska weźmie udział w II zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie w natowskiej misji „Resolute Support”. Prezydent Bronisław Komorowski podpisał postanowienie o przedłużeniu użycia naszych wojsk w tej operacji do 31 grudnia 2015 roku.

Misja została podjęta przez NATO 1 stycznia 2015 roku, po zakończeniu operacji prowadzonej przez ISAF. Na zaproszenie władz afgańskich siły między-

narodowe kontynuują zadania szkoleniowe, doradztwo i wsparcie afgańskich sił bezpieczeństwa. Głównym celem jest przygotowanie dowództw afgańskich służb: wojska, policji i służb specjalnych do samodzielnego kierowania i zarządzania działaniami na rzecz bezpieczeństwa obywateli Afganistanu. Jak podaje Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, operacja ma charakter doradczy i podczas jej trwania polscy żołnierze nie biorą udziału w działaniach bojowych. A D ■

Dane z pola walki

Żołnierze będą mieli sieciocentryczny system wsparcia dowodzenia.

Inspektorat Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej rozpoczął postępowanie na dostawę systemu zarządzania walką szczebla batalionu „Rosomak BMS”. Chodzi o sieciocentryczny system wsparcia dowodzenia klasy C4ISR (to akronim angielskich słów, oznaczających: dowodzenie, kontrola, łączność, komputery, wywiad, obserwacja i rekonasans). Dzięki niemu dowódcy różnych szczebli dostaną na bieżąco informacje o sytuacji na polu walki.

O zamówienie mogą się ubiegać wyłącznie podmioty krajowe. Ponieważ postępowanie jest związane z ochroną podstawowego interesu bezpieczeństwa

państwa, nie ma w tym wypadku zastosowania ustawa o zamówieniach publicznych. Zawarcie umowy przewiduje się w pierwszym kwartale 2016 roku.

Pierwsze brygady zmechanizowane, które dysponują transporterami Rosomak, zostaną wyposażone w system BMS za dwa lata. Wartość kontraktu może przekroczyć miliard złotych. Na razie umowa zakłada zainstalowanie systemu w 308 rosomakach. Przedstawiciele Inspektoratu Uzbrojenia podkreślają jednak, że wieloletnie plany MON-u przewidują, iż BMS trafi aż do 4500 pojazdów, wozów bojowych i czołgów w polskiej armii. P.Z., K.W. ■

JAK WAM
SIE CZYTA

**„Polskę
Zbrojną”?**

POLSKAZBROJ

Na stronach 145–146
znajdziecie ankietę,
dzięki której
będziecie mogli
się z nami podzielić
opiniami o portalu
i miesięczniku.

Zapraszamy!

Czytelnicy,
którzy odpowiedzą
na pytania, wezmą
udział w konkursie
z nagrodami.



Czas ochotników

Tysiące chętnych do wojskowego przeszkolenia.

Ponad 11 tys. osób zgłosiło się do wojskowych komend uzupełnień, aby przejść szkolenie w jednostkach. Jest to odpowiedź na ogłoszoną w marcu 2015 roku przez resort obrony akcję „Czas ochotników”, skierowaną do wszystkich, którzy chcieliby odbyć ćwiczenia wojskowe. Część deklarujących taką chęć to re-

zerwiści, którzy pragną zdobyć nowe umiejętności i podtrzymać już nabyte. Drugą grupę stanowią osoby, które nie miały dotąd nic wspólnego z wojskiem i są gotowe na tygodniowe ćwiczenia. Kolejne 4 tys. zarejestrowanych zgłosiło, że chce wziąć udział w pełnym, czteromiesięcznym szkoleniu.

Jak zapowiedział minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak, wojsko przygotuje dla ochotników odpowiedni program szkoleniowy i wpisze ich w system bezpieczeństwa państwa. „W drugiej połowie roku rozpoczniemy działania, w których ochotnicy będą uczestniczyć”, mówił szef MON. PZ, JT, AD. ■

Centralne obchody Święta Wojska Polskiego oraz 95. rocznicy Bitwy Warszawskiej – Warszawa 15 sierpnia

W programie m.in.:

parada wojskowa Alejami Ujazdowskimi z udziałem wojskowych pododdziałów pieszych oraz współczesnego sprzętu wojskowego, w tym przelot statków powietrznych;

festyn żołnierski na błoniach PGE Narodowego, w czasie którego organizatorzy przygotowali:

- statyczny pokaz współczesnego i historycznego sprzętu wojskowego,
- prezentację wyszkolenia żołnierzy 25. Brygady Kawalerii Powietrznej,
- saperski tor przeszkód i miasteczko militarne dla dzieci,
- pokaz umiejętności kulinarnych reprezentacji kucharzy Wojska Polskiego,
- spotkanie z żołnierzami-sportowcami, reprezentantami Polski,
- występ Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego WP, artystów amatorów z klubów wojskowych, a także koncert zespołu „Bracia”

...oraz wiele innych atrakcji.



Szczegółowy program obchodów święta będzie dostępny na stronie www.polska-zbrojna.pl oraz innych stronach resortu obrony narodowej.



15 SIERPNIA 2015

95

**ROCZNICA
BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 ROKU**

**ŚWIĘTO WOJSKA
POLSKIEGO**

STUDIA PODYPLOMOWE

WOJSKOWEGO INSTYTUTU MEDYCZNEGO
I UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
ZABEZPIECZENIE MEDYCZNE SYTUACJI
KRYZYSOWYCH
KIERUNEK
BEZPIECZEŃSTWO WEWNĘTRZNE

**NOWA, JEDYNA W POLSCE, SPECJALNOŚĆ
STUDIÓW PODYPLOMOWYCH „ZABEZPIECZENIE
MEDYCZNE SYTUACJI KRYZYSOWYCH”.**

Dla kogo są te studia?

Dla funkcjonariuszy lub kandydatów na funkcjonariuszy resortu służb mundurowych. Dla żołnierzy zawodowych lub kandydatów na żołnierzy. Dla pracowników instytucji zarządzania kryzysowego i obrony cywilnej kraju. W miarę wolnych miejsc – dla innych zainteresowanych.

O przyjęcie na studia mogą ubiegać się osoby posiadające dyplom ukończenia studiów magisterskich (studiów drugiego stopnia lub jednolitych magisterskich) lub – w szczególnych przypadkach – dyplom ukończenia studiów licencjackich (studiów pierwszego stopnia).

Studia przeznaczone są dla absolwentów wszystkich kierunków i dziedzin kształcenia.

**JESTEŚ ŻOŁNIERZEM?
SFINANSUJ NAUKĘ, DOJAZD I
POBYT NA STUDIACH Z PROGRAMU
REKONWERSJI KADR.**

**NASZ KIERUNEK STUDIÓW DAJE
TAKI PRZYWILEJ ŻOŁNIERZOM,
KTÓRZY W CIĄGU DWÓCH LAT
PLANUJĄ PRZEJŚCIE DO CYWILA
LUB ZROBILI TO W CIĄGU
OSTATNIH DWÓCH LAT.**



Więcej:
[HTTP://STUDIAPODYPLOMOWE.WIM.MIL.PL/](http://STUDIAPODYPLOMOWE.WIM.MIL.PL/)



OPRAC. JAROSŁAW RYBAK, KRZYSZTOF GONTARSKI

Składy Pentagonu

Amerykanie ulokują w Polsce ciężki sprzęt wojskowy.

Zdecydowano, że na wschodniej flance NATO – w Polsce, krajach bałtyckich oraz Bułgarii i Rumunii – zostaną umieszczone składy amerykańskiego uzbrojenia. Jak pisał Ashton Carter, sekretarz obrony USA, do nowych państw członkowskich NATO oprócz bojowych wozów piechoty trafi 250 czołgów, a także sprzęt, który w razie potrzeby pozwoli wyposażać brygadę liczącą około 5 tys. żołnierzy. Zainteresowane kraje wyraziły już na to zgodę. „Jestem zadowolony z decyzji Pentagonu, która jest milowym krokiem w sojuszu między Polską i USA”, mówił minister Tomasz Siemoniak. Jego zdaniem decyduje o tym także ważna dla polskiego bezpieczeństwa, ponieważ w naszym interesie leży jak największa obecność wojsk USA w Polsce i Europie.

Na razie nie wiadomo dokładnie, ile to będzie sprzętu, jakiego rodzaju i gdzie zostanie on ulokowany. Amerykanie zdecydują także, czy uzbrojenie to będzie wykorzystywane w trakcie ćwiczeń, czy też

będzie czekało w magazynach na ewentualne użycie podczas kryzysu. Nie jest znana liczba wojskowych, którzy będą obsługiwali amerykańskie magazyny. „Będziemy negocjowali te kwestie. Jesteśmy otwarci na przyjęcie pewnej liczby żołnierzy”, stwierdził minister.

Szef MON-u poinformował, że koszty przechowania sprzętu pokryje USA. Ponieważ jednak Polsce zależy na amerykańskiej obecności na terenie kraju, jesteśmy gotowi na przykład udostępnić na magazyny nasze obiekty. Szczegóły prawne będą jeszcze ustalane podczas negocjacji.

Wojska USA od ponad roku są w Polsce obecne na stałe, m.in. w formie rotacyjnego pododdziału Aviation Detachment. W tym roku w naszym kraju będzie stacjonowało w sumie 3,7 tys.

żołnierzy z tego kraju.

W 2016 roku rozpocznie się realizacja najważniejszego amerykańskiego przedsięwzięcia, czyli budowa instalacji antyrakietowej w Redzikowie.

PZ, AD



Natowska sieć

Siły powietrzne mają nowy system teleinformatyczny.

Link 16 to jeden z kilku przyjętych przez sojusz północnoatlantyczny standardów transmisji taktycznych danych, na przykład wywiadowczych, a także rozkazów czy poleceń. Umożliwia wymianę informacji nie tylko na poziomie krajowym, lecz także z systemami dowodzenia i obrony powietrznej NATO.

W polskiej armii zaczął być wprowadzany dziesięć lat temu. Są w niego wyposażone m.in. wszystkie samoloty F-16, które używają go między innymi do komunikowania się ze statkami po-

wietrznymi innych armii sojuszu. Dzięki temu systemowi polscy piloci dostają na bieżąco dane z natowskich radarów i systemów rozpoznawczych.

Teraz siecią teleinformatyczną zbudowaną na bazie Link 16 został objęty cały kraj. Żeby jednak móc korzystać z systemu na terenie Polski, niezbędne było wybudowanie posterunków radiowych. Powstały one w Gryficach, Chruścielu, Suwałkach, Poznaniu, Łasku, Roskoszy, Krakowie i Zamościu i są podporządkowane Dowództwu Operacyjnemu Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Polska jako pierwsza z grupy krajów, które wstąpiły do NATO w 1999 roku i później, dołączyła do systemu Link 16”, podkreśla płk Jacek Zabłotny, szef Oddziału Komunikacji Społecznej DGRSZ. Wkrótce będą z niego korzystały także wojska specjalne.

PZ, KW



PIOTR
BERNABIUK

Zagubione języki

W NASZEJ, WOJSKOWEJ
CYWILIZACJI, GDZIEKOLWIEK
BYM SIĘ RUSZYŁ,
NATYCHMIAST **DOKONUJĘ
ODKRYCIA**

Dziwię się archeologom przekopującym latami piach pustyni tylko po to, żeby na starość wydłubać ząb trzonowy trzeciej żony faraona. W naszej, wojskowej cywilizacji, gdziekolwiek bym się ruszył, natychmiast dokonuję odkrycia. Często wielkiej miary!

Proszę, dopiero co odkryłem nowy język. Odbyłem długą i fachową rozmowę z ważnym szefem wojskowym (którego zresztą prywatnie szanuję) o tym, jak to będzie z armią. Oczywiście coraz lepiej! A kiedy sporządziłem z tego tekst, pogratulowano mi odkrycia nowego języka i poproszono o przetłumaczenie na tę odmianę polszczyzny, którą zrozumie nie tylko szeregowy, nawet taki z NSR-u, lecz także cywil, który przeczyta gazetę.

Cóż, to dla mnie nic nowego! Pierwszego odkrycia w dziedzinie lingwistyki dokonałem przed laty (przed wielu laty), publikując na poważanej uczelni pracę: „O tym, jak dziadek ciął komara, a kot jechał trójmiasto na wyjściowo”. Podobno byłem wówczas namierzany przez służby, bo użyłem takiego kodu, że szyfr Enigmy to była przy tym fraszka. Dziś znów nikt tego nie rozumie, bo nie ma żołnierzy służby zasadniczej. Nikt się też nie interesuje zapomnianym językiem.

W redakcji ostatnio była draka. Padły ciężkie oskarżenia o notoryczne popełnianie – przeze mnie oczywiście, bo przez kogo? – błędów oczywistości: „Trzeba czytelnikom wytłumaczyć, co to znaczy...”. No jak tłumaczyć, skoro to przecież oczywiste? Nie oczywiste jednak, bo gdy zrobiono sondę, okazało się, że młode pokolenie nie wie nawet, co to był kołchoz. Uważają, że jakaś ruska organizacja wojskowa. Próbowałem jeszcze pyskować: „Niech sobie zajrzą do internetu!”. Podałem się jednak, bo skoro nie wiedzą, co to kołchoz, to znaczy, że nic nie wiedzą.

W sumie zgadzam się z tym, że trzeba tłumaczyć. Nie wiem, czy to nadal kwestia językowa, w pewnym sensie tak, ale jakiś czas temu miałem taką oto sytuację. Otóż zaprzyjaźniony żołnierz – dowódca szczebla taktycznego – podczas oficjalnej rozmowy użył szyfru! Najpierw opowiedział, czego to ostatnio nie dokonał, jak genialne projekty odkopał i zaczął rozwijać, a potem... Potem usłyszałem: „O mnie wspomnij tylko enigmatycznie [znowu ta Enigma], gdzieś na marginesie, a koniecznie wyeksponuj słowa, że wszystko, czego dokonaliśmy, zawdzięczamy naszemu szefowi. Dzięki jego łaskawości i poparciu możemy wychodzić z inicjatywą i szkoleniowo się rozwijać”.

Skoro on tak, to zacząłem drażyć: „A dotąd żeście się nie szkolili, nie mogliście się rozwijać? Przecież pisaliśmy o waszych sukcesach w dyscyplinie, no i w innych dziedzinach”. Ripostuje szybko: „Oczywiście, mogliśmy się rozwijać i mieliśmy liczne sukcesy, tyle że nie do końca”.

Drażę temat, bo przecież zgodnie z zaleceniami będę musiał dokonać tłumaczenia, dzięki któremu wszystkie frazy będą zrozumiałe dla czytelnika: „Czy nie sądzisz ponadto, że wasz szef za wiele na siebie bierze? W końcu szkolenie to nie jest błaha sprawa. A jaka przy tym odpowiedzialność za ludzi, za morale i tę właśnie dyscyplinę?! Przecież



jak się coś stanie, to będzie musiał wziąć na siebie całą odpowiedzialność!”. Najpierw cisza, a potem trzy słowa. Pierwsze na k, to nie będę cytował, następne brzmiały: „nie rozumiesz?”

Myślę sobie najpierw to samo słowo na k, a potem: w sumie nie rozumiem, ale jak wrzucę w „google”... Wrzucam więc, a tam pomrocność jasna, widać, że komputer nie pomoże. ■



| DEBATA |

PODOFICEREM BYĆ

*Ze starszymi
chorążymi sztabowymi:
Markiem Cabajem,
Krzysztofem Gadowskim,
Waldemarem Malinowskim,
Zbigniewem Michalakiem
i Markiem Kajaką*

rozmawiamy o roli pomocników do spraw
podoficerów, krętej ścieżce rozwoju
podoficerskiego i problemach szkolenia.

Najpierw chcielibyśmy się uporać z pogłoską, jakoby to podoficerowie, w efekcie zamachu stanu, usiłowali przejąć władzę, wyprzeć oficerów z ich pozycji i stanowisk. Przypomnijmy, iż podoficerów starszych w dowództwach wymyślili właśnie oficerowie...

Krzysztof Gadowski: Wymyśliło nas życie, praktyka bojowa. W wypracowanym przez kilkadziesiąt lat modelu amerykańskim podoficer zajmuje się szkoleniem żołnierzy, prowadzi ich do boju i za nich odpowiada. Oficer ma znacznie szerszy horyzont działania. Dowodząc plutonem i kompanią, rozwija swoje zdolności, żeby rozumieć wojsko i wojnę, gdy już zostanie generałem.

Etaty pomocników dowódców do spraw podoficerów zostały wprowadzone w lipcu 2004 roku. W modelu amerykańskim podoficer do najwyższego stanowiska dochodzi latami, my byliśmy w punkcie zerowym, w którym ludzi trzeba było pozyskać natychmiast. Wkrótce też mówiono, że podoficerowie nadmiernie zachłysłeni się wzorem amerykańskim, że nie jesteśmy jeszcze na to gotowi...

Krzysztof Gadowski: Praktyka pokazała, że faktycznie na początku nie zawsze i nie wszędzie układało się to tak, jak należy.

Marek Kajko: Pomocnikiem zostałem jako bardzo młody żołnierz, w 2004 roku. Na szczęście dowódca jednostki gen. Włodzimierz Potasiński był oficerem światłym i wykształconym za granicą, więc w przeciwieństwie do mnie wiedział, po co jest mu potrzebny pomocnik.

Waldemar Malinowski: Początkowo było nam naprawdę ciężko. Po kursie w Elblągu, naładowany wiedzą przez kolegów z armii amerykańskiej, zostałem etatowym pomocnikiem w samodzielny batalionie. Większość służbowego czasu pochłaniała mi jednak nieetatowa funkcja pełnomocnika do spraw ochrony informacji niejawnych oraz sprawy dotyczące ochrony jednostki. Odpo-

wiadałem za trzy obiekty i miałem ogromny budżet. To było naprawdę duże wyzwanie.

Krzysztof Gadowski: Również dobrze pamiętam początki. Jako młody żołnierz, z dziesięcioletnią wysługą, zostałem pierwszym pomocnikiem dowódcy do spraw podoficerów w Centrum Operacji Powietrznych. Dowódca postawił wymagania, że jego pierwszy podoficer powinien znać język angielski, mieć doświadczenie służby za granicą. Jako jedyny spełniałem te warunki. Podjąłem więc wyzwanie.

Minęło ponad dziesięć lat. Czy dziś pomocnik dowódcy do spraw podoficerów stoi po prawicy swego dowódcy, czy za jego plecami?

Krzysztof Gadowski: Potrzeba znacznego dorobku i ciężkiej pracy, żeby być godnym tego partnerstwa, zostać prawą ręką dowódcy, a tym samym wpływać na podoficerów swoją postawą, zachowaniem, autorytetem. Bywa, że na te stanowiska trafiają ludzie przypadkowi, którzy z własnej woli pozostają za plecami przełożonego. Wiele zależy też od samego dowódcy. Tu bywa różnie. Jedni wykorzystują podoficerski potencjał, inni potrzebują miesięcy albo i lat, żeby się przekonać o niezbędności starszego podoficera stojącego po jego prawicy.

Zbigniew Michalak: Na etacie pomocnika jestem od 2011 roku, a od 2007 zastępowałem pomocnika, który był na misji. Dziś stoję obok swojego dowódcy i to samo wywalczyłem w podległych bazach, gdzie wcześniej nie do końca było tak, jak być powinno. Dowódcy nie czuli tego, po prostu pomocnik był kimś, kto nie przeszkadza, ale i nie pomaga.

Marek Cabaj: W marynarce wojennej w 2007 roku zostało utworzone tylko stanowisko pomocnika dowódcy marynarki wojennej do spraw podoficerów. Pozostałe – w wybranych, samodzielnych dywizjonach, na szczeblu pułku, w komendach portu wojennego oraz na szczeblu flotylli – dwa lata później. Dzięki temu „opóźnieniu” udało się nam uniknąć wcześniejszych błędów, jakie się pojawiły w wojskach lądowych. Nikt nie mylił już pomocników z mężami zaufania, a dowódcy od początku traktowali nas jako partnerów do rozmowy. Dziś na

*W wypracowanym
przez kilkadziesiąt
lat modelu
amarykańskim
podoficer zajmuje
się szkoleniem
żołnierzy, prowadzi
ich do boju*



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

ST. CHOR. SZTAB. KRZYSZTOF GADOWSKI

jest starszym podoficerem w Dowództwie Generalnym
Rodzajów Sił Zbrojnych.

14 ogniw podległych dowódcy 3 Flotylli Okrętów jest tylko sześciu pomocników. Tam, gdzie ich nie ma, sam sprawuję nadzór merytoryczny nad jednostką. Jestem najważniejszym podoficerem, stoję obok dowódcy, jestem jego głosem i ramieniem.

Marek Kajko: Na początku, jako jedyny podoficer, stałem zawsze za sztabem dowódcy brygady. Pewnego dnia dowódca zaprosił mnie do sztyku. Wszyscy widzieli, jak zmieniam miejsce. Było to dla mnie w pewien sposób zdarzenie symboliczne. Nic nie zrobiłem, ale odczułem, że nastąpiła jakaś zmiana w myśleniu. Powiem przewrotnie: dziś rolę pomocnika widać doskonale, patrząc na to, gdzie stoi on podczas tzw. rozprawienia, odprawy oraz na zdjęciu – czy jest obok dowódcy, czy stanowi jego cień.

Waldemar Malinowski: W ubiegłym roku brałem udział w uroczystościach awansowania podoficerów rezerwy. Stałem z boku trybuny. Gdy dowódca dywizji zorientował się, że nie ma mnie przy nim, wezwał mnie na trybunę i przedstawił jako generała wśród podoficerów... To bardzo nobilitujące dla całego środowiska.

Krzysztof Gadowski: Są dziś jednostki, w których system działa modelowo, m.in. w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej, 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Starsi podoficerowie dowództw są tam odpowiednikami CSM [command sergeant major]

i wspierają dowódców w większości spraw dotyczących podoficerów i szeregowych zawodowych.

Tymczasem na najwyższych szczeblach podoficerowie nie mają swej reprezentacji...

Krzysztof Gadowski: W tym roku, po raz pierwszy w historii, na konferencję szefów sztabów państw Europy Środkowej w Bukareszcie zaproszono również „pierwszych podoficerów”. Gen. Mieczysław Gocuł nie ma takiego podoficera, więc po dłuższych poszukiwaniach przez Konwent Dziekanów Korpusu Oficerów WP wreszcie dotarli do mnie. Ucieszyłem się niezmiernie, że mogę uczestniczyć w tak ważnym spotkaniu wraz z generałem. Przy okazji rozmawialiśmy o potrzebie ustanowienia funkcji starszego podoficera dowództwa/sztabu w Sztabie Generalnym, który mógłby doradzać w sprawach dotyczących korpusu podoficerskiego.

Jak przygotować żołnierza, który będzie pełnił godność podoficera starszego najwyższego szczebla?

Krzysztof Gadowski: W amerykańskiej US Army Sergeants Major Academy na zajęciach z przywództwa wojskowego →

uczą podoficerów starszych, jak być dobrym liderem, jak się zachowywać w różnych sytuacjach. Może w naszej armii przydałby się podobny kurs?

Nie wszystkiego można się wyuczyć...

Krzysztof Gadowski: Są też potrzebne charyzma, gen przywództwa i umiejętność budowania swojego autorytetu, a to wypracowuje się latami. Jeśli podoficer nie ma w sobie tego czegoś szczególnego, czego nie uwzględniono w karcie opisu stanowiska, to nie ma dla niego miejsca po prawicy. Ogromnie ważny jest też autorytet, którym dzieli się z nim dowódca.

A jak dowódca wysokiego szczebla spośród setek podoficerów ma znaleźć tego właściwego?

Krzysztof Gadowski: Może to my powinniśmy wychodzić z ofertą: proponujemy, panie generale, trzech kandydatów na stanowisko, mają takie i takie kwalifikacje, niech pan sobie wybierze.

Takich trzech, którzy przy okazji będą dobrze znali język angielski?

Waldemar Malinowski: Znajdziemy takich bez problemu. W ubiegłym roku żołnierze z amerykańskiej Gwardii Narodowej prowadzili w 16 Dywizji Zmechanizowanej szkolenie dla oficerów, a także szefów kompanii i pomocników dowódców plutonów, na temat relacji między oficerem a podoficerem. Na początku uczestnikom brakowało pewności siebie, ale po kilkunastu minutach rozgorzała dyskusja. Mówimy po angielsku, to nasza polska mentalność „niepopelniania” błędów często nas paraliżuje.

Krzysztof Gadowski: Przyjeżdżają do nas m.in. dowódcy amerykańscy i kanadyjscy ze swoimi starszymi podoficerami, musimy więc znać język, by być dla nich partnerami. Dlatego jednym z moich priorytetów jest zwiększenie wymagań językowych na stanowiskach pomocników na szczeblu taktycznym – do co najmniej drugiego stopnia znajomości angielskiego.

Czyli jest z tym kłopot...

Krzysztof Gadowski: Młodsze pokolenie nie ma żadnych problemów, u starszych nie jest już tak dobrze. Musimy jednakże wpisać w kartę opisu stanowiska odpowiedni poziom znajomości języka.

Pomocnicy mogą funkcjonować znakomicie, ale w pojedynkę zdziałają niewiele. Jak ma się dziś podoficerski łańcuch dowodzenia?

Marek Kajko: Jako komendant szkoły podoficerskiej mam swoją listę pomocników z jednostek i jeśli zdarzają się trudne sytuacje, jeśli potrzebuję informacji w sprawie moich słuchaczy, to po prostu do nich dzwonię. Ostatnio żołnierzowi spaliło się mieszkanie, nieubezpieczone, wszystko poszło z dymem. Nie musiałem telefonować do dowódcy dywizji i mówić, że szeregowemu przydarzyło się nieszczęście.



ST. CHOR. SZTAB.
WALDEMAR MALINOWSKI

jest pomocnikiem dowódcy 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej do spraw podoficerów w Elblągu.

Luki są łatanie przez nieetatowy łańcuch wsparcia. Szefowie kompanii wiedzą, co powinien robić pierwszy podoficer pododdziału

*Możemy
wspierać naszych
dowódców
w dziedzinie
dyscypliny.
Teraz mamy do tej
działalności
podstawę prawną*



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

ST. CHOR. SZTAB. ZBIGNIEW MICHAŁAK

jest pomocnikiem dowódcy 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego
do spraw podoficerów w Świdwinie.

A gdzie brakuje ogniw?

Waldemar Malinowski: Przykładowo, w 15 Brygadzie Zmechanizowanej mam świetnego pomocnika, ale brak mu etatowych pomocników na szczeblu batalionów. Luki są łątane przez nieetatowy łańcuch wsparcia. Szefowie kompanii w większości są świadomi, co powinien robić pierwszy podoficer pododdziału, pomocnicy dowódców plutonów wiedzą, że powinni wspierać podporuczników po szkole, i to się jakoś sprawdza. Działa również na etapie kwalifikowania szeregowych do szkół podoficerskich.

Krzysztof Gadowski: Struktura łańcucha wsparcia dowodzenia nie jest dziś jeszcze kompletna. Gdy opiniujemy wnioski podoficerów i szeregowych o skierowanie na kursy, dotyczące przeniesienia czy powołania do służby stałej, i mamy wątpliwości, to bywa, że nie ma do kogo zatelefonować. Mam na myśli kogoś, kto zna żołnierza i wie o nim wszystko. Aby łańcuch funkcjonował, struktura musi być pełna i zamknięta.

Czy nieetatowi pomocnicy batalionowi nie rozwiązują problemu?

Krzysztof Gadowski: To znakomite rozwiązanie, ale tymczasowe. W nieetatowości tkwi pułapka. Takemu żołnierzo- wi wrzuca się na plecy więcej, niż jest on w stanie unieść. Gdy nieustannie odbywają się ćwiczenia, rozkwita współpraca międzynarodowa, okazuje się, że doba jest za krótka.

Istotnym elementem łańcucha wsparcia miał być szef kompanii...

Krzysztof Gadowski: Zgodnie z propozycją chor. Jacka Dziedzica z 6 Brygady Powietrznodesantowej jest tam opracowywany program pilotażowy, w którym zadania pierwszego sierżanta przejmie szef kompanii, a gospodarką pododdziału zajmie się podoficer logistyczny w stopniu kaprała lub starszego kaprała. Jeśli eksperyment się powiedzie, chciałbym wystąpić do dowódcy generalnego z propozycją, żeby pilotażowo wprowadzić taką rolę szefów w którejś dywizji.

Do ubiegłego roku nie było żadnych przepisów normujących pracę pomocników. Obecnie rozkaz dowódcy generalnego precyzyjnie określa ich zadania. ➔



*Jeśli podoficerowie
mają być
kręgosłupem armii,
to ten kręgosłup
powinien być
zdrowy.
We wszystkich
aspektach*

ST. CHOR. SZTAB. MAREK KAJKO

do niedawna był komendantem Szkoły Podoficerskiej
Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Krzysztof Gadowski: To jedyny dokument mówiący o tym, w jaki sposób dowódcy mają współpracować z pomocnikami, jak również wskazujący pomocnikom, na czym mają się skupić. Prace nad nim trwały od września 2013 roku, wersji było kilkanaście i nadal nie jest idealny. Myślę jednak, że będzie ewoluował.

Zbigniew Michalak: Chcieliśmy, żeby pomocnicy byli w dużej mierze odpowiedzialni za kwestie szkoleniowe oraz te dotyczące rozwoju i doskonalenia zawodowego. Możemy na przykład wspierać dowódcę w dziedzinie dyscypliny i reagować na jej łamanie przez podoficerów i szeregowych zawodowych. Teraz mamy do tej działalności podstawę prawną.

Waldemar Malinowski: Wcześniej sytuacja była nieco kuriozalna. W dokumentach figuruje inspektor BHP, inspektor ppoż., a pomocnik był wyłącznie w książce etatowej. Nigdzie więcej go nie było. Brakowało nam tego rozkazu na początku, w 2004 roku, kiedy usiłowaliśmy tworzyć łańcuch wsparcia.

Marek Cabaj: Nadal wszyscy jesteśmy przecież łącznikami między dowódcą a żołnierzami. Naszym zadaniem jest

m.in. informowanie dowódcy o tym, co się dzieje na dole. To działa także wtedy, gdy chcemy docenić podoficerów za ich ciężką służbę. W tym biegu przełożeni często zapominają o bosmanie czy marynarzu, który gdzieś tam po cichu rzetelnie wykonuje swoją pracę. I od tego jest również pomocnik, by o takich ludziach pamiętać.

Należałoby też pomyśleć o zmianie w regulaminie i ceremoniale wojskowym. Chodzi o to, aby pomocnik urósł w siłę, był podoficerem, który zawsze stoi przy dowódcy.

W polskim systemie podoficerskim nie brak akcentów amerykańskich. Jak kopiowanie gotowych już wzorców sprawdza się na naszym gruncie? Czy system jest dobry?

Krzysztof Gadowski: Na systemie amerykańskim opieramy się jedynie częściowo. Tylko niektóre gotowe rozwiązania armii Stanów Zjednoczonych adaptujemy do polskich warunków. W efekcie powstaje nasz własny system. W zespole ze starszymi chorążymi Krzysztofem Podkulińskim i Adamem Szczepanikiem sprawdzamy, jak on funkcjonuje, analizujemy m.in. ścieżkę awansu, miejsce pomocników, szkolenie podoficerów... i staramy się to doskonalić.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

ST. CHOR. SZTAB. MAR.
MAREK CABAJ

Jest pomocnikiem dowódcy 3 Flotylli Okrętów do spraw
podoficerów w Gdyni.

*Wszyscy jesteśmy
łącznikami między
żołnierzami
a dowódcą.
Informujemy
dowódcę o tym,
co się dzieje na dole*

Marek Kajko: Czerpanie z gotowych wzorców nie jest niczym złym, a na pewno pozwoli uniknąć wielu błędów i zaoszczędzić kolejnych lat pracy. Wystarczy dopasować to do polskiej rzeczywistości, ulepszyć i pomalować w nasze barwy. Amerykanie budowali to, do czego doszli, od czasu wojny w Wietnamie. Stracili tam wielu oficerów i podoficerowie musieli przejmować dowodzenie. Nie mieliśmy dzięki Bogu takiej sytuacji, ale zdarzało się w ostatnich misjach, że podoficerowie niższych stopni w trudnych sytuacjach bojowych dawali sobie znakomicie radę.

Krzysztof Gadowski: Mimo że nasz system nie jest doskonały i na pewno potrzebuje modyfikacji, wiele krajów, na przykład Rumunia, próbuje na nim bazować. Sytuacja po wschodniej stronie granicy spowodowała, że także Ukraińcy zaczęli się nim interesować.

Waldemar Malinowski: Wykorzystaliśmy dobrze czas i zmiana jest odczuwalna. Ten torcik jemy łyżeczką i cieszymy się każdym kęsem, każdym małym sukcesem.

Marek Kajko: Sukcesem jest na pewno przetrwanie instytucji pomocników. Mimo że byli tacy, którzy chcieli to stanowisko połączyć z komendantem ochrony, a niektórzy dowódcy świadomie wyzbyli się go, wykreślając etat. Jeszcze też nie wszyscy pomocnicy są godni tego stanowiska, sami myślą o roli mężów zaufania, organizują sploty kajakowe, zamiast interesować się właściwą robotą. A tu musi być profesjonalizm, przykład osobisty i człowiek wysokiej klasy, żeby wszyscy wiedzieli, że jest podoficerem najwyższej miary i trzeba się na nim wzorować.

Taki chodzący autorytet?

Krzysztof Gadowski: Kiedyś było wiadomo, że czterogwiazdkowy chorąży jest mistrzem świata i okolic. Od 1 stycznia, po likwidacji „martwych stopni” zrobiło się tytułu starszych chorążych sztabowych, że zniknęliśmy w tłumie. Jeżeli ktoś awansował na starszego chorążego sztabowego, to nie widzi sensu dążenia do stanowiska pomocnika, które nie zawsze jest lubiane. Dostaje swoje pieniądze, dodatek kwalifikacyjny i stanowisko pomocnika mu się nie opłaca.

Zbigniew Michalak: Ewentualni następcy obawiają się tego stanowiska. Rozkaz dużo nam pomógł, z drugiej strony ludzie się przestraszyli zakresu odpowiedzialności. Bo obejmuje ona wszystko – sprawy wychowawcze, kadrowe, szkoleniowe, ogólnowojskowe. Co więcej, nie wiąże się z tym żadna motywacja finansowa, nawet na czas urlopu trudno znaleźć kogoś na zastępstwo.

Krzysztof Gadowski: Naszym zdaniem powinien być stworzony jakiś wyznacznik najbardziej prestiżowych stanowisk, takich, na których są potrzebne najwyższa odpowiedzialność i największe doświadczenie. A jeśli mamy mówić o docenianiu pomocników w brygadach i dywizjach, również komendantów szkół podoficerskich, to nie da się z pewnością pominąć kwestii finansowych. →

Niby możecie awansować do korpusu oficerskiego...

Waldemar Malinowski: Pamiętam słowa jednego ze współautorów ustawy pragmatycznej w 2003 roku: „zawsze możecie zostać oficerami”. To było upokarzające.

Krzysztof Gadowski: Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby 80% podoficerów przechodziło do korpusu oficerskiego. I gdyby najstarszy podoficer, mający teraz pod sobą kilka tysięcy żołnierzy, został nagle dowódcą plutonu. Armia potrzebuje świetnie wyszkolonych podoficerów.

Marek Kajko: ...Czemu nie zawsze daje wyraz. Jestem komendantem szkoły podoficerskiej. Na moim stanowisku jest wymagana szkoła średnia i angielski na poziomie pierwszym. Osobiście uważam, że funkcję taką powinien pełnić co najmniej magister ze znajomością angielskiego na poziomie trzecim. A tak jestem komendantem szkoły, podobny stopień ma szef kompanii w centrum szkolenia. Zarabia więcej, ma mniej obowiązków i się ze mnie śmieje.

Krzysztof Gadowski: Dlatego ścieżka rozwoju podoficerów wymaga zmian.

Przed laty mówiliśmy o drodze rozwoju, a teraz szukamy ścieżynki?

Marek Kajko: Jeżeli teraz kapralem zostaje żołnierz po pięciu latach służby, to choćby co trzy lata regularnie awansował, co się nigdy nie zdarzy, do stopnia starszego chorążego sztabowego dojdzie po 30 latach służby. Będzie miał wtedy 53 lata, a stanowisko z grupą uposażenia U-10 w brygadzie będzie tylko jedno. Trudno mówić o karierze, chyba że karierą jest zdobywanie wyższych stopni.

Moji podwładni zadali mi ostatnio pytanie, czy zamierzam wysłać na kurs podoficerski kogoś z naszej szkoły. Z przykrością stwierdziłem, że nie widzę takiej potrzeby, bo nikt w ciągu kilku najbliższych lat nie zostanie podoficerem starszym. Może za kilka lat zwolni się jedno stanowisko, bo ktoś pójdzie na emeryturę. No, chyba że wcześniej ktoś odejdzie ze szkoły z innego powodu.

Ludzie odchodzą, bo nie mają szansy na awans?

Marek Kajko: Tak. Mimo protestów kierowników zespołów, że nie ma kto prowadzić szkoleń, staramy się inwestować w ludzi. Kończą kursy językowe, zdobywają wykształcenie i... przynoszą do mnie wnioski o przeniesienie służbowe. Bo w innej jednostce zaproponowano im wyższy stopień, a oni chcą się rozwijać, a nie stać w miejscu. Mam go nie puścić, stanąć mu na drodze kariery z argumentem, że jest mi potrzebny? To on się zapyta: dlaczego mam nie awansować?

To trochę błędne koło. Przecież wysyła go Pan z nadzieją, że inwestuje w kadrę szkoły podoficerskiej.

Marek Kajko: Chciałbym umożliwić drogę rozwoju w szkole, zmotywować ludzi do pozostania w niej przez podwyższenie stopnia na poszczególnych stanowiskach

– żeby np. szef zespołu był podoficerem starszym. Dziś we wszystkich siedmiu zespołach nie mam żadnego podoficera starszego. Na niektórych stanowiskach z kolei chciałbym stopnie obniżyć, żeby np. dowódcą grupy był podoficer młodszy, którego sami wyszkolimy sobie na instruktora. Niech w szkole ma tę swoją ścieżkę rozwoju.

Dla wielu etat instruktora nie jest stanowiskiem lukratywnym.

Marek Kajko: Przy obecnym obciążeniu szkolonymi – 2,5 tys. rocznie – to bardzo ciężka praca. Szkolenie żołnierzy odbywa się przez wiele godzin, w polu, na strzelnicy, w słońcu, na mrozie, w deszczu. Męczą się nie tylko fizycznie. Przychodzi też frustracja, wypalenie zawodowe.

A nowych na ich miejsca brakuje?

Marek Kajko: Szeregowi, których nauczamy, mają za sobą po pięć misji, a spośród moich instruktorów dwóch czy trzech jest po misjach. Taki wymarzony system to napływ instruktorów z jednostek bojowych, doświadczonych fachowców w swoich dziedzinach. Niestety, nie mamy czym zachęcić żołnierzy, aby zostali instruktorami w szkole.

Niedostatek kadry może się wkrótce odbić czkawką.

Marek Kajko: Jeśli byle jak wyszkolę dowódcę rosomaka, to on może stracić sprzęt, swoich ludzi i sam zginąć. Jeśli podoficerowie mają być kręgosłupem armii, to ten kręgosłup powinien być zdrowy. We wszystkich aspektach. To jest poważna sprawa, bo chodzi o tysiące ludzi szkolonych rocznie. Od tego, jak oni będą przygotowani, będzie zależała jakość naszego korpusu.

Zbigniew Michalak: W przypadku silowca [SIL – służba inżynierjno-lotnicza] potrzeba ponad trzech, nawet pięciu lat, żeby się stał fachowcem. A dziś szeregowy strzelec, któremu kończy się „resurs”, 12 lat służby, musi zostać kapralem, bo inaczej będzie musiał zdjąć mundur. Ale że w swojej specjalności nie ma etatów, przychodzi do nas, bo są wakaty silowskie. Zostanie kapralem, ale przez kilka następnych lat będzie się musiał uczyć profesji.

Marek Kajko: To nie powinno mieć miejsca, bo inwestowano w człowieka przez dziesięć lat. A tu jedna ścieżka się kończy, więc wybiera drugą. Pieniądze, wysiłek ludzi, jego wysiłek idą na marne. Wszyscy się na to godzą, bo trzeba utrzymać szeregowego w służbie.

Waldemar Malinowski: ...A założeniem tworzenia korpusu szeregowych zawodowych nie było to, że każdy z nich ma zostać podoficerem. Mowa była o najlepszych.

Marek Kajko: Marzyłbym, żeby na każdym szczeblu dowodzenia byli ludzie odpowiadający za szkolenie podoficerów. Ktoś, kto by to wszystko spinał. No i aby było tak, jak w armii amerykańskiej, że do stopnia sierżanta to się żołnierz szkoli, a potem to już się kształci podoficerów. ■

OPRAC.: PAULINA GLIŃSKA, PIOTR BERNABIUK

MIĘDZYNARODOWE POKAZY LOTNICZE

Honorowy Patronat
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisława Komorowskiego



75 ROCZNICA
bitwy
o Anglię

Air Show

RADOM, 22-23 sierpnia



DOWÓDZTWO GENERALNE
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Sponsor Strategiczny:



Współorganizatorzy:



Sponsor Oficjalny:



Ogólnopolscy Patroni Medialni:



Branżowi Patroni Medialni:



Instytucje Wspierające:



Bilety dostępne na portalu

eBilet.pl
Twój Bilet dowolnego czasu!

oraz w sieci salonów

empik



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Akademia sierżantów

O kursie w akademii głównych sierżantów US Army marzył od dawna. Po rocznej nauce w Stanach Zjednoczonych właśnie wrócił do kraju. Teraz jest jeszcze bardziej zdeterminowany, by w Polsce rozwijać korpus podoficerów.

Warmii 41-letni st. chor. sztab. Andrzej Woltmann spędził przeszło połowę życia. Jako absolwent Szkoły Chorążych Wojsk Łączności w Legnicy służył w 4 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej, a później przez 13 lat w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Dwukrotnie był w Iraku (m. in. w Karbali) i raz w składzie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. W 2006 roku został wyróżniony wpisem do „Księgi honorowej Ministra Obrony Narodowej” za zasługi dla obronności kraju.

Jest absolwentem wielu wojskowych szkoleń i kursów. Kilka z nich ukończył na prestiżowych zagranicznych uczelniach. Ma dyplomy m.in. Warrior Leader Course w akademii w Grafenwoehr w Niemczech oraz Basic Noncommissioned Officer Course w Toruniu. Brał udział w specjalistycznym szkoleniu w Defense Language Institute w Lackland w Stanach Zjednoczonych, Advanced Leaders Course dla podoficerów piechoty w Fort Benning oraz kursie dla pomocników dowódców do spraw podoficerów Sergeant Major Course w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu.

LISTA DOKONAŃ ST. CHOR. SZTAB. ANDRZEJA WOLTMANNA JAKO PIERWSZEGO PODOFICERA 17 BRYGADY JEST BARDZO DŁUGA. ALE JAK SAM TWIERDZI, SUKCESY NIE BYŁYBY MOŻLIWE, GDYBY NIE DOSKONAŁA WSPÓŁPRACA Z PRZEŁOŻONYM

Rok temu odchodził ze stanowiska pomocnika dowódcy do spraw podoficerów. Pożegnał się z macierzystą jednostką i wyjechał na roczny kurs do Stanów Zjednoczonych. „To podoficer najwyższej próby. Codziennie mnie motywował i wspierał każdą decyzję. Od pierwszego dnia naszej wspólnej służby doskonale rozumiał mój zamiar i od razu przekształcał go w czyn. Stawiam wam go za wzór. Niech jego działalność i dokonania dla tej brygady będą dla was motywacją”, mówił podczas pożegnania chor. Woltmanna jego ówczesny dowódca gen. bryg. Rajmund T. Andrzejczak.

DREAM TEAM

Lista dokonań st. chor. sztab. Andrzeja Woltmanna jako pierwszego podoficera 17 Brygady jest bardzo długa. Ale jak sam twierdzi, sukcesy nie byłyby możliwe, gdyby nie doskonała współpraca z przełożonym. „Nigdy dotąd nie miałem tak dobrego dowódcy. Dla mnie to modelowy przykład tego, jak przełożony powinien współpracować ze swoim podwładnym. Miesiąc po tym, gdy objąłem obowiązki pomocnika do spraw podoficerów, dowodzenie naszą jednostką przejął gen. Andrzejczak. Miałem swoją wizję służby jako pierwszy podoficer. On również miał swój pomysł. Szczęśliwie obie koncepcje były zbieżne”, wspomina chor. Woltmann i dodaje: „5 stycznia 2012 roku, gdy generał przejmował dowodzenie, odwrócił się w moją stronę i powiedział: »Pół metra ode mnie i ani kroku dalej!«. Tak właśnie wyglądała nasza trzyletnia współpraca”.

Do swoich największych sukcesów zalicza wprowadzenie systemu punktacyjnego dla szeregowych i podoficerów 17 Brygady. Dzięki temu żołnierze z Międzyrzecza jako pierwsi w Polsce mogą korzystać ze specjalnego taryfikatora, w którym dostają punkty za sprawność fizyczną, wyszkolenie, dodatkowe umiejętności wojskowe, odznaczenia oraz wyróżnienia, znajomość języka obcego, a tracą za długotrwałe korzystanie ze zwolnień lekarskich i niehonorowe zachowanie. Tego rodzaju punktacja jest brana pod uwagę na przykład przy awansowaniu żołnierzy.

To jednak nie wszystko. W brygadzie stworzono nieetatowy podoficerski łańcuch wsparcia dowodzenia, fundusz podoficerski (z comiesięcznych składek są np. finansowane wycieczki, pożegnania żołnierzy) i zmodyfikowano system opiniowania służbowego. „Przez całą służbę na tym stanowisku robiłem wszystko, by wzrosła rozpoznawalność podoficerów. Żeby zwiększyła się ranga pomocnika dowódcy. Chciałem, by inni wiedzieli, że to prestiżowe stanowisko, by się rozwijali i uczyli. Dziś zdjęcie pierwszego podoficera

wisi w sztabie obok fotografii dowódcy brygady. To wiele znaczy”, przyznaje chorąży.

STUDIA ZA OCEANEM

Gdy w ubiegłym roku przełożeni zaproponowali mu studia w Stanach Zjednoczonych, nie wahał się długo. „Marzyłem o nauce w akademii głównych sierżantów US Army, ale propozycja przyszła w nieoczekiwanym momencie. Nie mogłem jednak tej szansy zmarnować. Zdałem egzaminy i ruszyłem za ocean”, wspomina chor. Woltmann.

W czerwcu 2014 roku poleciał do El Paso w Teksasie, gdzie uczelnia ma siedzibę. United States Army Sergeants Major Academy (USASMA) powstała w 1972 roku i ma już ponad 120 tys. absolwentów w mundurach. „Uczelnia zapewnia profesjonalną edukację wojskową i rozwija umiejętności przywódcze podoficerów. Jest uznawana za jedną z głównych szkół podoficerskich na świecie. To wynik innowacyjności i perspektywicznego podejścia do rozwoju lidera oraz samej edukacji”, wyjaśnia st. chor. szt. Andrzej Woltmann.

Nauka trwa dziesięć miesięcy. Każdy ze studentów, niezależnie od narodowości, musi opanować taki sam materiał. „Na roku było ponad 400 Amerykanów oraz 37 studentów z 31 krajów. Uczący się tam podoficerowie reprezentują wojska lądowe, gwardię narodową, jednostki obrony wybrzeża i siły powietrzne”, mówi podoficer.

Chorąży wyjaśnia, że tematyka zajęć jest ściśle związana z programem studiów podyplomowych dla oficerów starszych. Wynika to z przekonania, że absolwenci uczelni obejmują najwyższe stanowiska podoficerskie, czyli zostają pomocnikami dowódców od pułkownika po czterogwiazdkowego generała.

Program nauki obejmuje cztery główne dziedziny, czyli zarządzanie siłami, przywództwo wojskowe, szkolenie i doktryny, operacje wojskowe, prowadzenie połączonych operacji międzyrządowych, międzyresortowych i międzynarodowych.

Podoficerowie uczą się więc, jak zarządzać dostępnymi siłami w armii, jak przewodzić wydzielonym strukturom, by utrzymywać obszary lądowe i ich bronić. Szkołą się z przywództwa na przykładzie współczesnych i historycznych problemów oraz konfliktów zbrojnych. „Program nauczania jest ułożony tak, aby w przyszłości umożliwić głównym sierżantom mówienie tym samym językiem, którym posługują się ich oficerowie-dowódcy”, mówi Woltmann i dodaje: „Analizowaliśmy obowiązki i zakres odpowiedzialności podoficerów na przestrzeni ostatnich 200 lat amerykańskiej historii. Mówiliśmy także o planowaniu długoterminowych operacji poza granicami państwa, a nawet o wstępnym tworzeniu rządów”.



Były to ciężkie i wymagające studia, jak podkreśla podoficer. Wykładowcy każdego dnia bacznie obserwowali i oceniali kursantów. Brali udział w wykładach, ćwiczeniach, przygotowywali prezentacje i autorskie analizy. Systematycznie rozwiązywali także testy i zdawali egzaminy.

NIE DLA WSZYSTKICH

„To jeden z lepszych kursów, w jakich brałem udział. Cieszę się, że jestem absolwentem tej uczelni. Mam też poczucie spełnionego obowiązku. Chciałbym jednak mieć pewność, że na tego rodzaju kosztowne szkolenia armia wysyła ludzi, którzy mogą być w kraju odpowiednio wykorzystani”, mówi Woltmann.

Jemu się udało. Przez rok był w rezerwie kadrowej, a gdy wrócił z Ameryki, wypełniał zadania w Dowództwie Ge-

neralnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Dziś jest już zastępcą komendanta Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu.

„Takie same studia w USA ukończyło w ostatnich latach 34 polskich podoficerów. Ale znam tylko pięciu, którzy zajęli wyższe stanowiska i pracowali na rzecz rozwoju naszego korpusu. Kilku innych zmieniło korpus i zostało oficerami”, mówi. „Motywacją większości chorążych jest chęć przeżycia przygody lub zarobienia pieniędzy. A po przyjeździe do Polski wracają na swoje stanowiska”. Dlatego, jak podkreśla, powinno się dokładniej weryfikować kandydatury przyszłych studentów-żołnierzy. O ich wyborze powinno decydować m.in. kolejne stanowisko służbowe, na które po zakończeniu nauki zostaną wyznaczeni, a nie tylko znajomość języka. ■



Trzy pytania do, gen. bryg. Rajmunda T. Andrzejczaka

zastępcy dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie.

RELACJE PARTNERSKIE

Jak powinny się kształtować relacje pomiędzy dowódcą a jego pomocnikiem do spraw podoficerów?

Patrząc z perspektywy dowództwa 12 Dywizji, a wcześniej dowództwa 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, muszę przyznać, że relacje te – podobnie jak każde inne w wojsku – powinny mieć charakter profesjonalny. Rozumiem emocje, jakie to stanowisko budzi w naszym środowisku. W Polsce pojawiło się wraz z przystąpieniem do NATO. Może więc niektórych dziwić, że podoficerowie domagają się władzy w pewnym zakresie. Chcą właściwego im prestiżu i statusu. Podstawą tej współpracy powinna być prosta zasada: dowódca ma jasno określone oczekiwania, a podwładny ma motywację, żeby je spełnić.

Kluczem powinno być także to, że pomocnika do spraw podoficerów powinno się częściej traktować jak partnera, a nie podwładnego. To człowiek, do którego mamy mieć zaufanie, pytać go

o zdanie i się radzić. Nie zawsze musimy się z nim zgadzać, ale powinniśmy się liczyć z jego opinią.

Przez trzy lata, dowodząc 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną, współpracował Pan ze st. chor. sztab. Andrzejem Woltmannem, pomocnikiem do spraw podoficerów. Jak wspomina Pan tę relację?

Bardzo dobrze. Robiliśmy to, co uważaliśmy za stosowne, słuszne i moralnie nienaganne. Współpraca układała się wzorowo także dlatego, że 17 Brygada to jednostka, w której te tradycje były rozwijane już przez poprzedników. Inna sprawa, że międzyrzecka brygada to struktura niezwykle podatna na nowe rozwiązania.

Jestem przekonany, że wiele moich sukcesów jako dowódcy nie byłoby możliwych, gdyby nie dobra współpraca z chor. Woltmannem i to, że w brygadzie uruchomiliśmy nieoficjalny łańcuch wsparcia dowodzenia.

Oczywiście nasze pomysły rodziły się w bólach i pojawiały się błędy. Ale to droga, z której nie powinno się już schodzić. Brakuje nam jedynie sformalizowania niektórych kwestii związanych z korpusem podoficerskim i stanowiskiem pomocnika dowódcy na różnych szczeblach dowodzenia. Nie mamy choćby dokładnych wytycznych, jakie kompetencje powinien mieć podoficer, by doradzać swojemu dowódcy.

Pierwszy podoficer jest także partnerem merytorycznym dla dowódcy...

Kurs, który ukończył teraz w Stanach Zjednoczonych chor. Woltmann, świetnie do tego przygotowuje. Okazało się, że wiedza, jaką tam zdobył, w ogólnych ramach nie różni się od tego, czego ja się uczyłem w Londynie podczas studiów z polityki obronnej. Amerykanie dają podoficerom szeroką wiedzę, bo twierdzą, że pierwszy podoficer ma być właśnie partnerem. ■

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

**Patronat honorowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej**

**Wystawa Narodowa
Norwegii**



**XXIII Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**

1-4.09.2015

Kielce

Patronat medialny:



RZECZPOSPOLITA

wprost

www.msपो.pl

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Jestem lepszym dowódcą

To był najtrudniejszy kurs w jego dotychczasowej służbie wojskowej. Podczas dwumiesięcznej nauki w Stanach Zjednoczonych zdobył nowe umiejętności i wiedzę, którą teraz przekazuje innym żołnierzom.

Mundur włożył 12 lat temu. St. kpr. Adam Lewkowski jest dowódcą drużyny szturmowej w 16 Batalionie Powietrznodesantowym. Początkowo, jako żołnierz służby zasadniczej, był związany z 25 Brygadą Kawalerii Powietrznej, ale od 2005 roku, już jako żołnierz zawodowy, służy w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej w Krakowie. Ma 32 lata, a za sobą trzy misje w Afganistanie oraz kilka ważnych kursów i szkoleń.

TRZY MISJE

W 2007 roku wystartował w zawodach, które miały wyłonić najlepszego szeregowego spośród żołnierzy 2 Kompanii Szturmowej. Wówczas były oceniane jego wiedza z łączności i taktyki, umiejętności strzeleckie oraz znajomość języka angielskiego. Pokonał rywali i wyjechał do Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych na pilotażowy kurs podoficerski dla szeregowych zawodowych w Wojsku Polskim. Po trzymiesięcznej nauce i zdanych egzaminach, już jako podoficer, wrócił do swojej macierzystej jednostki.

Razem ze spadochroniarzami z 6 Brygady Powietrznodesantowej trzykrotnie wyjeżdżał w składzie polskiego kontyngentu wojskowego do Afganistanu. Pod Hindukuszem był dowódcą drużyny na HMMWV i KTO Rosomak. „Każda zmiana była inna. Pamiętam, że na początku wojna zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Obserwowałem amerykańską maszynę wojenną, logistykę, lotnictwo współdziałające z oddziałami naziemnymi – to było coś!”, wspomina podoficer i dodaje: „Najbardziej niebezpieczna była dla mnie ostatnia moja zmiana, czyli XI tura PKW. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów ogniowych z przeciwnikiem, a na drogach w prowincji Ghazni podkładano wiele improwizowanych urządzeń wybuchowych”.

We wrześniu 2009 roku pluton, w którym służył kpr. Lewkowski, był w składzie sił szybkiego reagowania (QRF). Oddział został poderwany alarmem. Okazało się, że Amerykanie i żołnierze afgańscy, prowadząc operację w rejonie polskiej bazy Four Corners w dystrykcie Andar, zostali zaatakowani przez talibów. Podczas przeszukiwania wioski, w której ukryli się rebelianci, zginął polski żołnierz, jeden był ciężko ranny, trzech nieco lżej. Poszkodowani byli także wojskowi afgańscy. Lewkowski oberwał w nogę i miał kontynuować leczenie w Niemczech. Poprosił jednak dowódcę, by mógł zostać na misji. „Chciałem być z chłopakami do końca zmiany. Razem przyjechaliśmy i razem mieliśmy wracać. Czułem, że to mój obo-

wiązek. Na szczęście dowódca, po konsultacjach z lekarzami, wyraził na to zgodę”, wspomina.

Po dwóch tygodniach odzyskał siły. Nie mógł co prawda dźwigać i biegać, ale chciał wrócić do służby. Zgłosił się do pełnienia wart. Stał przy bramie albo przy którejś z wież.

W tym roku jako jedyny Polak i pierwszy żołnierz 6 Brygady Powietrznodesantowej ukończył kurs piechoty w US Marine Corps School of Infantry-East w Camp Lejeune w Stanach Zjednoczonych. „W bazie wojskowej w Karolinie Północnej służy ponad 50 tys. wojskowych. Są to głównie żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej i współdziałający z nimi marynarze z US Navy”, opisuje. Razem z nim naukę rozpoczęło 128 żołnierzy, w tym czterech studentów zagranicznych: dwóch pograniczników z Belize, kapral z Kosowa i on.

„Lot był bardzo długi i męczący. Na lotnisku w Jacksonville czekał amerykański sierżant, który powitał mnie, jak przystało na „prawdziwego” marines, po męsku: „G... mnie obchodzi, skąd jesteś i co sobą reprezentujesz. Jeśli oszukujesz, jesteś leniwy, zbyt wolno przyswajasz wiedzę lub kradniesz – wrócisz do Europy w ciągu dwóch dni! Kurs, na który przyjechałeś, to największe wyzwanie w twoim życiu. Jeśli go ukończysz – będziesz dumny, jak nigdy dotąd! Witamy w korpusie marines. Semper fidelis!”.

Początkowo pomyślał, że powitanie sierżanta jest przykładem propagandy amerykańskiej, ale szybko się przekonał, że marines miał sporo racji. Żołnierzy piechoty morskiej, najmniej licznego z rodzajów amerykańskich sił zbrojnych, cechuje ogromna duma z przynależności do korpusu i jego bogatej historii. Są bardzo sprawni fizycznie, odporni na trudy służby, no i, co kpr. Lewkowski mógł sam odczuć, nie rozczulają się nad sobą.

Na aklimatyzację i załatwienie niezbędnych formalności uczestnicy kursu mieli jeden dzień. Zaraz potem rozpoczęła się weryfikacja uczestników. Na początek żołnierze musieli zaliczyć egzamin ze sprawności fizycznej. „W umundurowaniu podciągaliśmy się na drążku wysokim, wykonywaliśmy skłony, tzw. brzuszki, i biegliśmy z obciążeniem przez trzy mile”. Po zaliczeniu pierwszego etapu mieli 15 minut na spakowanie zasobników, które ważyły nie mniej niż 50 funtów, i w pełnym oporządzeniu, czyli w kamizelkach kuloodpornych, hełmach, z zasobnikami musieli przebiec sześć mil, mieszcząc się w wyznaczonym limicie czasowym. Na koniec, już bardzo zmęczeni, dwukrotnie pokonywali wysokościowy tor przeszkód. Już pod-

czas tej pierwszej próby odpadło 20% podoficerów. A kolega z Belize spadł z przeszkody i uszkodził sobie kręgosłup”, mówi Lewkowski.

Żołnierze zostali podzieleni na kilkusobowe zespoły, a dowodzenie pododdziałem przekazywali sobie co kilka dni. Wszystkie zajęcia, m.in. z terenoznawstwa, taktyki, ogniowe, polegały na rywalizacji. Nie dość, że podoficerowie konkurowali ze sobą, to jeszcze w trakcie każdego zadania byli bacznie obserwowani przez instruktorów. Za zaangażowanie w zajęcia i wyniki szkoleniowe otrzymywali punkty. Każdego dnia odpadał ten z kursantów, który radził sobie najgorzej.

„Raz na kilka dni spotykaliśmy się, by wskazać, kto jest dobrym, a kto złym dowódcą. Na początku zaskoczyło mnie, że ten, który dostał najwięcej negatywnych ocen, był relegowany z kursu. Wynikało to z przekonania, że dobrym dowódcą trzeba być nie tylko w oczach przełożonych, lecz także podwładnych”, wspomina kapral.

Jakie zajęcia przygotowali marines? Do tych najciekawszych kpr. Lewkowski zalicza szkolenie z topografii. „Dostawaliśmy współrzędne czterech miejsc. Musieliśmy odszukać ukryte w lesie skrzynki, na których leżały nieśmiertelniki z wytłoczonym napisem. Używając mapy i kompasu, trzeba było jak najszybciej dotrzeć we wskazane miejsca i za pomocą kredki świecowej odbić napis z nieśmiertelnika”, opisuje jedno z zadań. Żeby zaliczyć test, należało zlokalizować trzy z czterech miejsc w ciągu dwóch godzin. Nie było to jednak proste, bo nieśmiertelniki były ukryte np. na środku bagna lub wysokiego jaru. A żołnierz, który nie wrócił we wskazane przez instruktorów miejsce w ciągu 160 minut, odpadał z kursu.

Żołnierze uczyli się o historii marines, roli podoficera w procesie dowodzenia małym pododdziałem w walce, brali udział w zajęciach ogniowych i ćwiczyli taktykę. „Amerykanie przykładają dużą wagę do realizmu szkolenia. Podczas szturmowania budynków rzucaliśmy granatami bojowymi, a na zajęciach w terenie zurbanizowanym, mogliśmy wybijać szyby, wyważać drzwi. W końcu jedna z podstawowych zasad szkolenia w korpusie marines brzmi: trenuj tak, jak walczysz”.

POŚRÓD NAJLEPSZYCH

Kurs w USA dla zaawansowanej piechoty (Advanced Infantryman Course) st. kpr. Adam Lewkowski ukończył w czołówce. Razem z nim świadectwo odebrało 56 żołnierzy. Jak teraz wykorzysta umiejętności zdobyte za oceanem? „To mój zawodowy i moralny obowiązek, by spożytkować zdobytą tam wiedzę. Jeszcze przed wyjazdem do USA podpisałem w ambasadzie amerykańskiej zobowiązanie, że nie odejdę w najbliższym czasie z armii, a wiedzę przekazę innym żołnierzom”, mówi.

Według niego, kurs kształtuje w podoficerach wszystkie cechy dobrego piechocięcia. Uczy umiejętności odnalezienia się na polu walki, korzystania z podstawowych rodzajów uzbrojenia, daje wiedzę z taktyki i wreszcie z organizowania działań w różnego rodzaju terenie. „Był to najbardziej wymagający psychofizycznie kurs, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem. Dzięki niemu stałem się lepszym dowódcą dla moich podwładnych, codziennie korzystam ze zdobytej wiedzy i przekazuję ją żołnierzom. Zaszczytem była dla mnie możliwość bycia częścią społeczności marines”.

St. kpr. Adam Lewkowski
jest dowódcą drużyny
szturmowej w 16 Batalionie
Powietrznodesantowym



ARCH. COS - D K W S

DYPLOMOWANY KOMANDOS

Z Tomaszem Świeradem

o doświadczeniach wyniesionych ze studiów na Uniwersytecie
Podoficerów Starszych Sił Specjalnych na Florydzie rozmawia
Magdalena Kowalska-Sendek.

Jest Pan pomocnikiem dowódcy do spraw podoficerów w Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych. Za Panem wiele lat służby i misje zagraniczne. Niedawno ukończył Pan studia w USA.

Polskie wojska specjalne od lat współpracują z różnymi partnerami zagranicznymi, zwłaszcza z siłami specjalnymi USA. W ubiegłym roku, gdy nasz kraj uzyskał status państwa ramowego w NATO w dziedzinie operacji specjalnych, dostałem szansę, by podnieść swoje kwalifikacje. Zaproponowano mi studia na Uniwersytecie Podoficerów Starszych Sił Specjalnych [Joint Special Operations University – Enlisted Academy – JSOU-EA]. Było to wyzwanie, zwłaszcza że propozycję złożył mi były komendant tej uczelni, a obecnie sierżant major z europejskiego Dowództwa Sił Specjalnych USA, Gregory Smith.

Jakie kwalifikacje uzyskują absolwenci tej uczelni?

Uniwersytet przygotowuje podoficerów starszych do zajęcia najwyższych stanowisk w Dowództwie Sił Specjalnych USSOCOM oraz w dowództwach regionalnych, czyli Geographic Combatant Command, w różnych częściach świata.

Amerykanie utrzymują dowództwa regionalne w Ameryce Północnej – NORTHCOM, Ameryce Południowej – SOUTHCOM, Afryce – AFRICOM, Europie – EUCOM, Azji i Pacyfiku – PACOM, oraz CENTCOM, który obejmuje Bliski Wschód. W każdej z tych struktur, u boku dowódcy służy Senior Enlisted Leader, czyli podoficer w najwyższym stopniu, sierżanta majora. Ze względu na doświadczenie i autorytet jest on łącznikiem pomiędzy dowódcą a korpusem podoficerskim, czyli operatorami, którzy wykonują misje. To najbliższy współpracownik i doradca, czyli i uszy dowódcy.

Uczelnia siedzibę ma w Tampie na Florydzie. Ile trwa nauka?

Program kształcenia podoficerów starszych trwa osiem miesięcy i jest podzielony na dwa etapy. Przez pół roku żołnierze uczą się za pośrednictwem internetu, a ostatnie dwa miesiące spędzają na wykładach w Tampie.

Studia przez internet? Czy to dobry pomysł?

Korzystałem ze strony internetowej uniwersytetu i z zasobów elektronicznych tamtejszej biblioteki. Do dyspozycji

miałem tysiące opracowań, różnego rodzaju materiały i prezentacje multimedialne związane z tematem kształcenia, czyli głównie z operacjami specjalnymi. Program nauki był podzielony na cztery główne części. Dotyczyły one komunikacji werbalnej i pisemnej, efektywnego dowodzenia, strategii amerykańskich sił specjalnych. Dodatkowo poznaliśmy najważniejsze pojęcia związane z polityką zagraniczną i bezpieczeństwem USA.

Co tydzień dostawaliśmy nowe tematy do opracowania. Naszym zadaniem było przygotowanie autorskiej analizy oraz komentowanie prac innych kolegów z roku. Za wszystkie zadania były punkty. Podczas ośmiomiesięcznego kursu obcokrajowcy mogli ich zdobyć 925. Ja uzyskałem 787,5 punktu.

Jeśli chodzi o drugie pytanie... tak, taka formuła studiów jest bardzo wygodna.

Łatwo było pogodzić interaktywne studia i służbę w Krakowie?

Niestety nie. W Centrum Operacji Specjalnych pracy nie brakuje, a trzeba było jeszcze znaleźć czas na przygotowywanie się do zajęć, czytanie książek i anglojęzycznych opracowań. Jeśli się jednak dobrze wszystko zaplanuje, to można to pogodzić. Amerykanie są pragmatycznym narodem. Zaproponowali taką formę nauki, by nie odrywać podoficerów od swoich zajęć narodowych. To rozwiązanie kompromisowe, które jednocześnie umożliwia pracę i kształcenie. Z ciekawością obserwowałem, że taki system nauki w żaden sposób nie obniża poziomu. Przeciwnie, Amerykanie są mocno zmotywowani. Wiedzą, że po ukończeniu tej uczelni ich notowania w armii znacząco wzrosną.

Czego w Tampie uczą się podoficerowie sił specjalnych?

Tematem kursu jest szeroko pojęta geopolityka i geostrategia. Ponieważ w przyszłości pod-

oficerowie ci mają być doradcami swoich dowódców, muszą poznać historię i kulturę regionu, wiedzieć, co się w danym miejscu dzieje i dlaczego. Klasa jest podzielona na trzy seminaRIA regionalne: Ameryki Południowej, Afryki oraz Azji i Pacyfiku.

Zostałem przydzielony do seminarium Afryki, a szczegółowo uczyłem się o Algierii. Na przykładzie tego kraju przygotowałem na koniec nauki studium bezpieczeństwa. Uczyliśmy się nie tylko o historii regionu, sytuacji politycznej, bezpieczeństwie i konfliktach

zbrojnych na wskazanym obszarze, lecz także o strategii, działaniach operacyjnych oraz możliwym rozwoju sytuacji w danym regionie i jej wpływie na bezpieczeństwo USA.

Po sześciu miesiącach nauki online rozpoczął Pan studia stacjonarne.

Od połowy stycznia do połowy marca uczyłem się w Tampie na Florydzie. Zajęcia zaczynały się rano i trwały do późnych godzin popołudniowych. Były to wykłady i praktyka, np. z dziedziny protokołu dyplomatycznego. Taka wiedza przydaje się zwłaszcza tym podoficerom, którzy później rozpoczynają służbę w amerykańskich ambasadach. Dla mnie szczególnie cenne okazały się jednak wykłady specjalistów, m.in. byłych oficerów CIA, byłych oficerów sił specjalnych, attaché obrony oraz profesorów różnych uczelni cywilnych.

Czy studia kończyły się egzaminem?

Tak, sprawdzian miał kilka etapów. Każdy ze studentów musiał przygotować studium bezpieczeństwa. Później trzeba było przedstawić tę pracę w formie multimedialnej i ją obronić. Dodatkowo przygotowałem dwie prezentacje o mojej macierzystej jednostce, czyli Centrum Operacji Specjalnych, oraz na temat jednej z amerykańskich operacji sił specjalnych.

Czy wiedza zdobyta w Stanach będzie wykorzystana w Polsce?

Podczas nauki poznałem wielu ciekawych ludzi. Niektórzy z nich w najbliższych latach zajmą najwyższe stanowiska podoficerskie w siłach specjalnych USA. Mam więc nadzieję, że zdobyte tam kontakty zaprocentują w przyszłości. Nagrodą za intensywną naukę jest także ogromna wiedza o świecie i konfliktach zbrojnych.

W Polsce, mimo licznych zapowiedzi, od lat niewiele się zmieniło w kwestii scedowania większej odpowiedzialności za korpus podoficerski na jego reprezentantów. Niestety, zmiany, które zaszły w strukturze wojsk specjalnych w styczniu 2014 roku, negatywnie odbiły się na współpracy pomiędzy jednostkami a Centrum Operacji Specjalnych. Nowy porządek skomplikował nasze relacje. Mam jednak nadzieję, że to się zmieni.

Jest Pan pierwszym Polakiem z dyplomem Uniwersytetu Podoficerów Starszych Sił Specjalnych USA. Czy będą następni?

Rzeczywiście jestem pierwszym Polakiem, który otrzymał dyplom JSOU. Przede mną uczelnię ukończyło jeszcze kilku obcokrajowców – z Estonii, Słowacji i Nowej Zelandii. Ale nie jestem ostatnim Polakiem! W przyszłym roku naukę na Florydzie rozpocznie trzech innych podoficerów z wojsk specjalnych. ■

WIZYTÓWKA

ST. CHOR. SZTAB. TOMASZ ŚWIERAD

Jest pomocnikiem dowódcy do spraw podoficerów w Centrum Operacji Specjalnych. Z armią jest związany od 1987 roku. Zanim trafił do wojsk specjalnych, służył w jednostkach 6 Brygady Powietrznodesantowej. Na misjach spędził niemal pięć lat. Służył w Bośni i Hercegowinie, Kosowie, Iraku i Afganistanie. Od 30 lat wykonuje skoki spadochronowe. Desantował się już przeszło 5 tys. razy.

| MODERNIZACJA |

NORBERT BĄCZYK

CZEKAJĄC NA CARACALĄ

Wybór maszyny H225 w przetargu na śmigłowiec wielozadaniowy dla polskiej armii wzbudził spore kontrowersje. Jest pewne, że umowa powinna zostać podpisana jak najszybciej, inaczej naszą armię czeka, jeśli chodzi o wiropląty, groźna zapaść sprzętowa.



BARTOSZ BERA



Fakty są brutalne. Čwierć wieku po rozwiązaniu Układu Warszawskiego i ponad 15 lat od wejścia do NATO większość zasadniczych systemów uzbrojenia naszej armii nadal pamięta czasy Związku Radzieckiego. Dotyczy to także floty śmigłowców. Wprawdzie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku zakupiono znaczącą liczbę rodzimej konstrukcji sokołów W3W, jednakże nawet we własnej klasie nie zastąpiły one dużo starszych, też swego czasu produkowanych w Świdniku, Mi-2. Były jedynie ich uzupełnieniem. W efekcie podstawowymi śmigłowcami Wojska Polskiego, zarówno w 1989 roku, jak i dziś, pozostają konstrukcje opracowane w biurze konstrukcyjnym Mila. Są to lekkie, uniwersalne Mi-2, transportowe Mi-8/Mi-17, służące zwalczaniu okrętów podwodnych lub ratownictwu morskiemu Mi-14 i wreszcie szturmowe Mi-24. W naszych arsenałach na łącznie 250 śmigłowców jest ponad 140 maszyn Mila. Ich dominacja jest więc absolutna.

STAN POSIADANIA

Śmigłowce Mila są konstrukcjami udanymi i lubianymi przez załogi. Znajdują się w wyposażeniu najważniejszych jednostek użytkujących wiroplaty, czyli 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych, Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej czy eskadry działań specjalnych. Najwięcej jest Mi-2 – 60 egzemplarzy. Choć może to zabrzmieć nieco dziwnie, Mi-2 to podstawowa maszyna w 49 i 56 Bazie Lotniczej, czyli dawnych pułkach śmigłowców szturmowych. Teoretycznie lekkie, wielozadaniowe Mi-2, także w odmianie uzbrojonej, są uzupełnieniem uderzeniowych Mi-24. Faktycznie, ze względu na to, że mamy tylko 28 sztuk Mi-24, to raczej „latające czołgi”, jak nazywa się Mi-24, są uzupełnieniem dla Mi-2. Niestety, obie te konstrukcje najlepsze lata służby mają już za sobą. Szturmowce są nawet pozbawione podstawowej broni charakteryzującej ten typ śmigłowca, czyli przeciwpancernych pocisków kierowanych. Re-sursy używanych dotąd ppk Falanga i Szturm już się wyczerpały, a z planów kupna ich następców w Rosji ostatecznie nic nie wyszło.

O tym, że jest źle, świadczyła już służba mili w ramach polskich kontyngentów wojskowych.

Mi-24 zostały najpierw wysłane do Iraku, później do Afganistanu. W tym drugim kraju użyto najnowszej w naszych arsenałach odmiany Mi-24W, jednak śmigłowce te miały trudności w operowaniu w górzystym Afganistanie, a co gorsza, dysponowały tylko mało precyzyjnymi środkami rażenia. A zatem, choć posłaliśmy tam nasze „latające czołgi”, ich siła ognia i dynamika okazały się dalece niewystarczające. Straciliśmy tam zresztą trzy takie maszyny, co poważnie uszczupliło arsenały.

Koniem roboczym piechoty aeromobilnej jest z kolei śmigłowiec transportowy Mi-8 (także w zmodernizowanej wersji, oznaczonej jako Mi-17). To duża, solidna maszyna, która w swym pojemnym wnętrzu może zabrać nawet pluton piechoty. Wspierały one naszych żołnierzy na misjach w Czadzie, Iraku i Afganistanie, po raz kolejny potwierdzając dobrą opinię. Nie może więc dziwić, że gdy kilka lat temu formułowano wymagania dotyczące przyszłego śmigłowca transportowego, początkowo wskazano na konstrukcję najbardziej podobną parametrami właśnie do Mi-8. Wielu wojskowych mówiło wręcz, że najlepszym następcą dla tego radzieckiego śmigłowca jest taki sam, tyle że seryjnie nowy, rosyjski. Później, wraz z pojawieniem się koncepcji maszyny uniwersalnej, odstąpiono od tego, poszukując nieco mniejszej i inaczej skonfigurowanej. A jednak to właśnie Mi-17, łącznie 12 egzemplarzy, zostały w latach 2006–2011 dokupione m.in. na potrzeby misji w Afganistanie. Paradoksalnie zaspokoilo to najbardziej palące potrzeby na śmigłowce transportowe i odsunęło w czasie decyzję co do maszyny docelowej. Obecnie w ewidencji mamy 45 sztuk Mi-8/17.

KRYTYCZNA DATA

Śmigłowce Mila nie są jednak uznawane za sprzęt perspektywiczny i trudno się dziwić, skoro większość z nich ma ponad 30 lat.

„Docelowo chcemy wycofać z eksploatacji cały sprzęt poradziecki. Śmigłowce tego rodzaju będą eksploatowane do chwili wyczerpania się ich resursów”, stwierdza gen. dyw. pil. Jan Śliwka, inspektor sił powietrznych. „Oczywiście są i będą prowadzone prace związane z bieżącym utrzymywaniem sprawności, ale nie za-



DAMIAN FIGAJ

Kokpit śmigłowca Mi-8

ZASADNICZE SYSTEMY UZBROJENIA NASZEJ ARMII PAMIĘTAJĄ CZASY ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. DOTYCZY TO TAKŻE FLOTY ŚMIGŁOWCÓW

mierzamy modernizować tych maszyn i wydłużać okresu ich służby”.

W czasie konferencji związanej ze wstępnym wyborem (wskazaniem do dalszego postępowania) śmigłowca Airbus H225, kilka miesięcy temu, gen. dyw. Anatol Wojtan, pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, stwierdził, że „krytyczną datą w wypadku śmigłowców jest rok 2019. Wtedy to lawinowo zaczną być wycofywane maszyny, które obecnie są wykorzystywane w armii”. Te słowa nie przebiły się jednak do publicznej świadomości. Zamiast tego debata, prowadzona często w mało merytoryczny sposób, skupiała się na dywagacjach, czy dokonano słusznego wyboru, czy nie.

Tymczasem lawina już ruszyła, choć na razie bardzo powoli, gdyż kilku śmigłowcom Miła rezerwy kalendarzowe wyczerpią się w przyszłym roku. Wtedy też ma być rozformowana 49 Baza Lotnicza. Potem wycofywanie sprzętu będzie tylko postępować i w latach 2019–2020 zbliży się do niebezpiecznej granicy. Oto bowiem, według aktualnych wyliczeń, z linii zostanie wycofanych ponad 100 śmigłowców. W 2020 roku znikną Mi-2 i Mi-14 oraz większość Mi-8 i Mi-24. Kilka lat później nie będzie już żadnego z nich. Za dziesięć lat z obecnie użytkowanych 143 wiroplątów Miła w służbie pozostanie tuzin najnowszych Mi-17, kupionych raptem kilka lat temu. Ta dwunastka powinna być używana do około 2030 roku. Obraz ten można jeszcze dopełnić planem wycofania około 2024 roku nielicznych morskich śmigłowców SH-2G Kaman. →



ARKADIUSZ DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ

Śmigłowiec Mi-14

Jeśli nie zostaną dokonane nowe zakupy, z obecnych 250 maszyn w ewidencji zostanie nam za kilka lat raptem niewiele ponad 100 śmigłowców, z czego co czwarty będzie lekkim aparatem szkolnym. Swoją sprzęt utracą m.in. 49 i 56 Baza Lotnicza, 1 Dywizjon Lotniczy 25 BKPow czy 44 Baza Lotnictwa Morskiego. Siły zbrojne nie będą miały możliwości wykonywania wielu zadań, które dziś mogą realizować właśnie dzięki śmigłowcom. Nasza armia zostanie właściwie tylko z sokołami, których jest wprawdzie niemal 70, ale to śmigłowiec stosunkowo niewielki.

ZAKUP PILNIE POTRZEBNY

Częściowym ratunkiem przed ową lawiną ma być najnowszy program zakupu 50 śmigłowców, określanych jako uniwersalna platforma dla różnych rodzajów sił zbrojnych. Strona polska oczekuje, że pierwsze H225 znajdą się w służbie już jesienią 2017 roku, co jest terminem niezwykle wyśrubowanym, zważywszy na fakt, że nie podpisano jeszcze kontraktu. Całe zamówienie – 50 sztuk – powinno zostać dostarczone w latach 2017–2022, czyli w tym samym czasie, gdy zostanie wycofanych ponad 100 mił. Najlepiej na tej zamianie wyjdzie marynarka wojenna, bo w zamian za dziesięć mocno już leciwych Mi-14 ma dostać 14 nowych wiroplatów, w tym osiem w wersji zwalczania okrętów podwodnych i sześć CSAR. Także eskadra działań specjalnych otrzyma wzmocnienie, gdyż przewidziano dla niej osiem nowych H225. Jednostki wykonujące zadania MEDEVAC i CSAR zasili 12 maszyn Airbusa. 1 Dywizjon Lotniczy z Łęczycy otrzyma z kolei swoją eskadrę z 16 egzemplarzami H225.

Wybór Airbusa wydaje się przy tym dość szczęśliwy. Pod względem funkcjonalności przestrzeni ładunkowej wiropląt ten, spośród uczestniczących w przetargu, najbardziej przypomina rozwiązania znane z Mi-8/14/17. Jest to taka maszyna transportowo-wielozadaniowa, o dość pojemnym wnętrzu, która umożliwi różnorodne aranżacje. Czasem można spotkać więc zarzut, że właściwie wojsko „wybrało sobie” nowszą, zachodnią wersję Mi-8. Pogląd ten nie ma jednak merytorycznego uzasadnienia, zwłaszcza gdy spojrzeć na przyczyny, dla których z rywalizacji odpadli pozostali uczestnicy.

Wziąwszy pod uwagę to, gdzie mają trafić nowe śmigłowce, trzeba sobie uświadomić, jak wielki powstanie problem, jeśli jednak kontrakt nie zostanie zawarty w najbliższym czasie lub jego zapisy nie będą wykonane. Program zakupu nowych śmigłowców, uruchomiony formal-

nie w 2012 roku, a faktycznie z przerwami realizowany jeszcze od 2006 roku, jest przecież opóźniony o kilkanaście miesięcy. Teraz margines błędu jest już bardzo niewielki, gdyż za pięć lat albo będziemy mieli nowe śmigłowce transportowo-wielozadaniowe, albo nie będziemy mieli żadnych takich maszyn, z wyjątkiem tuzina najmłodszych Mi-17.

TERAZ KRUK

W roku 2020 w służbie nie będzie już większości mił. Podjęty program ma doprowadzić do tego, że znajdą się wówczas następcy Mi-8, Mi-17 i Mi-14. Nie rozwiązuje on natomiast problemu, czym zastąpić Mi-24 i Mi-2. Tutaj odpowiedzią ma być nowy program, określany kryptonimem „Kruk”, zmierzający do nabycia około 30 nowych śmigłowców szturmowych, w miejsce „latających czołgów”. Jeśli nowe maszyny miałyby pojawić się w polskich arsenałach „na zakładkę” z Mi-24, przetarg powinien ruszyć jak najszybciej. Inaczej powstanie swoista dziura pokoleniowa, łatwa później do załatania, gdy chodzi o sprzęt, znacznie trudniejszy do zasypania w razie zerwania ciągłości strukturalnej i etatowej.

Liczba 30 śmigłowców wydać się może niewielka, ale jeśli to będzie 30 nowoczesnych maszyn szturmowych, to nie będzie się czego wstydzić. Polska zachowa obecny potencjał w tej dziedzinie, będący połową potencjału takich potęg jak Francja, Włochy czy Wielka Brytania. Niestety, dla Mi-2 następcy już nie będzie. Po części rolę tych aparatów mają przejąć bezzałogowe statki powietrzne, po części systemy naziemne. Dziś ten helikopter jest już zupełnie przestarzały, także jeśli chodzi o koncepcję wykorzystania, i sztucznie winduje statystyki.

Program wymiany śmigłowców, o ile zostanie zrealizowany, ma szansę zostać uznany za bardzo roztropnie zaplanowany i przeprowadzony. W jego wyniku Wojsko Polskie pozyska do 80 nowych maszyn – 50 wielozadaniowych i 30 szturmowych, zastępując nimi blisko 140 aparatów dawnych typów. Liczba śmigłowców się zmniejszy, ale realne możliwości nie, zwłaszcza gdy nowe maszyny uzupełnią jeszcze eskadry taktycznych bezzałogowych statków powietrznych, służących rozpoznaniu. Warunkiem jest jednak terminowa realizacja kontraktów, które przecież nie zostały jeszcze podpisane. Dlatego kontestowanie dziś wyбору dokonanego przez MON musi się wiązać ze świadomością, że naszej armii jak najprędzej są potrzebne nowe śmigłowce. Czas biegnie nieubłaganie. ■

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

10
DZIAŁÓW
O SZKOLE-
NIU I TAK-
TYCENĄ
WSPÓŁCZE-
SNYM POLU
WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

ORP „Ślązak”, czyli początek drogi

Na ten okręt marynarze czekali
od kilkunastu lat. Kiedy już się
pojawił, dał nadzieję,
że dla zaniedbywanych sił
morskich to początek nowych,
lepszyc czasów.

Płyn po morzach i oceanach świata, sław imię polskiego stoczniońca i marynarza, nadaję ci imię »Ślązak«”. W czwartek 2 lipca, kilka minut po godzinie 11, słowa zwyczajowej formuły popłynęły ponad głowami setek osób zebranych na nabrzeżu Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni. Chwilę później wypowiadająca je Maria Waga, żona adm. Romualda Wagi, byłego dowódcy marynarki wojennej, rozbiła o burtę butelkę z szampanem, marynarska orkiestra odegrała hymn Polski, nowy okręt zaś zaczął być z wolna opuszczany do wody. Pomogła w tym specjalistyczna platforma oparta na systemie wind i pontonów. „Proces potrwa około godziny”, tłumaczył Aleksander Gierkowski z Biura Budowy Okrętu Patrolowego gdyńskiej stoczni.

Tak więc ostatni akt wodowania przypominał trochę samą historię „Ślązaka” – niezbyt efektowną, ale za to naznaczoną mozołem i ponad miarę rozciągniętą w czasie. Co jednak ważniejsze, obydwaj przedsięwzięcia udało się doprowadzić do szczęśliwego finału, który pozwala mieć nadzieję, że w marynarce, przez lata zaniedbywanej, wreszcie „idzie nowe”.

HISTORIA ZATACZA KOŁO

Dzieje budowy ORP „Ślązak” sięgają 2001 roku, kiedy to ruszyła realizacja programu „Gawron”, który miał zapewnić Polsce siedem nowoczesnych korwet. Zgodnie z ówczesnymi planami pierwsza z nich powinna rozpocząć służbę w 2009 roku. W wyniku licznych zawirowań, programu nie udało się zrealizować. Pozostał po nim jeden kadłub i mnóstwo wątpliwości. Resort obrony rozważał trzy możliwości. Pierwsza z nich zakładała dokończenie budowy korwety, co jednak wiązałoby się z wydatkami sięgającymi nawet miliarda złotych. Kolejna polegała na sprzedaży kadłuba na złom. Ostatnia – na zbud-





Od lewej: inspektor MW kad. Marian Ambroziak, dowódca generalny RSZ gen. dyw. Mirosław Różański, wicepremier, minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak i sekretarz stanu w MON Czesław Mroczek.

Maria Waga, matka chrzestna okrętu, przyznaje: „Życie mierzy się właśnie takimi chwilami. Momentami, kiedy człowiekowi brakuje tchu”.

JAK ZAPEWNIĆ PRZYCHYLNOŚĆ

Wodowaniu statku przez wieki towarzyszyły obrzędy o charakterze religijnym. Miały one zapewnić jednostce i jej załodze boską przychylność, a co się z tym wiąże uchronić ją przed przeciwnościami losu. Najstarsze wzmianki o uroczystościach związanych z wodowaniem są datowane na 2100 rok przed Chrystusem, kiedy to na Nil został spuszczonego statek faraona. Najbardziej krwawy wymiar obrzędy te zyskały u Wikingów. Zjeżdżający po pochylni drakkar skręcał karki niewolnikom. Potem ofiary z ludzi zostały zastąpione ofiarami z krwi, którymi były wypełnione, rozbijane przez statek dzbany. W XVII wieku istotnym elementem chrztu i wodowania stała się butelka wina, rozbijana o burtę. Zwyczaj ten wprowadzili Francuzi. Oni też po latach zamienili wino na szampan. W Stanach Zjednoczonych, podczas prohibicji, przez pewien czas, zamiast trunku, była używana woda. Kolejnego wielkiego przełomu dokonali Anglicy. To właśnie w Wielkiej Brytanii chrztu statku po raz pierwszy dokonała kobieta. Działo się to w 1811 roku. Według jednego z przesądów, wodowania i chrztu nie można dokonywać w piątki.

waniu na podstawie tego, co mamy, nowoczesnego okrętu patrolowego. I ten właśnie wariant ostatecznie zwyciężył.

Pod koniec 2013 roku minister obrony Tomasz Siemoniak podpisał stosowne dokumenty, a rok później w Gdyni odbyło się tzw. techniczne wodowanie „Ślązaka”. Dwa holowniki wyprowadziły kadłub z niecki podnośnika, a następnie pomogły obrócić go o 180 stopni. Jednostka powtórnie trafiła do niecki, gdzie została podniesiona na wysokość około 2 m i wprowadzona do hali. Tam rozpoczął się m.in. montaż śrub. Wodowanie, choć tylko techniczne, odbiło się szerokim echem w mediach, nie tylko branżowych i nie tylko na Pomorzu. Wówczas jednak „Ślązak” był jeszcze bytem nie do końca określonym, dopiero nabierającym kształtów. 2 lipca stał się już pełnoprawnym okrętem.

„Historia zatoczyła koło. Kiedy mój mąż dowodził marynarką wojenną, został zwodowany ostatni, jak do tej pory, polski okręt – trałowiec ORP »Wdzydze«. Dziś wodujemy kolejny, a ja zostaję jego matką chrzestną”, podkreślała podczas uroczystości Maria Waga. Kmdr Janusz Walczak z Ministerstwa Obrony Narodowej dodał: „To moment symboliczny, na który czekaliśmy 21 lat. Powoli traciłem wiarę, że dane mi będzie jeszcze przeżyć taką chwilę. A przynajmniej, że doczekam jej w mundurze”.

OKRĘT Z POTENCJAŁEM

Jaki jest więc ORP „Ślązak”? „Dostajemy okręt bardzo nowoczesny”, przekonuje kmdr Walczak. „Został przeznaczony m.in. do wykonywania zadań patrolowych, ochrony morskich

linii komunikacyjnych i podejść do portów, do zwalczania celów powietrznych, nawodnych i tzw. zagrożeń asymetrycznych, czyli walki z piractwem i terroryzmem. Będzie mógł działać zarówno na Bałtyku, jak i poza nim”.

Długość nowego okrętu przekracza 95 m, szerokość zaś 13 m. Wyporność jednostki została obliczona na 1800 t. „Ślązak” będzie rozwijał prędkość ponad 30 w. Jego zasięg przy prędkości 14 w. to 4,5 tys. Mm, autonomiczność zaś, czyli zdolność operowania na morzu bez konieczności zawijania do portu w celu uzupełnienia zapasów, wynosi 30 dni. Na pokładzie okrętu będzie mógł czasowo bazować śmigłowiec morski.

ORP „Ślązak” zostanie wyposażony m.in. w system dowodzenia wraz z konsolami firmy Thales, armatę morską OTO Melara kalibru 76 mm, dwie armaty Marlin-WS kalibru 30 mm, cztery wyrzutnie pocisków rakietowych Grom, cztery karabiny WKM kalibru 12,7 mm, stację radiolokacyjną, sonar nawigacyjno-ostrzegający oraz system kierowania ogniem. „Od korwety różni się tym, że nie ma uzbrojenia agresywnego, służącego do prowadzenia działań ofensywnych”, tłumaczy kmdr Walczak. „W każdej chwili będzie go można jednak doposażyć, choćby w rakiety przeciwlotnicze i przeznaczone do zwalczania innych okrętów czy też wyrzutnie torped. Wszystko zależy od decyzji uprawnionych do tego osób, no i od pieniędzy, które trzeba byłoby na takie uzbrojenie przeznaczyć”.

Na razie jednak to pieśń przyszłości. Przez najbliższych kilkanaście miesięcy ORP „Ślązak” pozostanie w stoczni. „Przed nami kolejne etapy prac, wcale nie łatwiejsze od dotychczasowych”, przyznaje Aleksander Gierkowski. „W najbliższym

czasie okręt będzie wyposażany w sprzęt łączności, nawigacji, w uzbrojenie. Zaczniemy jednak od uruchamiania mechanizmów głównych: siłowni, siłowni pomocniczych, agregatów. »Ślązak« przejdzie tzw. próby na uwięzi, w porcie, następnie zaś próby morskie».

Wraz z montowaniem kolejnych elementów będzie też powiększana załoga jednostki. Na razie liczy ona około 20 osób. Marynarze wywodzą się z okrętów rakietowych typu Orkan, fregat rakietowych typu Oliver Hazard Perry, korwety ORP „Kaszub” i jednostek typu Tarantul. „Na okręcie jesteśmy praktycznie każdego dnia. Śledzimy jego budowę, poznajemy mechanizmy”, wyjaśnia kmdr ppor. Sebastian Kała, dowódca ORP „Ślązak”. On sam był zobowiązany opracować tzw. rozkład alarmów okrętowych, który poszczególnym członkom załogi wyznacza zakres obowiązków. Do tego dochodzą szkolenia dotyczące obsługi sprzętu pokładowego, systemów dowodzenia, uzbrojenia, funkcjonowania okrętowej siłowni. „To oznacza ciągle rozjazdy, bo część zajęć odbywa się bezpośrednio u producentów sprzętu, w Niemczech, Holandii. Pracy mamy mnóstwo”, zaznacza kmdr ppor. Kała.

Docelowo załoga ORP „Ślązak” będzie liczyć 97 osób. „Okręt wejdzie do służby za kilkanaście miesięcy”, informuje kadm. Marian Ambroziak, inspektor marynarki wojennej w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Zgodnie z planem powinno to nastąpić w trzecim albo czwartym kwartale przyszłego roku. Na razie nie wiadomo, gdzie zostanie przyporządkowany. Wiele wskazuje jednak na to, że będzie to Dywizjon Okrętów Bojowych 3 Floty w Gdyni.

MORZE STRATEGICZNE

Marynarka dostaje „Ślązaka” w najbardziej chyba odpowiednim momencie. „Bałtyk jest morzem strategicznym, zarówno z punktu widzenia polskich interesów, jak i interesów NATO. A sojusz, ze względu na ostatnie wydarzenia w Europie i wokół niej, w zupełnie nowy sposób patrzy na zdolności morskie. Pokazały to choćby ostatnie manewry »Baltops«”, podkreśla Tomasz Siemoniak, wicepremier i minister obrony narodowej. Na Bałtyku w pierwszej połowie czerwca przez kilkanaście dni ćwiczyło wspólnie ponad 50 okrętów z kilkunastu państw. W założeniu miało to być pokaz siły i jedności NATO oraz jego partnerów. Politykę bezpieczeństwa bowiem, jak wyjaśnia kmdr Walczak, w dużej mierze uprawia się dziś właśnie na morzu. „Już sama demonstracja bandery pokazuje, że kraj ma w danym regionie swoje interesy, że ma tam coś do powiedzenia, że się liczy”, podkreśla kmdr Walczak. Silna obecność na morzu jest ważna o tyle, że to właśnie drogą morską jest dziś przerzucana większość towarów i surowców. Zakłócenie żegluga może oznaczać destabilizację gospodarki, i to nie tylko w wymiarze lokalnym.

Ale budowa ORP „Ślązak” ma też ogromne znaczenie dla gdyńskiej stoczni. Znajduje się ona w upadłości likwidacyjnej. „Współpraca z sądem i syndykiem uchroniła nasz zakład przed ostatecznym rozwiązaniem”, przyznaje dyrektor Zenon Śmietana. „Nasza sytuacja systematycznie się poprawia. Dzięki tej inwestycji ciągle nabywamy nowych doświadczeń. Wszystko to, wraz z naszym potencjałem technicznym oraz infrastrukturalnym,

pozwała nam z optymizmem patrzeć w przyszłość”, podkreśla dyrektor.

Tymczasem już podczas wodowania wicepremier Siemoniak zwracał uwagę: „Dzisiaj możemy świętować, ale świętować będziemy krótko. Trzeba dalej ciężko pracować, aby odbudować polską marynarkę wojenną”.

LATO Z KORMORANEM

Już w sierpniu zostanie zwodowany kolejny okręt – pierwszy z trzech niszczycieli min typu Kormoran II. Do służby, podobnie jak ORP „Ślązak”, wejdzie on w przyszłym roku. Kormorany pozwolą polskiej marynarce nadal brać udział w misjach Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwdziałania NATO – Grupa 1 (SNMCMG1). Na tym jednak nie koniec. Resort obrony zaprosił właśnie Polską Grupę Zbrojeniową do negocjacji w sprawie

budowy trzech okrętów patrolowych z funkcją zwalczania min (projekt „Miecznik”) oraz trzech jednostek obrony wybrzeża (projekt „Czapla”). „PGZ to dobry partner dla większości planów modernizacyjnych, polskie stocznie zaś są gotowe do realizacji tego typu przedsięwzięć”, zaznacza wicepremier Siemoniak, choć, jak podkreślał podczas wodowania ORP „Ślązak”, sprawa zamówienia nie jest jeszcze przesądzona. „Nasze stocznie są nam bliskie, ale chodzi o pieniądze publiczne, więc jesteśmy gotowi twardo negocjować warunki”.

W przyszłym roku ministerstwo obrony powinno też podpisać umowę na dostarczenie marynarce trzech nowoczesnych okrętów podwodnych (projekt „Orka”). Jednostki zostaną wyposażone m.in. w rakiety manewrujące dalekiego zasięgu. Do tego dochodzą jeszcze jednostki specjalistyczne, ale też pomocnicze, takie jak choćby holowniki, których dostawy powinny się rozpocząć w przyszłym roku. Nowe śmigłowce dostanie też lotnictwo morskie. „Kilka lat temu w Gdyni przedstawiałem koncepcję rozwoju marynarki wojennej do 2030 roku. Nie wszyscy dowierzali, że plany uda się zrealizować. Dziś zrobiliśmy ważny krok”, przyznaje wicepremier Siemoniak.

OD TORPEDOWCA DO PATROLOWCA

Polska marynarka wojenna miała już kilka okrętów o nazwie „Ślązak”. Pierwszym z nich był torpedowiec używany w latach 1921–1937, najsłynniejszym – niszczyciel typu Hunt II, który w trakcie II wojny światowej wykonywał zadania m.in. na Morzu Śródziemnym. Jednostka brała udział w konwojach gibraltarskich, rajdzie na Dieppe, podczas którego zestrzeliła cztery niemieckie samoloty i okazała się jednym z dwóch najsukcesywniejszych pod tym względem okrętów operacji, osłaniała alianckie desanty na Sycylii oraz w Normandii. Jako ostatni nazwę „Ślązak” nosił zbudowany w ZSRR okręt podwodny projektu 96, który w służbie pozostawał od 1954 do 1966 roku.

Początkom żadnego z nich nie towarzyszyły jednak takie emocje, jak czwartemu „Ślązakowi”. „Wybraliśmy tę nazwę, bo nawiązuje do szczególnych relacji pomiędzy Śląskiem a Gdynią. To dwa silne bieguny polskości”, podkreślał w czasie wodowania wicepremier Siemoniak.

Maria Waga, matka chrzestna okrętu, przyznaje: „Życie mierzy się właśnie takimi chwilami. Momentami, kiedy człowiekowi brakuje tchu”.

**NAZWA OKRĘTU
NAWIĄZUJE DO
SZCZEGÓLNYCH
RELACJI MIĘDZY
ŚLĄSKIEM
A GDYNIA.
TO DWA SILNE
BIEGUNY
POLSKOŚCI**

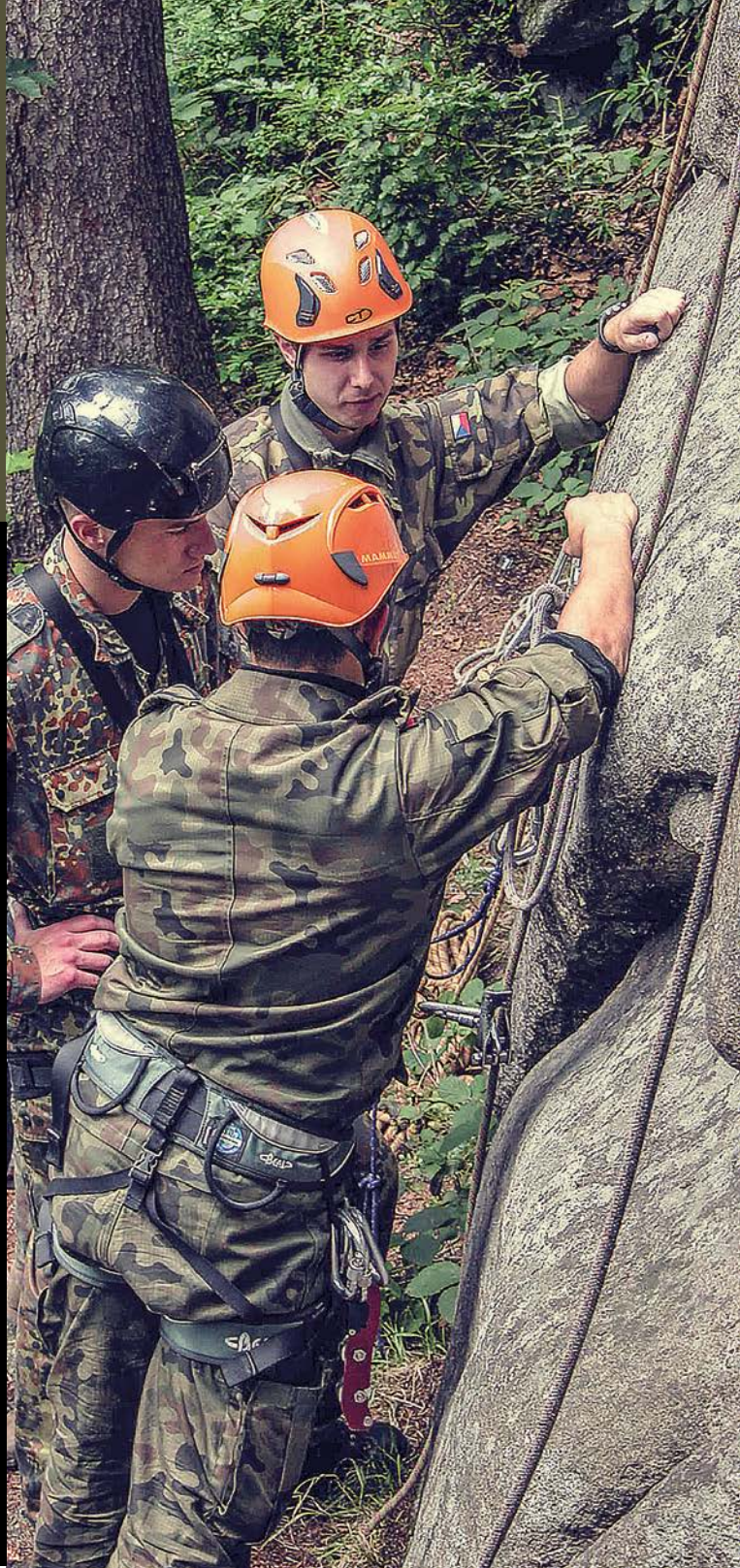
ŚCIEŻKA INSTRUKTORA

Wielu członków Sekcji Szkoleń Wysokogórskich dochodzi do poziomu instruktora rekreacji ruchowej – wspinaczki skałkowej. Ścieżka taka, obejmująca wiele szkoleń, zajmuje około dwóch lat. Sekcja współpracuje w tej dziedzinie z Akademią Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

SEKCJA ENTUZJASTÓW

Byli członkowie Sekcji Szkoleń Wysokogórskich służą dziś w elitarnych jednostkach w całym kraju. Już jako podchorążowie zdobyli doświadczenie, kontakty międzynarodowe i umiejętność współpracy z żołnierzami innych nacji. Jak mówią, to sekcja ukształtowała ich jako dowódców.



Korzenie Sekcji Szkoleń Wysokogórskich (SSW) sięgają lat 1993–1994 i działającego wtedy koła wspinaczki. W 1998 roku, z inicjatywy Andrzeja Demkowicza, dziś podpułkownika, powstało Naukowe Koło Podchorążych Rozpoznania Wojskowego i Działań Specjalnych. W 2010 roku zostało ono przekształcone w sekcję. To najstarsza działająca nieprzerwanie organizacja podchorążych. Jej głównym zadaniem jest szkolenie wysokogórskie.

„Od początku zależało nam na promocji tej właśnie tematyki. Chcieliśmy prowadzić szkolenia uzupełniające”, mówi

ppłk Andrzej Demkowicz, szef SSW, wykładowca w Zakładzie Rozpoznania i Dowodzenia Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu. Oficer dodaje: „Już ponad dekadę temu podchorążowie zdobywali wiedzę i umiejętności, które wykraczały poza standardowe programy nauczania. Ale nasza praca miała także przełożenie na całą uczelnię”.

Na podstawie doświadczeń sekcji do programu kształcenia w uczelni wprowadzono nowe przedmioty – szkolenie wysokogórskie i szkolenie taktyczno-narciarskie. Podczas zajęć

PAMIĘTAJĄ O KOLEGACH

Członkiem Sekcji Szkoleń Wysokogórskich był poległy w Afganistanie w 2009 roku śp. kpt. Daniel Ambroziński, który działał jeszcze w jej pierwszej ekipie w 1998 roku. Należał do niej także śp. por. Daniel Rożyński, który brał udział w Cambrian Patrol w 2002 roku. Dwa lata później poległ na misji w Iraku. Członkowie sekcji wspominają kolegów na corocznych spotkaniach.

DO NAJWAŻNIEJSZYCH SUKCESÓW STUDENCI ZALICZAJĄ START W ITALIAN RAID COMMANDO. DO RYWALIZACJI STANEŁO TAM BLISKO 300 UCZESTNIKÓW

praktyczno-teoretycznych przyszli żołnierze wojsk rozpoznawczych oraz aeromobilnych uczą się m.in. prognozowania zagrożeń mogących wystąpić w górach, technik wykorzystania sprzętu wysokogórskiego oraz podstaw przetrwania w różnych warunkach atmosferycznych. Ostatnio Ministerstwo Obrony Narodowej zatwierdziło także letnie i zimowe kursy doskonalące dla żołnierzy zawodowych z jednostek wojskowych.

Do dziś SSW jest nazywana często sekcją wspinaczki. „To błąd. Samo szkolenie wspinaczkowe jest wąską dziedziną

i tylko jedną z części szkolenia wysokogórskiego. Nasz program to coś więcej niż sport i wspinaczka”, wyjaśnia płk Demkowicz.

Sekcja organizuje szkolenia tematyczne, wykłady i treningi kondycyjne. Każdego roku jest opracowywany ogólny ich plan z uwzględnieniem przede wszystkim krajowych i zagranicznych wyjazdów. „Nasze codzienne szkolenie jest jednak prowadzone w zależności od czasu i potrzeb. Nie mamy sztywnych terminów zajęć. Studenci i podchorążowie sami umawiają się z instruktorami, szkolą się w zasadzie przez ➔

cały rok”, opisuje ppłk Demkowicz. Na miejscu, we Wrocławiu, korzystają z ponad 20-metrowej wieży spadochronowej, na której są prowadzone zajęcia wysokościowe i treningi wspinaczkowe. Częściej ćwiczą jednak w terenie. Systematycznie wyjeżdżają w Karkonosze, gdzie się szkolą, wykorzystując infrastrukturę Ośrodka Szkolenia WSOWL „Wysoki Kamień” w Szklarskiej Porębie. Regularnie bywają także w Tatrach, na skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, w Sokolikach, Kotlinie Kłodzkiej oraz w różnego rodzaju jaskiniach i sztolniach.

Latem trenują wspinaczkę i doskonałą umiejętność linowe. Zimą szlifują narciarstwo skiturowe i wysokogórskie, mają zajęcia z alpinizmu zimowego i lawinoznawstwa, uczą się przetrwania w niskich temperaturach.

„Do dyspozycji mamy sprzęt najlepszej jakości. W wyposażeniu sekcji jest letni i zimowy sprzęt alpinistyczny do wspinaczki, technik jaskiniowych, łączności, narty skiturowe i klasyczne”, zaznacza szef SSW.

WIZYTÓWKA UCZELNI

Ale szkolenie w kraju to tylko część działalności pasjonatów. Sekcja na stałe współpracuje z partnerami (wojskowymi akademiami lub jednostkami i ośrodkami szkolenia) m.in. w Czechach, Rumunii, Austrii, Szwajcarii. „To bardzo przydaje się podchorążym. Już bowiem na początkowym etapie nauki działają z sojusznikami. Mogą się szkolić w międzynarodowym towarzystwie i różnego rodzaju warunkach”, przyznaje ppłk Demkowicz. Oficer podkreśla, że zagraniczne zmagania podchorążych mają jeszcze jedną zaletę. Studenci przekonują się bowiem, że dzięki ciężkiej pracy osiągają bardzo dobre wyniki i nie mają się czego wstydzić.

Od początku funkcjonowania SSW podchorążowie próbują swoich sił podczas różnego rodzaju zawodów na terenie kraju oraz za granicą. Wrocławską uczelnię oficerską reprezentowali m.in. na Ukrainie, w Azerbejdżanie, Mołdawii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Kanadzie, Wielkiej Brytanii. Do najważniejszych międzynarodowych startów SSW należą te w Szwajcarii, Czechach, Walii oraz we Włoszech.

„Brałem udział w wielu kursach i szkoleniach, ale przełomowym momentem był dla mnie wyjazd do Walii. Wtedy bardzo poważnie podszedłem do wyzwania, jakie stawiała sekcja”, przyznaje ppor. Sławomir Woch, tegoroczny absolwent WSOWL.

W 2013 roku w zawodach Cambrian Patrol, które są uznawane za jedno z najbardziej wymagających w Europie, wzięło udział ośmiu najlepszych i najbardziej doświadczonych studentów. Podchorążowie musieli w dwa dni pokonać 60 km. Przemierzali bagna, podmokłe łąki, góry, strumienie, bezdroża i górskie

WARUNKIEM PRZYSTĄPIENIA DO SEKCJI JEST UKOŃCZENIE PODSTAWOWEGO KURSU WSPINACZKOWEGO ZGODNEGO Z PROGRAMEM POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU

szczyty – miejsca, gdzie co roku odbywa się selekcja do brytyjskiego SAS-u. Podchorążowie byli oceniani na równi z żołnierzami zawodowymi z pododdziałów rozpoznawczych, a nad prawidłowym wykonywaniem zadań czuwali brytyjscy instruktorzy, którzy swoje doświadczenie zdobywali m.in. w Iraku i Afganistanie. Wynik zawodów rozbudził ambicje studentów. Podchorążowie wrócili do Polski ze srebrnym medalem.

Rok temu reprezentacja sekcji wzięła udział w ekstremalnym kursie Xtreme2 w Czechach. „Utrzymujemy bliską współpracę z Uniwersyteciem Obrony w Brnie. Często bierzemy udział we wspólnych przedsięwzięciach. Wtedy nasi południowi sąsiedzi zaprosili nas na kurs survivalowy”, mówi szef sekcji. Zjazd z 35-metrowej skały przy braku widoczności, przeprawa przez jezioro własnoręcznie wykonaną tratwą, do tego brak snu, pożywienia, niesprzyjająca aura i czujna obserwacja psychologów – żołnierze wspominają, że nie był to tylko sprawdzian ich umiejętności, ale przede wszystkim test odporności psychofizycznej.

Do najważniejszych sukcesów studenci zaliczają start w Italian Raid Commando Lombardia 2015. W tym roku do rywalizacji stanęło bli-

sko 300 uczestników z 20 krajów. Drużyna z Sekcji Szkoleń Wysokogórskich reprezentowała polskie wojsko. „Nie było łatwo. Rajd trwał 18 godzin, ale udało nam się wywalczyć pierwszą lokatę wśród uczelni wojskowych z całej Europy i szóste miejsce w klasyfikacji generalnej”, mówi por. Piotr Stykowski i dodaje: „Przygotowaliśmy się solidnie przez dwa miesiące. Pracowaliśmy nad kondycją, organizowaliśmy marsze, treningi strzeleckie, ćwiczyliśmy także różne sytuacje taktyczne: zasadzki, przeszukania budynków. Wiedzieliśmy, że aby dobrze wykonać zadanie, wzajemna komunikacja i zgranie muszą być na bardzo wysokim poziomie”. Zawodnicy mieli zbudować postarunek, a następnie prowadzić obserwację przez cztery godziny. Przeprowadzili się przez jezioro z bronią i wyposażeniem, sprawdzili także swoją celność podczas strzelań sytuacyjnych.

NAUKA PROCENTUJE

Warunkiem przystąpienia do sekcji ppłk. Demkowicza jest ukończenie podstawowego kursu wspinaczkowego zgodnego z programem Polskiego Związku Alpinizmu. Choć chętnych zgłasza się sporo, nie każdy łapie „wysokogórskiego” bakcyła. Dlatego o ile na początku działalności SSW w jej szeregi wstępowało bardzo wielu chętnych, o tyle dziś wykładowcy obserwują odwrotny trend. „Członków jest mniej, ale mam wrażenie, że przychodzą do nas ludzie zdeterminowani, nastawieni na konkretny cel. Niewiele jest w tym przypadku”, dodaje ppłk Demkowicz. Obecnie w SSW działa 30 osób. To wojskowi i cywilni studenci. „Są wśród nich ludzie, którzy chcą się czegoś nauczyć, zdobyć nowe umiejętności. Osoby bardzo ambitne, które wiedzą, po co przyszły do wojska i dlaczego chcą zostać dowódcami. To takie niepokorne dusze, które chcą więcej i więcej”, uzupełnia.

„Decyzja o wstąpieniu do SSW była najlepsza, jaką podjąłem w ostatnich latach. Dzielić czas pomiędzy studia i ambitny plan szkoleń wysokogórskich nie przyszło łatwo, ale się opłaciło. Sekcja nie tylko kształtuje charakter przyszłych dowódców, lecz także wskazuje drogę kolejnym pokoleniom oficerów”, mówi ppor. Woch.

Sekcja Szkoleń Wysokogórskich może pochwalić się imponującą listą absolwentów. W jej szeregach kształcili się prymusi wrocławskiej uczelni, wyróżniający się oficerowie służący w 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich, 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej, 6 Brygadzie Powietrznodesantowej i w pułkach rozpoznawczych. Wychowankowie ppłk. Andrzeja Demkowicza służą także w Jednostce Wojskowej Komandosów i GROM-ie.

„Czas spędzony w kole [wówczas Naukowe Koło Podchorążych Rozpoznania i Działań Specjalnych] wspominam bardzo dobrze. Stworzyliśmy grupę ludzi, która chciała robić więcej niż inni. Poświęciliśmy prywatny czas i pieniądze, by się rozwijać. Zdobywaliśmy tytuły m.in. instruktorów ratownictwa górskiego. Ćwiczyliśmy w górach z wykorzystaniem śmigłowców. Dla młodego człowieka nie ma nic lepszego. Umiejętności zdobyte na uczelni i w kole naukowym przekładają się bezpośrednio na dowodzenie”, opisuje ppłk Dariusz Czekaj, dowódca 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich 21 BSP, jeden z pierwszych absolwentów Sekcji Szkoleń Wysokogórskich. Przyznaje, że SSW wpłynęła na drogę zawodową przyszłych dowódców. „Wielu z nich jest

w jednostkach górskich, powietrznodesantowych i specjalnych. Dziś wśród podporuczników łatwo rozpoznać absolwentów sekcji. Przede wszystkim wyróżnia ich samodzielność i podejmowanie inicjatywy”, przyznaje ppłk Czekaj.

Szefa sekcji, ppłk. Demkowicza, cieszy taka opinia. Przyznaje, że od początku działalności SSW wierzył, że jego wychowankowie będą na wygranej pozycji. „Mają znakomitą kondycję, doświadczenie, kontakty międzynarodowe i praktyczną umiejętność współpracy z żołnierzami innych narodowości. Są też doświadczeni we współpracy z najlepszymi jednostkami w Polsce. To umiejętności niezbędne dowódcy plutonu, który będzie planował i organizował szkolenie, także w terenie górskim”.

Ppor. Sławomir Woch, absolwent WSOWL, wkrótce obejmie obowiązki dowódcy plutonu w jednej z jednostek 21 Brygad Strzelców Podhalańskich. Przyznaje, że szkoła dała mu dobre podstawy. „Dzięki uczelni, ludziom takim jak ppłk Demkowicz, wiem, czym jest dowodzenie. Nie boję się brać odpowiedzialności za szkoloną grupę. Jestem pewny siebie, nie waham się podejmować decyzji i wiem, jak radzić sobie ze stresem”, przyznaje. Podobnego zdania jest tegoroczny absolwent szkoły, prymus, ppor. Dominik Mizerny. „Jestem przekonany, że działalność w sekcji procentuje. Będę służyć w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, gdzie, mam nadzieję, dobrze wykorzystam zdobytą wiedzę. Wiem, jak prowadzić działania taktyczne w górach, jak kierować szkoleniem podwładnych w trudnym środowisku walki”. Podkreśla jednocześnie, że bycie członkiem sekcji, choć niesie wiele korzyści dla przyszłej kariery zawodowej, wymaga też sporo samozaparcia.

„Sekcja przyciąga entuzjastów gór. Ludzi z pasją. Dzięki ppłk. Demkowiczowi można się tam świetnie rozwijać. Ale trzeba być bardzo zdyscyplinowanym. Kiedy jest dużo szkoleń i zawodów, wiele wyjazdów w góry, pojawiają się zaległości w szkole. Choć nie jest to reguła, to zdarzają się problemy z nauką. Zaangażowanie jest więc bardzo absorbujące. Czy żałuję? Nigdy w życiu!”, przyznaje ppor. Piotr Wojnarowski, od roku dowódca plutonu w 18 Batalionie Powietrznodesantowym w Bielsku-Białej. A ppor. Mizerny uzupełnia: „Nie było taryfy ulgowej, gdy po wyjeździe z sekcją, trzeba było nadrobić zaległości czy zdać kolokwia. Ale było warto. Z całą pewnością”.

DRUŻYNA INDYWIDUALISTÓW – SPROSTOWANIE

W lipcowym numerze „Polski Zbrojnej”, w artykule „Drużyna indywidualistów”, opisującym zawody użytecznie-bojowe zwiadowców, popełniłem błąd, podając niewłaściwe nazwisko głównego bohatera wydarzenia, dowódcy zwycięskiego zespołu, por. Szczepana Fiedorowicza. Jest mi z tego powodu ogromnie przykro, tym bardziej że pan porucznik nie jest mi osobą obcą, od dawna śledzę i bardzo cenię jego osiągnięcia.

PIOTR BERNABIUK

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Żandarm na misji

Ośmiomiesięczna misja w Republice Środkowoafrykańskiej dała żołnierzom nowe doświadczenia.

Gdy opowiadają o tym, co najbardziej zapamiętali, mówią o zabójczym klimacie, uderzającej na każdym kroku biedzie, braku poszanowania dla ludzkiego życia, ale także o nowych doświadczeniach.

Dla kpt. Ryszarda Skoczylasa, dowódcy plutonu Żandarmerii Wojskowej, który na I zmianie PKW w Republice Środkowoafrykańskiej (RŚA) spędził pięć i pół miesiąca, była to jedna z najtrudniejszych misji. „W Afganistanie trzeba było uważać na ajdiki ukrywane przy drogach. W Afryce nigdy nie było wiadomo, skąd nadejdzie zagrożenie ani kto je stworzy. Zagadkę stanowiło także nastawienie miejscowej ludności, które mogło zmienić się z dnia na dzień”, opowiada kapitan. Gdy wrócą szczęśliwie do kraju, dowódca I zmiany PKW RŚA płk Adam Stręk przyzna, że „misja była trudna, bo przecieraliśmy tam szlak jako pierwsi”.

KANIBALIZM ONLINE

Sierż. Albin Szlązak myślał, że skoro jedzie do Afryki, to warunki mogą być spartańskie. „Na miejscu okazało się jednak, że nie będziemy spać w namiotach, lecz w klimatyzowanych kontenerach”, opowiada. Podmuchy wiatru wzbijały rdzawe obłoki pyłu, który pokrywał wszystko dookoła. Sprawiał, że zniszczone domy o ścianach podziurawionych kulami czy spalone samochody na drogach wyglądały niczym umazane we krwi. Obrazu zniszczenia dopełniały zgłiszcza i popioły, które pozostały po wielu spalonych wioskach, a także opustoszałe lub opanowane przez bojówki dzielnice miast.

Taki był rezultat walk dwóch wrogich obozów: tzw. selekowców, czyli muzułmanów, oraz tzw. milicji Antybalaka (w dosł. tłum. antymaczet) złożonej z chrześcijan. Zachodni dziennikarze, którzy byli w Bangi, stolicy tego państwa, opisywali, że członkowie chrześcijańskich bojów-

wek noszą talizmany zrobione z kawałków ciała swych zabitych wrogów oraz amulety zawierające ich krew.

„Ludzkie szczątki w zaroślach na poboczu drogi nie wzbudzały niczyjego zainteresowania, zabierały je organizacje humanitarne”, wspomina ppłk Arkadiusz Wojtaczka, zastępca dowódcy I zmiany PKW. Do takich makabrycznych obrazów kpt. Skoczylas dorzuci jeszcze zwłoki kobiet w ciąży, które zdarzało im się wyciągać ze studni.

Ta makabra dostępna jest online. Wystarczy wejść na YouTube i posłuchać „Wściekłego Psa”, który opowiada korespondentowi BBC, jak razem z grupą chrześcijan wywlekl z autobusu i zlinczował muzułmanina. Zrobił to w akcie zemsty, bo kilka miesięcy wcześniej muzułmanie zamordowali jego ciężarną żonę, szwagierkę oraz jej małe dziecko. Ciało podpalił i publicznie zjadł kawałki mięsa z odciętej nogi ofiary.

Aby zrozumieć, skąd wzięła się taka nienawiść, trzeba sięgnąć do historii tego afrykańskiego kraju.

ZAPOBIEC POGROMOM

Republika Środkowoafrykańska składa się z „czarnego” południa, zamieszkanego głównie przez chrześcijan i animistów, oraz biednej północy, gdzie dominują islam i kultura arabska. Tę była kolonię francuską zamieszkuje około 5 mln osób, głównie chrześcijan i protestantów, muzułmanie stanowią zaledwie 15% populacji.

Gdy przed dwoma laty muzułmańscy rebelianci obalili chrześcijańskiego prezydenta François Bozizé, a jego miejsce zajął przywódca ugrupowania Seleka, Michel Djotodia, w kraju zapanała anarchia. Walki między chrześcijanami a muzułmanami przerodziły się w pogromy religijne. Wojna domowa zagrażała stabilności całego regionu. Aby zapobiec ludobójstwu, w grud-



RYSZARD SKOCZYLAS, DAMIAN KAZIMIERSKI (2)



POLSCY ŻANDARMI SŁUŻYLI Z NAJBARDZIEJ RENOMOWANYMI FORMACJAMI POLICYJNYMI W EUROPIE

niu 2013 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych podjęła rezolucję o interwencji w Republice Środkowoafrykańskiej połączonych sił Unii Afrykańskiej i Francji (6 tys. żołnierzy). Francuzi prowadzili też własną operację – „Sangaris” (1600 żołnierzy).

W styczniu ubiegłego roku Djotodia ustąpił z urzędu, a jego miejsce zajęła tymczasowa prezydent Catherine Samba-Panza. Zmiana nie uspokoiła jednak do końca nastrojów. Dlatego w kwietniu 2014 roku Unia Europejska (na wniosek

Francji) zorganizowała w Republice Środkowoafrykańskiej misję stabilizacyjną (European Union Force Republic Central African – EUFOR RCA). Początkowo w jej skład weszło 500 żołnierzy, wśród nich Polacy.

W BŁĘKITNYCH BERETACH

Żołnierze polskiego kontyngentu wojskowego rozpoczęli służbę w Republice Środkowoafrykańskiej w połowie lipca 2014 roku. Operacja była prowadzona w rejonie stolicy kraju, →

Bangi, we współpracy z władzami republiki, z Unią Afrykańską, ONZ oraz Francją.

Kpt. Ryszard Skoczylas wiedział, że nie będzie łatwo ze względu na zurbanizowany teren. W wąskie uliczki z nieregularnie rozmieszczonymi budynkami musiały się wciskać dość szerokie hummery, którymi jeździli żołnierze. Sierż. Albin Szlżak, który był w Bośni, Libanie i Afganistanie, tę misję uważa za najtrudniejszą, głównie z powodów klimatycznych – gorąco, wilgoć i ciężkie powietrze mocno dawały się we znaki. Słupek rtęci przekraczał w cieniu 30°C, duża wilgotność powietrza sprawiała, że mundury niemal ociekały wodą.

W skład każdej z dwóch zmian PKW wchodziło po 50 żołnierzy i pracowników wojska. Trzonem kontyngentu był pluton manewrowy wystawiony przez Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej z Mińska Mazowieckiego. Stanowił on część kontyngentu Europejskich Sił Żandarmerii (EGF). To dlatego nasi żandarmi nosili na misji nie szkarłatne, lecz błękitne berety. Oprócz żołnierzy tej formacji do środkowej Afryki polecili też logistycy i łącznościowcy.

Polski kontyngent stacjonował w Camp UCATEX w stolicy kraju Bangi. Baza, mimo że międzynarodowa, była niewielka – 300x150 m – zlokalizowana w murach starej fabryki, które zdawały ogrodzenie. Dopiero z czasem pojawiły się budki wartownicze i patrole.

„Bangi to rozległe miasto, położone wzdłuż rzeki. Część muzułmańską i chrześcijańską łączył jeden most. Często dochodziło do niepokojów, ludzie wychodzili na ulice, ustawiali barykady. Pobierali opłaty za przejazd i blokowali dojazd policji i sił międzynarodowych”, opisuje kpt. Ryszard Skoczylas. O co chodziło? Jak zwykle – o władzę i o pieniądze.

Misja EUFOR odpowiadała za dzielnice trzecią – muzułmańską i piątą – chrześcijańską. Pozostałą część miasta patrolowały siły ONZ i wojska francuskie.

„Działaliśmy w składzie międzynarodowej kompanii, którą tworzyły plutony polski, francuski i hiszpański pod francuskim dowództwem”, mówi ppłk Arkadiusz Wojtaczka. Głównym celem misji było ustabilizowanie sytuacji oraz stworzenie warunków umożliwiających dostarczanie pomocy humanitarnej. Polscy żandarmi służyli z najbardziej renomowanymi formacjami policyjnymi w Europie, takimi jak Żandarmeria Narodowa Republiki Francuskiej oraz hiszpańska Guardia Civil.

ZADANIA W TERENIE

Do zadań Polaków należało przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa na ulicach Bangi. Wyjeżdżali na patrole, zapobiegali rabunkom, organizowali punkty kontrolne. Uczyli miejscowych policjantów, jak prowadzić postępowania karne czy zbierać dowody na miejscu przestępstw.

Kpt. Skoczylas opowiada o służbie żandarmów z plutonu manewrowego. Zazwyczaj na patrol wyjeżdżały cztery samochody. Trzy razy przez kolejne trzy dni (rano, po południu i w nocy). Czwartego dnia była przerwa, chyba że przyszedł rozkaz od dowódcy międzynarodowej kompanii policji woj-

skowej (Integrated Police Unit – IPU), że w mieście doszło do zamieszek. Wyjeżdżali wówczas, aby zdobyć informacje. Zwykle mieli obserwować i przekazywać meldunki do bazy.

„Bywało, że tylko rozdzielaliśmy obie strony, aby zapobiec dalszym niepokojom. Czasem nadchodziło wsparcie i byliśmy gotowi do podjęcia działań związanych z kontrolowaniem tłumu”, opowiada kpt. Skoczylas. Taktyka kontroli nad tłumem w Afryce odbiegała nieco od szkolenia w Polsce, żandarmi nie tylko nie mogli dopuścić do bezpośredniego kontaktu, lecz także musieli „trzymać” tłum na odległość co najmniej 100 m. Nikt nie mógł podejść bliżej.

Zdarzały się niebezpieczne sytuacje, jak wtedy, gdy podczas patrolu w dzielnicy muzułmańskiej zatrzymali mężczyznę z bronią. Tłum uzbrojony w maczety i karabinki AK 47 zareagował agresywnie, wybuchło kilka granatów. „Wezwaliśmy wsparcie i opuściliśmy strefę zagrożenia”, wspomina kapitan.

„Pokonaliśmy ponad 10 tys. km po afrykańskich szlakach, zrealizowaliśmy 125 patroli, służyliśmy ramię w ramię z najlepszymi, zapewniając w rejonie operacji bezpieczeństwo ludności cywilnej oraz wspierając misję sił Unii Afrykańskiej i ONZ. Zdobyliśmy uznanie i szacunek międzynarodowego dowództwa oraz kolegów z Francji i Hiszpanii”, mówi ówczesny komendant główny Żandarmerii Wojskowej gen. dyw. Mirosław Rozmus podczas uroczystego przekazania dowodzenia kontyngentem, które odbyło się w Krakowie.

DRUGA ZMIANA

Na II zmianie było spokojniej. Trwała ona krócej, bo od grudnia 2014 roku do początku lutego 2015 roku.

„Mundziu” (białasia) – krzyczały za polskimi żandarmami miejscowe dzieciaki. Kpr. Damian Kazimierski, zastępca dowódcy sekcji, radiooperator, nie czuł wrogiego nastawienia miejscowej ludności, choć zdarzało się, że ktoś pokazał gest podrzyzanego gardła.

„W czasie patrolu czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Zabieraliśmy jednak całe wyposażenie: apteczkę, dodatkowe magazynki i baterie, noktowizory, zapas wody i jedzenia, bo nie wiedzieliśmy, co może się stać. Naszym zadaniem było konfiskowanie broni używanej do porachunków, nie tylko z powodu różnic religijnych, ale także interesów klanowych. Taką bronią jest maczeta, dość popularna w Afryce, bo służy także na przykład do obierania owoców”, opowiada kpr. Kazimierski.

„Chociaż nikt do nas nie strzelał, czuć było napięcie, cały czas byliśmy w gotowości”, dodaje plut. Łukasz Nowak, zastępca dowódcy sekcji.

W statystyce odnotowano, że w ciągu dwumiesięcznej zmiany pluton manewrowy wykonał 42 patrole dzienne i nocne, zorganizował 38 punktów kontrolnych, dziewięć razy pełnił dobowe dyżury w ramach sił szybkiego reagowania, 29 razy wykonywał zadania nieplanowe, jak ochrona VIP-ów, zabezpieczenie rejonu działań, kontrola tłumu, ochrona obiektów, eskorta transportów. Pluton kilkakrotnie brał też udział w ćwiczeniach zgrywających międzynarodowego pododdziału policji, przygotowujących do kontroli tłumu. ■

W KWIETNIU 2014 ROKU UNIA EUROPEJSKA ZORGANIZOWAŁA W REPUBLICIE ŚRODKOWO- AFRYKAŃSKIEJ MISJĘ STABILIZACYJNĄ

POR. TOMASZ KOZŁOWSKI

W wojsku służy od: 2001 roku.



Data i miejsce urodzenia:

1 sierpnia 1982 roku,
Jelenia Góra.

Tradycje wojskowe: brak.

Zajmowane stanowisko: starszy pilot samolotu transportowego C-130 Hercules.

Jednostka wojskowa: 33 Baza Lotnictwa Transportowego w Powidzu.

Zostałem żołnierzem, bo: od dzieciństwa wiedziałem, że będę pilotem wojskowym.

Edukacja wojskowa: Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych oraz szkolenia w Stanach Zjednoczonych (kurs językowy, szkolenie na samolocie C-130 oraz treningi symulatorowe).

Moje największe osiągnięcie: wszystkie cięższą mnie jednak. Służbowo sukcesem jest każdy bezpiecznie wykonany lot. A prywatnie – poznanie wspaniałej dziewczyny, Gosi, która została moją żoną. To dla niej samoloty musiały się mną podzielić.

Przełomowe wydarzenie w życiu: ukończenie Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych na kierunku pilot samolotu odrzutowego, a później szkolenie na „grubym”, jak czasami mówi się o herculesie.

Niezapomniany film: „Top Gun” oraz „Ojciec chrzestny”.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: w ostatnich latach zaszło wiele zmian, w wyniku których nasza armia jest doceniana na arenie międzynarodowej. Chciałbym jednak, by rozpoczęty proces transformacji przebiegał nieco szybciej.

Misje i ćwiczenia: misji lotniczych było naprawdę wiele i ciężko je dziś policzyć. Wśród nich dziesiątki lotów do Afganistanu, Iraku, Mali, Czadu i Republiki Środkowoafrykańskiej. Wykonywałem także loty z pomocą humanitarną do Afganistanu, Iraku i Nepalu oraz ewakuowałem uchodźców z Ukrainy. Ćwiczenia to „Red Flag 2012” na Alasce.



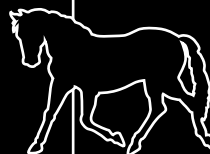
W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się:

odznaka pilota.



Najlepsza broń: nasz poczciwy staruszek C-130 Hercules.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: zawsze chciałem być wojskowym pilotem i nigdy nie miałem planu „B”.



Co robię po służbie: jestem zapalonym koniarzem. Długo w wolnym czasie razem z żoną uprawiamy turystykę konną.

Moja książka życia: to cykl powieści Bernarda Cornwella o przygodach angielskiego żołnierza Richarda Sharpe'a.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Dziękuję ci, mamo

Warsztaty psychologiczne dla rodzin żołnierzy poległych na misjach stały się częścią terapii.

Przyjechali z całej Polski. Niewielu z nich ma szansę na terapię w swoim miejscu zamieszkania. Dlatego Stowarzyszenie Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość” już po raz kolejny zaprosiło na warsztaty psychologiczne rodziny, które na misjach wojskowych straciły bliskich. Tym razem do Wilkas koło Giżycka.

„Warsztaty psychologiczne pozwalają nam inaczej spojrzeć na naszą żałobę. Zobaczyć, że nie jesteśmy sami i musimy żyć dla tych, którzy zostali”, przyznaje Marzena Zielke z zarządu Stowarzyszenia.

W czasie zajęć z psychologami i terapeutami rodziny poległych żołnierzy uczą się, jak radzić sobie z żałobą, a także budować na nowo relacje rodzinne i przyjacielskie. Dlaczego to takie trudne? Bo ciężko pogodzić się ze śmiercią syna czy męża, który pojechał na misję nie po to, aby zabijać, lecz żeby pomagać. Ludzie tego nie rozumieją. Stąd hejty w internecie (żołnierze to „mordercy i okupanci”) czy krzywe spojrzenia sąsiadów („nachapali się kasy”).

Dlatego takie integracyjne spotkania są ważnym elementem terapii. Warsztaty pozwalają na rozmowy indywidualne i terapię grupową, pomagają odreagować emocje i sprzyjają integracji środowiska (Stowarzyszenie zrzesza ponad 80 osób, a na spotkaniach integracyjnych zyskuje zawsze nowych członków).

CIĄG DALSZY TERAPII

Rodzice poległych żołnierzy zebrali się w sali na parterze. To kolejne spotkanie, więc zajęcia nie koncentrują się już na przeszłości (stracie, żałobie i traumie), lecz wybiegają w przyszłość i są związane z rodziną. Rozmowy dotyczą asertywności, stresu, rodzinnych kryzysów. „Chodzi o to, aby doznana strata nie przesłoniła życia, które toczy się nadal”, tłumaczy Jerzy Patoka, terapeuta, pracujący z grupą rodziców. Ocenia, że jego „podopieczni” od pierwszych spotkań przeszli długą drogę. Mimo smutku i łez, które nadal im towarzyszą, potrafią żartować i cieszyć się ze spotkania. Podkreśla, jak ważna jest dla nich ta wspólnota oraz ile znaczy dzielenie się swoimi przeżyciami z innymi, którzy także stracili synów.



Pomoc dziecku w przeżyciu żałoby to długofalowy proces.



Rodziny poległych żołnierzy w swoim gronie znajdują ukojenie.

W grupie rodziców pojawiają się też nowe osoby. Anna (od śmierci syna minęło kilka lat) przyjechała po raz pierwszy, bo namówiła ją córka. „Zrób coś dla siebie”, powiedziała, gdy zmarł ciężko chory mąż, którym się opiekowała. Ale Anna jest pełna obaw.

Ewa dobrze ją rozumie, bo po śmierci syna także się bała. Dziś jest wdzięczna, że dała się namówić i w ubiegłym roku przyjechała po raz pierwszy na warsztaty. „Te spotkania przynoszą ulgę, każdy z nas dzieli ten sam los. Wracam do domu, mam poczucie, że nie jestem sama i zaczynam już czekać na

PODCZAS ZAJĘĆ Z PSYCHOLOGA- MI I TERAPEUTA- MI RODZINY POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY UCZĄ SIĘ, JAK RADZIĆ SOBIE Z ŻAŁOBĄ



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER (3)

„Warsztaty pozwalają nam zobaczyć, że musimy żyć dla tych, którzy zostali”, przyznaje Marzena Zielke.

kolejne spotkanie”, mówi. Po raz pierwszy przyjechali też Grażyna i Adam. Ich syn zginął w Afganistanie jako ostatni. Trudno im jeszcze o tym opowiadać. Słowa grzęzną w gardle, szklą się oczy. Zatem słuchają.

„Nie chcę zapomnieć, ale chcę, żeby wspomnienia nie bolały”, żali się Krystyna. „Spróbuj, tak jak ja”, radzi Jerzy. „Gdy przywołuję obraz syna, widzę go uśmiechniętego. Wiem, że go straciłem, ale cieszę się, że przez 28 lat przysparzał nam wiele radości”. Do rozmowy włącza się Maria: „Ja także coraz częściej wspominam radosne chwile. Przypominam sobie, jak

syn wracał późno do domu z randki i wchodził przez balkon, o czym wtedy nie wiedzieliśmy. Dziś wspominamy tamte dni i się śmiejemy”. „Gdy zatęsknię za synem, włączam kasetę nagrąną podczas przysięgi wojskowej. To mnie uspokaja”, dodaje Marian.

Kiedy jednak nadchodzi gorszy dzień, wracają uporczywe myśli. „Jak mam go pożegnać, skoro nie widziałam go w trumnie?”, pyta Joanna. Wtedy zazwyczaj sięga po album i przegląda zdjęcia, także te z miejsca wypadku. „Może to była pomyłka, może to nie on zginął”, myśli. Maria ją rozumie, bo pamięta opis „zdarzenia” z protokołu powypadkowego. Widzi nie tylko zapisaną kartkę papieru, lecz także zabitego syna. Nie ma ręki ani twarzy.

ZAPOMNIANI ŻAŁOBNICY

Coraz częściej pomocy psychologicznej wymagają także dzieci żołnierzy, którzy zginęli na misjach. Psychoonkolog Agnieszka Paczkowska przyjechała na warsztaty do Wilkas w ramach programu wsparcia dla dzieci i młodzieży w żałobie „Tumbo pomaga”, który powstał w fundacji skupiającej hospicja z całego kraju.

Agnieszka prowadzi zajęcia z najmłodszymi uczestnikami warsztatów, bo także u nich pojawiają się problemy związane z traumą po śmierci ojca. Mówi o tym, jak ważne jest wsparcie psychologiczne dla grupy, bo dzieci to często zapomniani żałobnicy. „Dorośli nie doceniają i nie rozumieją ich żalu i smutku. Gdy matka nie rozmawia z dzieckiem o śmierci ojca, zostaje ono samo z workiem zamrożonych emocji, z którymi idzie przez życie. Stają się one balastem, który różnie się objawia – trudnościami w nauce, w związku, w relacji z szefem”, tłumaczy.

Pięcioletni Gerard, którego tata, st. chor. Sylwester Janik, zginął we wrześniu 2013 roku w Afganistanie, jest jeszcze za mały, aby pytać mamę o szczegóły tej śmierci. Jolanta Janik jednak wie, że taki dzień nadejdzie. Dziś wystarczy tłumaczenie, że chociaż taty z nimi nie ma, czuwa i patrzy z góry. Gdy Gerard będzie starszy, pytania zapewne padną, więc Jolanta woli dmuchać na zimne i już dziś wraz z synkiem uczestniczy w warsztatach.

„Dzieciom brakuje taty w ważnych momentach życia. Wraz z dorastaniem wracają do nieprzeżytej żałoby. Ważne, aby nie przegapić tego momentu”, radzi Agnieszka Paczkowska.

Gdy w 2004 roku zginął Krzysztof, Kamil miał trzy i pół roku. Jaki obraz taty zachował? Zapamiętał, jak w niedzielę rano smażył na maśle jajecznicę. Potem oglądali razem bajkę w telewizji i szli na spacer. Jeździli też na rowerze. Kamil pamięta, że bawił się z tatą i że było mu dobrze – wspomina Małgorzata. Problemy pojawiły się po kilku latach. „Dlaczego tata wyjechał, skoro mnie kochał?”, zapytał Kamil. Małgorzata nie wiedziała, jak odpowiadać na takie pytania. „Ważne, aby nie budować obrazu ojca, który jest superbohaterem. Wtedy dziecku, szczególnie chłopcu, trudno sprostać takiemu wizerunkowi”, radzi Agnieszka.

Jak pomóc dziecku w przeżyciu żałoby? To długofalowy proces. Mama może mu pomóc, przeżywając własną żałobę. Wsparcie polega także na wydobywaniu emocji, którym trzeba dać ujście. „Wspominać, ale mieć własne rytuały związane z upamiętnieniem taty”, tłumaczy Agnieszka Paczkowska. Na zajęciach dzieci uczyły się, że należy mówić o emocjach, choć początkowo miały problem z ich nazwaniem.



Na koniec warsztatów każda mama, której dziecko uczestniczyło w zajęciach, dostała od psychologa list. Joanna przeczytała, że powinna skorzystać z pomocy psychologicznej, bo proces żałoby został zahamowany i dużo emocji jest uwiecznionych. Kasia dowiedziała się, że musi stawiać dziecku więcej granic. Alicja – wprost przeciwnie, że powinna dać mu więcej swobody.

PAMIĘĆ I WSPARCIE

Joanna Ciesielska, matka mł. chor. Piotra Ciesielskiego, który zginął w Afganistanie w grudniu 2011 roku, mówi, że pamięć trzeba pielęgnować, tak jak miłość. Dlatego dla rodzin ważny jest kontakt z jednostką i świadomość, że koledzy nie zapomnieli. Dla Marzeny Zielke wielkim zaskoczeniem była propozycja, aby została matką chrzestną sztandaru ufundowanego przez mieszkańców Elbląga dla 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Nie spodziewała się takiego wyróżnienia. Było ono także wyrazem pamięci o jej mężu, kpr. Andrzeju Zielkem, który zginął na II zmianie PKW w Iraku.

„Dbają o nas. Na święta pamiętają o dzieciach, zapraszają na uroczystości”, przyznaje Marzena. Jej opiekun z 16 Żuławskiego Batalionu Remontowego w Elblągu często dzwoni i pyta, czy może w czymś pomóc. Na terenie jednostki rosną dwa dęby poświęcone pamięci dwóch pochodzących z niej żołnierzy, którzy w 2004 roku zginęli w Iraku. Jednym z nich był mąż Marzeny. Kilkumetrowe drzewa pną się w górę przy głównym placu, gdzie odbywają się wojskowe uroczystości.

Ewa i Jerzy Woźniakowie na warsztaty dojechali jako ostatni, bo w Dzierżoniowie, gdzie mieszkają, władze miasta postanowiły uhonorować ich syna, mjr. Krzysztofa Woźniaka, pierwszego żołnierza GROM-u, który zginął w Afganistanie. 28 czerwca 2015 roku (w dniu urodzin poległego oficera) został odsłonięty poświęcony mu obelisk. Dwa miesiące wcześniej duży deptak w środku dzierżoniowskich osiedli Rada Miejska Dzierżoniowa nazwała aleją Majora Krzysztofa Woźniaka.

Miejscowa prasa pisała, że „każdego dnia aleją Majora Woźniaka przechodzi co najmniej kilkaset osób. Każda z nich zapamięta ofiarę poniesioną przez 36-letniego dzierżoniowianina, czytając napis na obelisku”. Nikt nie pomyślał, że pomnik i aleja leżą zbyt blisko bloku, w którym mieszkają rodzice majora. Widać je z ich balkonu.

Inną formę upamiętnienia zmarłego kolegi wybrali uczestnicy rajdu „Bieszczady 2015”. Do Gabrysi Kiepy zadzwonił opiekun z jednostki i zapytał, czy zgodzi się na nazwanie rajdu weteranów imieniem swojego poległego męża (przekazał prośbę Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa). Nie miała wątpliwości. „Jankowi sport towarzyszył przez całe życie. Uprawiał sztuki walki, boks, lekkoatletykę, uwielbiał górskie wędrowki”, wspomina.

I tak uczestnicy I Centralnego Zlotu Weteranów im. śp. st. chor. Jana Kiepy „Bieszczady 2015” spotkali się przy grobie chorążego w Raławówce koło Rzeszowa. Tam, w wojskowej asyście honorowej, złożyli kwiaty i zapalili znicze. „Odczytali też wspomnienie o Janku. Było bardzo osobiste, musiało wyjść spod pióra osoby, która go dobrze знаła, bo nie każdy wiedział, że był zdyscyplinowany i wyjątkowo skromny. Koledzy



MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

CORAZ CZEŚCIEJ POMOCY PSY- CHOLOGICZNEJ WYMAGAJĄ TAKŻE DZIECI ŻOŁNIERZY, KTÓRZY ZGINĘLI NA MISJACH

Janka zapewnił mnie, że zawsze będą o nim pamiętać”, opowiada Gabrysia.

Wkrótce po tej uroczystości kilkudziesięciu weteranów ruszyło w góry, a Gabrysia wsiadła do samochodu, aby przejechać ponad 600 km i nieco spóźniona dotrzeć na warsztaty do Wilkas.

W CIENIU TRAGEDII

Warsztaty wsparło finansowo Ministerstwo Obrony Narodowej. Stowarzyszenie planuje organizację kolejnych takich spotkań. „Rodziny żołnierzy poległych cały czas borykają się z problemem traumy. Dzieci wychowują się bez ojca, żony starają się zakładać nowe związki lub pozostają wdowami, rodzice żyją w cieniu tragedii, bo pochowali własne dzieci. Dlatego ważne jest wsparcie psychologiczne. Nie wystarcza pamięć okazywana zazwyczaj z okazji świąt i różnych rocznic. Rodziny muszą mieć świadomość, że mogą liczyć na pomoc wojska”, podkreśla Jerzy Patoka.

Na ostatnich zajęciach podczas warsztatów dzieci miały napisać list do mamy. „Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś”, napisał Gniewko. ■

TargiKielce

XXIII edycja MSPO już we wrześniu

W tym roku podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach swoją wystawę prezentującą możliwości rodzimego przemysłu zbrojeniowego będzie miała Norwegia.

Na zdobycie pozycji najważniejszego wydarzenia w branży zbrojeniowej w Europie i trzeciego co do wielkości po Paryżu i Londynie na Starym Kontynencie, Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego pracował ponad 20 lat. To jedyna impreza tego sektora w Polsce przyciągająca co roku do Kielce kilkanaście tysięcy gości, wśród których znajdują się głowy państw, oficjalne delegacje parlamentarne i rządowe, przedstawiciele ambasad, ministerstw obrony, wyższych sztabów armii oraz resortów obrony, zarówno z Polski, jak i z zagranicy. Wśród dotychczasowych gości, oprócz przedstawicieli wszystkich państw Europy, znaleźli się reprezentanci m.in. Brunei, Arabii Saudyjskiej czy Meksyku.

W kieleckich targach biorą udział najważniejsi producenci i dystrybutorzy sprzętu z kraju i z zagranicy, m.in. BAE Systems, Boeing, MBDA, Raytheon, Thales i Saab. Tegoroczna wystawa po raz kolejny jest objęta honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Zgodnie z tradycją podczas MSPO zostanie zaprezentowane wyposażenie obejmujące wszystkie segmenty produkcji wojskowej. Na stoiskach będzie pokazywany zarówno sprzęt lotniczy, w tym

m.in. śmigłowce i bezzałogowce, jak i broń wojsk pancernych, zmechanizowanych, wojsk inżynierskich, systemy artyleryjskie, rakietowe, przeciwlotnicze oraz najnowocześniejszy sprzęt rozpoznawczy i logistyczny. Będzie można również zobaczyć najnowsze środki łączności, systemy IT czy sprzęt ratownictwa medycznego.

Od dziewięciu już lat MSPO towarzyszą wystawy narodowe przemysłu obronnego poszczególnych krajów. Ich firmy zbrojeniowe prezentują wszystko, co mają najlepsze w swoim arsenale. Przed rokiem taką ekspozycję mieli Francuzi. Wcześniej swój potencjał obronny oraz wyposażenie pokazywały Włochy, Turcja, Niemcy, Izrael, USA, Szwecja, Państwa Grupy V4 oraz Wielka Brytania. MSPO 2015 towarzyszyć będzie wystawa narodowa przemysłu obronnego Norwegii.

Polska jest największym dla tego państwa partnerem gospodarczym w Europie Środkowo-Wschodniej. Do tej pory możliwości zwiększenia handlu, kooperacji gospodarczej, a także współpracy naukowo-technicznej czy wojskowej pozostawały niewykorzystane. Na MSPO 2015 Norwegowie zaprezentują m.in. pomysły i rozwiązania dotyczące współpracy z polskimi firmami zbrojeniowymi.

Tradycyjnie, w czasie MSPO będą wręczane również nagrody, m.in. Prezydenta RP oraz Defendery, przyznawane najlepszym firmom i produktom prezentowanym na targach. ■



OD DZIEWIĘCIU JUŻ LAT MSPO TOWARZYSZĄ WYSTAWY NARODOWE PRZEMYSŁU OBRONNOGO RÓŻNYCH KRAJÓW. ICH FIRMY ZBROJENIOWE PREZENTUJĄ WSZYSTKO, CO MAJĄ NAJLEPSZE W SWOIM ARSENALIE



Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego, który odbędzie się od 1 do 4 września na terenie Targów Kielce, to największa i najważniejsza impreza tego sektora w centralnej części Europy. Jak co roku wezmą w niej udział największe koncerny zbrojeniowe z całego świata. Podczas ostatniej edycji swą ofertę zaprezentowało ponad 500 wystawców z 27 krajów. MSPO 2014 odwiedziło ponad 15 tys. osób.



PAULINA GLIŃSKA

Od urzędu do korporacji

Wojskowa Agencja Mieszkaniowa co roku przekazuje żołnierzom średnio 700–800 nowych mieszkań.

Gdy w 1995 roku tworzone WAM, sytuacja mieszkaniowa wojskowych była daleka od oczekiwań. Na przydział lokalu mogli liczyć wyłącznie żołnierze służby stałej, a i tak 20 tys. z nich nie miało możliwości zakwaterowania wraz z rodziną. Czas oczekiwania na mieszkanie służbowe obliczali w latach. „Wielu z nas nie wspomina dobrze pierwszych lat działania Agencji. Wszędobylska biurokracja, skomplikowane procedury, a do tego 20 lat oczekiwania na wojskowe »M«”, opowiada mjr Artur Niziński z Warszawy.

Żołnierze mieszkali w internatach albo otrzymywali świadczenie finansowe, które pozwalało im pokryć koszty najmu lokalu mieszkalnego.

Pierwsze korzystne zmiany wprowadziła nowelizacja ustawy z marca 2004 roku. W miejsce dotychczasowego wypłacanego comiesięcznie świadczenia „na wynajem” wprowadzono ekwiwalent zryczałtowany za rezygnację z prawa do zamieszkiwania w lokalu mieszkalnym.

Po zakończeniu służby żołnierz mógł się ubiegać o wypłatę odprawy mieszkaniowej, która miała umożliwić samodzielne pozyskanie nowego lokum, już poza armią, na wolnym rynku.

W 2010 roku nowelizowano ustawę o zakwaterowaniu, a tym samym zagwarantowano każdemu z żołnierzy, niezależnie od stopnia czy korpusu, prawo do zakwaterowania. Mogli też zdecydować, jak chcą mieszkać. Dziś żołnierze służby kontraktowej mogą wybierać między pobytem w internacie albo kwaterze internatowej lub wypłatą świadczenia mieszkaniowego, o ile Agencja nie przydzieli im wojskowego „M”. Żołnierze służby stałej są w jeszcze lepszej sytuacji, bo na czas pełnienia służby mają możliwość wyboru spośród wszystkich zaproponowanych w ustawie rozwiązań.

MIESZKANIE DLA KAŻDEGO

Rocznie z usług WAM-u korzysta blisko 70 tys. wojskowych. Agencja co roku przekazuje żołnierzom średnio 700–800 nowych lokali. Wciąż nie brakuje jednak chętnych na wojskowe „M”. Obecnie najwięcej zainteresowanych złożyło wnioski



Wspólna przyszłość z AMW

Pytania do Tomasza Szymanika, p.o. prezesa WAM-u

W ciągu minionych lat staliście się instytucją prężnie działającą. Rzadko dziś słychać narzekania żołnierzy na problemy z komunikacją z WAM-em, przeciągające się procedury, niemożliwość załatwienia spraw mieszkaniowych.

Cały czas staramy się podnosić jakość obsługi związanej z zakwaterowaniem.

Coraz częściej wykorzystujemy do tego nowoczesne rozwiązania i narzędzia informatyczne. Dzięki temu wszystko odbywa się dużo szybciej, a żołnierz, by załatwić sprawę, nawet nie musi wychodzić z domu. Już w 2010 roku uruchomiliśmy internetowy system Saldo, dzięki któremu żołnierze mają dostęp on-line do informacji o swoich operacjach finanso-

wych. Od ubiegłego roku system elektronicznego obiegu dokumentów został połączony z ePUAP. Dzięki temu za pośrednictwem elektronicznej skrzynki podawczej można składać wnioski np. o przydział kwatery czy wypłatę świadczenia mieszkaniowego.

W grudniu 2014 roku wprowadziliśmy kolejne nowoczesne narzędzia do komu-

W TYM ROKU DO NOWYCH MIESZKAŃ WPROWADZĄ SIĘ KOLEJNI ŻOŁNIERZE, M.IN. W WARSZAWIE I LIDZBARKU WARMIŃSKIM

w Gdyni, Krakowie, Szczecinie i Warszawie. „Z naszych analiz wynika, że w kolejce oczekuje blisko 2,3 tys. żołnierzy. Do czasu otrzymania decyzji o przydziale lokalu mieszkalnego, żołnierze mają zagwarantowane zakwaterowanie np. w internacie albo dostają świadczenie mieszkaniowe, za które mogą chociażby wynająć lokal na wolnym rynku”, mówi Tomasz Szymanik p.o. prezesa WAM-u.

Obecnie z przydziału lokalu mieszkalnego korzysta 13 tys. żołnierzy zawodowych, a z miejsc internatowych 9 tys. Co miesięczne świadczenie mieszkaniowe otrzymuje z kolei średnio 52 tys. wojskowych (np. Kraków – 6130, Bydgoszcz – 4250). Pozwala ono żołnierzom we własnym zakresie zapewnić sobie zakwaterowanie, bez konieczności dokumentowania, na jaki cel przeznaczają pieniądze. W zależności od garnizonu otrzymują od 300 do 900 zł miesięcznie.

Po zakończeniu służby żołnierz zawodowy może ubiegać się o wypłatę odprawy mieszkaniowej, która ma pomóc w zakupie nieruchomości na wolnym rynku.

Niebawem zostaną wprowadzone korzystne zmiany w zasadach wypłat odpraw. Prace nad nimi trwają przy okazji nowelizacji przepisów łączących WAM z Agencją Mienia Wojskowego.

„Dziś przy obliczaniu wysokości odprawy bierze się pod uwagę nie tylko wskaźnik ceny metra kwadratowego określony w przepisach, ale też liczbę członków rodziny żołnierza (tzw. normy mieszkaniowe). Jeśli jednak wojskowy odchodzi ze służby, gdy jego dziecko ukończyło już 25 lat, to w wysokości odprawy nie zostanie uwzględniona kwota, jaką mógłby dostać na to dziecko”, mówi płk Marian Babuška, przewodniczący Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych Wojska Polskiego. Wszystko dlatego, że odprawa jest naliczana z dniem zwolnienia żołnierza z zawodowej służby wojskowej. „Wielu staje przed wyborem, czy zdjąć mundur, czy w wojsku zostać i stracić normę. W praktyce zdarza się, że żołnierz odchodzi na emeryturę, bo finansowo bardziej mu się to opłaca. A ci którzy zostają, tracą nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych”, dodaje pułkownik. Dlatego Konwent zaproponował taką zmianę przepisów, która da żołnierzom możliwość wyboru najkorzystniejszego momentu do naliczenia wysokości odprawy mieszkaniowej. Wciąż miałyby być ona wypłacana przy odejściu z armii.

OSIEDLA WOJSKOWE

W ślad za korzystnymi zmianami w przepisach w ostatnich kilku latach w krajobraz wojskowego zakwaterowania →

nikacji. Pierwszym z nich jest interaktywny E-poradnik zakwaterowania, przeznaczony przede wszystkim dla tych, którzy rozpoczynają służbę wojskową. Można już też korzystać z esemesowych i mailowych powiadomień o płatnościach np. za czynsz i media. To wszystko nie oznacza jednak, że chcemy zrezygnować z bezpośredniego kontaktu. Wciąż będzie dla nas najważniejszy.

W czerwcu obchodziliście okrągły jubileusz. Ale to chyba przyszłość, w tym zwłaszcza połączenie z Agencją Mienia Wojskowego, jest teraz dla was najważniejsza?

Faktycznie, jubileusz jubileuszem, ale obecnie skupiamy się przede wszystkim na tym, co będzie. Zamiar połączenia Wojskowej Agencji Mieszkaniowej i Agencji Mienia Wojskowego resort obrony narodowej ogłosił w 2013 roku. Dziś jesteśmy w przeddzień tego wydarzenia. Liczymy, że to zmiana na lepsze, bo przyniesie nie tylko oszczędności finansowe, ale też połączy nasze zasoby terytorialne i wpłynie na spójną politykę sprzedaży. Żołnierze na pewno na połączeniu nie stracą i wciąż będą dla nas najważniejsi.

Na czym skupicie się w pierwszym etapie po połączeniu?

Najpierw chcemy się skoncentrować na wprowadzeniu nowej struktury organizacyjnej. Po połączeniu będziemy dalej realizować nasze zadania na rzecz żołnierzy, jak również efektywnie gospodarować mieniem Skarbu Państwa. Nic się w tym wypadku nie zmieni. ■

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI





ARCHIWUM WAM

W 2014 ROKU AGENCJA ODDAŁA ŻOŁNIERZOM 731 MIESZKAŃ. NAJWIĘCEJ W WARSZAWIE (129), SZCZECINIE (70), SULECHOWIE (58) I KRAKOWIE (43). PO 40 MIESZKAŃ PRZEKAZANO W GDYNI, GIŻYCKU, JAROSŁAWIU I SULECINIE.

MAŁE MIASTO

W latach 1996–2014 Wojskowa Agencja Mieszkaniowa oddała do użytkowania 14,8 tys. mieszkań. Gdy przyjąć, że w każdym lokalu zamieszkały cztery osoby, to otrzymujemy 59-tysięczne miasto. Jest to tylko o 1/7 mniej niż ludności w warszawskich dzielnicach Praga-Północ lub Wawer i więcej niż w Ursusie lub na Żoliborzu.

zaczęły wpisywać się nowoczesne osiedla, z całą infrastrukturą, zapleczem oświatowym, gastronomicznym, sportowym. „Jeśli porównać standard osiedli budowanych obecnie do tych, na których żołnierze zamieszkiwali jeszcze osiem, dziesięć lat temu, to faktycznie widać znaczące różnice. Dotyczy to zarówno estetyki, jak i jakości wykonania. Podążamy za nowoczesnością, budujemy w różnych technologiach, wykorzystujemy ciekawe projekty”, mówi p.o. prezesa. Takie są między innymi osiedla w podwarszawskim Legionowie czy Żaganiu. WAM podkreśla, że dysponuje własną kadrą ekspertów, np. inżynierów budowlanych. Określa też normy techniczno-budowlane dotyczące jakości technicznej budynków (np. zagwarantowanie odpowiedniego standardu materiału do budowy) oraz stosuje własne normy architektoniczno-funkcjonalne, które w praktyce polegają chociażby na optymalnym rozplanowaniu struktury mieszkania, w tym ograniczeniu powierzchni korytarzy na rzecz pokoi.

Agencja buduje tam, gdzie inwestycje mieszkaniowe są niezbędne. Pod uwagę są między innymi brane plany dyslokacji wojska czy rotacja kadry w poszczególnych garnizonach. Ale mieszkania dla żołnierzy kupuje też od innych inwestorów. Stało się tak chociażby pod koniec ubiegłego roku, gdy oddział regionalny WAM-u w Warszawie nabył w stolicy 129 mieszkań zlokalizowanych m.in. na Bielanach, Żoliborzu i Mokotowie. „Zawsze w takich sytuacjach najpierw sprawdzamy dostępność działek budowlanych na danym terenie, a także badamy rynek deweloperski, kalkulując koszty. Dopiero potem podejmujemy decyzję o ewentualnym zakupie”.

Od 2011 roku WAM nie dostaje dotacji budżetowej na inwestycje mieszkaniowe, więc budowę nowych mieszkań w całości finansuje ze środków własnych (dotowane są natomiast świadczenia i odprawy mieszkaniowe wypłacane żołnierzom, utrzymanie miejsc internatowych, remont kwater). Zdobywa je, sprzedając lub wynajmując lokale. W ciągu 20 lat działalności Agencja oddała do użytkowania 14,8 tys. mieszkań. ■

JAROSŁAW
RYBAK

Tajne twarze

CZEGO
NIE POWINNIŚMY
WIEDZIEĆ
O ŻOŁNIERZACH
WOJSK SPECJALNYCH?



Co najmniej trzech żołnierzy wojsk specjalnych za sukcesy w Afganistanie otrzymało wysokie odznaczenia amerykańskie – Meritorious Service Medal (Medal za Chwalebną Służbę). W marcu 2011 roku dowódcę zespołu bojowego w Kabulu udekorował dowódca ISAF. Oficer chciał być anonimowy, więc w książce „Lubliniec.pl” mogłem podać tylko jego ksywkę i pokazać zapikselowaną twarz. W listopadzie 2013 roku kolejnego dowódcę zespołu odznaczył – w błysku fleszy – amerykański sekretarz stanu John Kerry. Ujawniono nazwisko i macierzystą jednostkę oficera. W czerwcu 2015 roku na stronie internetowej Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych zobaczyłem zdjęcie trzeciego, reprezentującego kolejną specjednostkę. Co prawda oficer, z powodu obfitego zarostu, był rozpoznawalny głównie dla znajomych, ale publikacja fotografii wzbudziła emocje wśród facebookowych fanów sił specjalnych. Kolejny raz rozgorzała dyskusja, czy specjalsi powinni pokazywać twarz. To akademickie pytanie systematycznie rozgrzewa fora internetowe.

Konsekwencji w kwestii utajnienia komandoskich wizerunków nie ma od lat. Młodzi czytelnicy nie pamiętają, jak przed wylotem na Haiti ujawniono personalia i oblicze kobiety, która w GROM-ie była negocjatorem i snajperem. W 2002 roku Ministerstwo Obrony Narodowej podało nazwisko oficera ciężko rannego w Afganistanie. O ile w pierwszym wypadku pani wyraziła zgodę na spotkanie z mediami, o tyle ranny przeżył dodatkowy szok. O tym, że służył w GROM-ie, dotychczas wiedzieli tylko jego najbliżsi. Po wypadku natomiast tajemnicę poznała cała Polska. Piszę o problemie dotyczącym żołnierzy w służbie czynnej. Osobny temat to ludzie, którzy już odeszli z wojska i potrzebują CV, żeby uwiarygodnić się na cywilnym rynku pracy.

Sytuację mamy dosyć kuriozalną. Często ukrywanie wizerunków specjalsów jest dosyć trudne. Szczególnie od czasu, gdy wprowadzono multcamy. Być może dobrze maskują one w lesie, ale na pewno nie wśród innych żołnierzy. Od tego momentu komandosa rozpoznajemy na kilometr – po nietypowym mundurze. Nie wspominam już o bardziej wyrafinowanych możliwościach dekonspiracji. Wystarczy, że specjals chce kupić na raty mikser czy odkurzacz. Musi wtedy przedstawić zaświadczenie z zakładu pracy, czyli z macierzystej specjednostki. Sprzęt AGD kupuje się za gotówkę, ale już samochody czy mieszkania – zwykle nie. Tak więc baz danych dotyczących miejsca zatrudnienia żołnierzy można szukać w wielu łatwiej dostępnych miejscach niż okratowane i ściśle chronione koszary.

Może jednak jest tak, że decydenci nie widzą potrzeby maskowania specjalsów? Przecież w wojskowych służbach specjalnych (szczególnie tej mającej w akronimie podwójne W) bardzo skutecznie rozwiązano ten problem. Żołnierze tam przechodzący dosyć skutecznie gubią za sobą ślady.

Według mnie odpowiedź na pytanie, jak to powinno wyglądać u specjalsów, jest dosyć prosta. Wziąwszy pod uwagę realia i zwyczaje, każdy sam musi decydować, czy odsłonić – dosłownie i w przenośni – swój wizerunek. Pod warunkiem jednak, że ma na to zgodę przełożonego i jest to w interesie wojska (np. takim, żeby budować pozytywny wizerunek armii i wskazywać żołnierskie wzorce). Niestety, za każdym razem będzie to decyzja wypracowywana indywidualnie. Brakuje natomiast rozwiązań systemowych. To na poziomie wojsk specjalnych powinny powstać jasne wytyczne w tej kwestii. Wtedy wszyscy wiedzieliby, na czym stoją. Do tego czasu specjalsi często będą balansować na granicy tajności i śmieszności. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.



| PRZEGLĄD |

TADEUSZ WRÓBEL

WYŚCIG BOMBOWCÓW

W trzech państwach trwają prace
nad bombowcami strategicznymi
nowej generacji.

U S A F



S

amoloty bombowe, w tym mogące przenosić broń atomową, mają Stany Zjednoczone, Rosja oraz Chiny (w granicach 140–160 sztuk). Wszystkie te kraje zamierzają wzmacniać swój potencjał bojowy w tej dziedzinie, wprowadzając nowe typy takich maszyn.

CHIŃSKIE AMBICJE

Amerykanie mają nowy powód do niepokoju, jeśli chodzi o chińskie ambicje militarne. Na początku lipca w powiązaniu z władzami w Pekinie anglojęzycznym dzienniku „China Daily” został opublikowany duży artykuł o potrzebie posiadania przez Chiny bombowca dalekiego zasięgu, tak by w razie konfliktu mogły one uderzyć daleko od własnych wybrzeży. Takie wnioski wysnuło z ostatniego spotkania wyższych oficerów chińskich sił zbrojnych, o którym poinformował wydawany w Kanadzie w języku chińskim miesięcznik „Kanwa Defense Review”. W czerwcu w chińskim magazynie „Aerospace Knowledge Magazine” również pojawiły się artykuły, w których przekonywano, że Chiny powinny mieć bombowiec dalekiego zasięgu.

Wprowadzenie takiego samolotu do uzbrojenia oznaczałoby, że lotnictwo wojskowe Państwa Środka zmieniłoby swój charakter. „Prezydent Xi określił siły powietrzne Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej jako strategiczne i zachęcał do budowy zdolności ofensywnych, a nie tylko utrzymywania mocy obronnych, jak to miało miejsce w przeszłości”, stwierdził Wang Yanan, zastępca redaktora naczelnego „Aerospace Knowledge Magazine”. Do tej pory określenie „siły strategiczne” było zarezerwowane dla 2 Korpusu Artylerii armii chińskiej, który faktycznie jest odpowiednikiem strategicznych wojsk raketowych w innych państwach.

Wstępnie zdefiniowano też wymagania wobec przyszłego bombowca. Otóż powinien on przenosić ponad 10 t uzbrojenia powietrze–ziemia. Jego promień działania operacyjnego, bez konieczności tankowania w powietrzu, powinien wynosić co najmniej 8 tys. km. Według „China Daily” zdolność wykonania uderzenia powietrznego z rejonu „drugiego łańcucha wysp” Pacyfiku mia-

łaby przeszkodzić w próbach interwencji lub wejścia w konflikt przez obce siły zbrojne, tzn. Stanów Zjednoczonych. Chińczycy bowiem jako „drugi pas” traktują, poczynając od północy, wyspy Ogasawara (dawniej Wyspy Bonin), Karoliny i Mariany. W południowej części ostatniego archipelagu leży wyspa Guam, będąca terytorium USA, gdzie znajdują się liczne instalacje wojskowe. Jedną z nich jest baza lotnicza Andersen, z której mogą operować bombowce strategiczne. Według Chińczyków „pierwszy łańcuch wysp” ciągnie się od Japonii na północy, poprzez Tajwan i Filipiny na południu; a „trzecim łańcuchem” są Hawaje.

UDERZENIE I ODSTRASZANIE

Według chińskich wojskowych bombowce średniego zasięgu, którymi dysponuje obecnie ich lotnictwo, nie są wystarczająco efektywne, zarówno jeśli chodzi o strategiczne uderzenie, jak i strategiczne odstraszenie. Najlepszym chińskim bombowcem jest Xian H-6K, czyli najnowsza wersja maszyny H-6. Ta zaś stanowi kopię pochodzącego z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku sowieckiego Tu-16, który Rosjanie wycofali ze służby na początku lat dziewięćdziesiątych.

W wersji H-6K, która weszła do służby w 2009 roku, Chińczycy zamontowali nowe, lepsze silniki Sołowiew D-30KP-2, dzięki którym zwiększyły się promień operacyjny samolotu i masa startowa (do 90 t). W wypadku starego H-6 było to zaledwie 1800–2000 km, a H-6K to już 3500 km. Chiński bombowiec może przenosić sześć pocisków manewrujących CJ-10A, z głowicami konwencjonalnymi lub nuklearnymi. Ich zasięg jest szacowany na 2000–2200 km. Jako piętę achillesową H-6K wskazuje się małą prędkość, co oznacza, że bez eskorty myśliwców może on być łatwo przechwycony i zestrzelony. Uzbrojenie tego samolotu pozwala zaatakować cele w całej Japonii, Malesji, Wietnamie, na Filipinach, Alasce, Hawajach, a nawet Moskwę, bez konieczności opuszczania przestrzeni chronionej przez obronę powietrzną Chin.

Możliwości H-6K niepokoją australijskich ekspertów wojskowych – chodzi o budowę



Najlepszym chińskim bombowcem jest Xian H-6K.

CHINY CHCĄ ZBUDOWAĆ POTĘŻNY BOMBOWIEC O NAPĘDZIE NUKLEARNYM, MOGĄCY PRZEBYWAĆ W POWIETRZU PRZEZ TRZY MIESIĄCE

przez Chiny pasów startowych na sztucznych wyspach powstających na spornych obszarach Morza Południowochińskiego. Zwiększy to możliwości bombowca na tyle, że w zasięgu jego pocisków manewrujących znajdzie się północna Australia.

POTYCZKA NA POMYSŁY

W dzienniku „China Daily” podkreślono: „Siłom powietrznym jest potrzebny międzykontynentalny, strategiczny bom-

bowiec, mogący spenetrować wrogą obronę powietrzną”. Jednak tamtejsi eksperci mają rozbieżne poglądy, jaką konstrukcję należy wybrać.

„Nasz nowy bombowiec naddźwiękowy powinien być jak Tu-160, co oznacza, że będzie mógł przeniknąć obronę powietrzną z wyjątkowo dużą prędkością. Ale w przeciwieństwie do samolotu rosyjskiego, powinien mieć stałe skrzydła, a nie o zmiennej geometrii, które wpływają na złożoność projektu i stały się mniej przydatne w nowoczesnych operacjach lotniczych”, uważa Wang Yanan. Po czym dodał: „Ponadto nie sądzę, że musimy budować latające skrzydło w taki sposób, jak w B-2, ponieważ taki samolot będzie zbyt trudny dla Chin pod względem technicznym i finansowym. Musielibyśmy zainwestować astronomiczną kwotę w rozwój chińskiej wersji B-2 tylko dla jego fantazyjnego wyglądu i wątpliwej możliwości ukrycia”.

Odmienne zdania jest cytowany na łamach „China Daily” Du Wenlong, starszy pracownik naukowy Akademii Nauk Wojskowości Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. W jego opinii słabością Tu-160 jest konwencjonalna konstrukcja, która czyni go łatwym do wykrycia. „Nasz nowy bombowiec strategiczny powinien się charakteryzować dużą przeżywalnością i zdolnością długodystansowej penetracji, a obie te cechy wymagają od samolotu niskiej obserwowalności”, stwierdził Du Wenlong. Jego opinię, że przyszły chiński bombowiec powinien być zbudowany w technologii stealth, podziela Shao Yongling, profesor strategii militarnej. Wskazał on również, że maszyna powinna mieć większe możliwości przenoszenia uzbrojenia niż H-6K.

W styczniu 2014 roku w dzienniku „China Aviation News”, wydawanym przez Aviation Industry Corporation of China, ujawniono, że zostały zaaprobowane wstępne badania nad niesprecyzowanym projektem. W mediach od lat pojawiają się informacje, że Chińczycy pracują nad różnymi typami nowych bombowców. Jednym z nich jest, przypominający amerykański B-2A, Xian H-8. Drugi to również „niewidzialny” H-10. Przed kilku laty w japońskiej gazecie „Sankei Shimbun” został opublikowany artykuł, w którym ujawniono, że prace badawczo-rozwojowe nad tą konstrukcją są prowadzone w tajemnicy od 1998 roku w bazie lotniczej Qinghai na pustyni Gobi.

Jak doniesienia z dziedziny fantastyki brzmią informacje, że Chiny chcą zbudować potężny bombowiec o napędzie nuklearnym, który mógłby przebywać w powietrzu przez trzy miesiące i przenosić 170–210 ładunków atomowych. Jego prędkość lotu miałaby sięgać $M=3,6$. ➔



Rosja zamierza wznowić produkcję Tu-160.

TUPOLEV

WIELKA TAJEMNICA

W 2014 roku pewien amerykański fotograf wykonał zdjęcie tajemniczej maszyny, kształtem przypominającej grot strzały, która na dużej wysokości przelatywała nad Teksasem. W lutym 2015 roku Northrop Grumman zaprezentował krótki, 30-sekundowy film o swych konstrukcjach latających skrzydeł, z których pierwsza, YB-35, pochodzi z lat czterdziestych XX wieku. Na końcu pokazano zamaskowany, nieznan samolot. Obecność pilotów może sugerować, że przyszły amerykański bombowiec strategiczny będzie maszyną załogową.

Wan Yanan jest ostrożny w swych opiniach co do możliwości opracowania nowego bombowca przez chiński przemysł lotniczy. Jako najtrudniejsze sprawy wskazał strukturę konstrukcji i jej aerodynamikę oraz wydajny silnik turbowentylatorowy. „Nie sądzę, że te problemy mogą być rozwiązane w krótkim czasie”, podsumował ekspert.

W lutym 2014 roku, podczas wystawy Singapore Air Show, Andriej Boginski, dyrektor Departamentu Przemysłu Lotniczego w rosyjskim Ministerstwie Przemysłu i Handlu, powiedział państwowemu radiu Głos Rosji o zamiarze opracowania nowego bombowca strategicznego wspólnie z Chinami. Dziesięć lat temu Rosja oferowała temu państwu sprzedaż starszych typów swych maszyn – odrzutowego Tu-22M3 i Tu-95. Jednak Pekin nie skorzystał z tej propozycji.

KAŻDY CHCE WIĘCEJ

Chiny nie są jedynym państwem, które chce mieć nowoczesne bombowce strategiczne. Rosja wznowi produkcję Tu-160. O takiej możliwości napomknął podczas wizyty w kwietniu 2015 roku w zakładach lotniczych w Kazaniu minister obrony Siergiej Szojgu, którego zacytowała agencja Sputnik. Obecnie rosyjskie siły powietrzne mają 15 tego typu maszyn i jeden zmodernizowany Tu-160M. W końcu maja tamtejsze media poinformowały, że prezydent Władimir Putin i szef resortu obrony zdecydowali, że zostanie zakupionych „nie mniej niż 50 samolotów”. Wiceminister obrony Jurij Borisow wyjawiał, że zmodernizowany Tu-160M2 zacznie być produkowany po 2023 roku. Dodał też, że bombowiec zyska „nowe zdolności”.

Równolegle Rosja będzie kontynuowała prace nad bombowcem strategicznym piątej generacji, PAK DA. Pusta maszyna ma mieć masę 125 t i ładowność 30 t. Jej zasięg będzie wynosić 12 tys. km. Według zamierzeń sprzed lat PAK DA miał być gotowy w 2020 roku. Dostawy nowej generacji bombowców rozpoczną się w 2023 roku, a do służby wejdą one w latach 2025–2030.

Rosja potrzebuje nowych bombowców, by zastąpić nimi 63 samoloty Tu-95MS, które przysparzają sporo problemów. Na początku czerwca tego roku maszyny zostały uziemione po tym, gdy jedna wypadła z pasa startowego i zapaliła się na lotnisku Ukrainka na Dalekim Wschodzie. W 2013 roku pożar wybuchł w kokpicie innego bombowca.

Zaawansowane są też amerykańskie prace nad nowym bombowcem, aczkolwiek zostały one objęte tajemnicą. W tym projekcie swe siły połączyły największe firmy lotnicze – Boeing i Lockheed Martin. Własną ofertę przedstawił Departamentowi Obrony Northrop Grumman. Pentagon niebawem ma zdecydować, komu powierzyć lukratywny kontrakt. Siły powietrzne USA planują kupić 80–100 nowej generacji bombowców dalekiego zasięgu. Wojskowi ujawnili, że samolot ma kosztować 550 mln dolarów. Niezależni eksperci uważają, że maszyna może być o wiele droższa. Jednak napięcie w relacjach USA z Chinami i Rosją sprzyja temu programowi. Bombowiec strategiczny, podobnie jak nowy tankowiec KC-46 i wielozadaniowy samolot F-35, jest uważany za najważniejszy projekt dla amerykańskich sił powietrznych. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Niewidzialna armia

Maskowanie pasywne odchodzi do lamusa. Przyszłość należy do kamuflażu aktywnych i samoadaptacyjnych.

Kamuflaż pasywny jest czasochłonny. Wymaga przemalowywania pojazdów tak, żeby dostosować ich barwę do kolorystyki otoczenia, między innymi w zależności od pór roku czy stref klimatycznych. Siatek maskujących w odpowiednim kolorze i wzorze można zaś używać głównie do maskowania stacjonarnego. Ideą nowoczesnego kamuflażu jest z kolei zmienianie się kolorystyki czołgu czy transportera za pomocą jednego przycisku, a najlepiej by było, gdyby odbywało się to samoczynnie. Polscy inżynierowie w dziedzinie badań nad nowoczesnym maskowaniem należą do światowej czołówki. W ciągu niespełna roku po raz drugi możemy poinformować o osiągnięciach naukowców z Wojskowego Instytutu Techniki Inżynieryjnej (WITI) z Wrocławia.

KAMELEON

We wrześniu 2014 roku prezentowaliśmy efekty badawcze zespołu z WITI pracującego pod kierunkiem dr. hab. inż. Adama Januszki nad stworzeniem kamuflażu, w którym do zmiany barw zastosowano tzw. okna elektrochromowe. System za pomocą kamery może rejestrować obraz otoczenia za czołgiem lub transporterem, przetwarzać go, następnie przy użyciu odpowiedniego oprogramowania komputerowego odwzorowywać na specjalnej powłoce umieszczonej na pancerzu pojazdu, nawet w ruchu. Prototyp badawczy otrzymał roboczą nazwę „kameleon”.

„Na pomysł takiego zastosowania okien elektrochromowych wpadłem kilka lat temu. Zainteresowałem nim wybitnego naukowca polskiego pochodzenia prof. Agnieszkę Pawlicką z Instituto de Química de São Carlos na Universidade de São Paulo w Brazylii. Nad projektem zaczęły zatem pracować dwa zespoły naukowców, jeden we Wrocławiu, drugi w Ameryce Południowej”, mówił wówczas prof. Januszko.

Wynalazek przez wielu został uznany za

przełomowy. Wersję badawczą kameleona naukowcy z Wrocławia zaprezentowali w 2014 roku na wystawie ITEX 2014 w Kuala Lumpur. Projekt zyskał tam duże uznanie i został wyróżniony złotym medalem.

LEGWAN

Transporter, czołg, samochód, namiot wojskowy, a nawet mundur żołnierza pomalowany w typowe barwy ochronne może też samoczynnie zmieniać kolor w zależności od temperatury otoczenia – to najnowszy wynalazek naukowców z WITI. Jeżeli przewieziemy na przykład nasz sprzęt do kraju, w którym panują wysokie temperatury, przybierze on kolor pustynny. Na podobnej zasadzie będą się zmieniały barwy w zależności od pór roku. „Istotą mojego systemu kamuflażowego jest zastosowanie do malowania sprzętu wojskowego specjalnych farb z dodatkiem odpowiednich barwników i różnych substancji o właściwościach termochromowych”, mówi wynalazca, dr Stanisław Maleczek, kierownik Pracowni Nowych Technologii wrocławskiego instytutu.

Opatentowana metoda daje wiele możliwości. Dobierając substancje wykorzystywane w farbách, można planować temperatury, w jakich będzie ona zmieniała kolor. Skala jest duża, bo waha się od -10 do $+60^{\circ}\text{C}$. A użytkownik sam decyduje, w jakiej temperaturze kamuflaż się zmienia i na jakie kolory. Według dr. Maleczka powłoki termoaktywne można stosować nie tylko do malowania pojazdów i różnego rodzaju sprzętu, lecz także do barwienia mundurów, płacht namiotowych czy wielkogabarytowych siatek maskujących.

Według Adam Januszki ten pomysł, noszący nazwę „legwan”, ma tę przewagę nad innymi, że może zostać w krótkim czasie wprowadzony do masowego zastosowania: „I jest znacznie tańszy niż inne badane metody oparte na skomplikowanej elektronice”. Tym bardziej że taką powłoką sprzęt można pokryć w jednostce wojskowej. Jest tylko potrzebna specjalna farba.

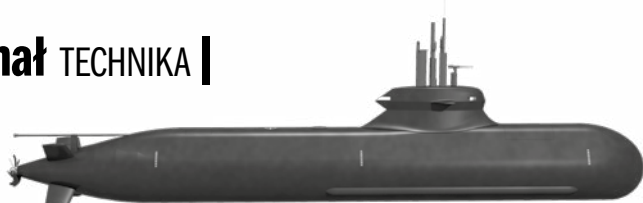
Prace badawcze nad nowym kamuflażem ciągle trwają. Naukowcom z WITI zależy, aby uzyskać powłokę o jak najdłuższym okresie używalności, a docelowo kamuflaż sterowany. Wówczas nie temperatura otoczenia, lecz kierowca-mechanik czy dowódca wozu decydowałiby, jakie barwy w danej chwili ma mieć ich pojazd. Jest również badana wykrywalność tak pomalowanego sprzętu w podczerwieni i za pomocą urządzeń radarowych. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI



Dr Stanisław Maleczek:
Do nowego systemu
kamuflażowego stosuje się
farby z dodatkiem odpo-
wiednich barwników i róż-
nych substancji o właściwo-
ściach termochromowych.

**[7,6
mld]**



Kontrakt na A26

Spółka Saab podpisała dwie umowy ze Szwedzką Agencją Zamówień Obronnych (FMV).

SZWECJA

W ramach jednej zbuduje, przetestuje i dostarczy szwedzkiej marynarce wojennej dwa okręty podwodne typu A26. Wartość tego zamówienia wynosi 7,6 mld koron szwedzkich. Dostawy jednostek rozpoczną się w 2022 roku i zostaną sfinalizowane w 2024 roku. Saab przeprowadzi również modernizację dwóch okrętów podwodnych typu Gotland w ramach programu „Mid-life Upgrade” (MLU), w tym remont kapitalny oraz moderni-

zację systemu walki. Całkowita wartość przeprowadzanych prac wynosi 2,1 mld koron szwedzkich. Jednostki zostaną dostarczone FMV odpowiednio pod koniec 2018 i 2019 roku. Jako że spółka Saab otrzymała już w 2014 i 2015 roku zamówienia na podsystemy związane z wspomnianymi kontraktami o wartości 1,1 mld koron szwedzkich, całkowita wartość tego-rocznych umów wynosi 8,6 mld koron szwedzkich. TWR

WŁOCHY



MARINA MILITARE

Inna rola korwet

Grupa stoczniowa Fincantieri rozpoczyna modernizację korwet typu Minerwa, które mają być przekształcone w duże jednostki patrolowe (OPV).

Cztery okręty wycofywane ze służby Cwe włoskiej marynarce wojennej zamówił dla swej straży przybrzeżnej Bangladesz. Na pierwszych dwóch korwetach, „Minerwie” i „Sybilli,” uroczście opuszczono banderę 14 maja 2015 roku w bazie morskiej Augusta na Sycylii. 29 czerwca obie przybyły do stoczni Fincantieri w Genui. Część prac będzie wykonana w stoczni marynarki wojennej La Spezia. Program modernizacji i przebudowy korwet „Minerwa”, „Sybilla”, „Danaide” i „Urania” potrwa około dwóch lat. Ich czas użytkowania zostanie wydłużony o 20 lat. w

SINGAPUR

Pierwszy z ośmiu

Marynarka wojenna zwodowała 3 lipca pierwszy okręt do misji przybrzeżnych (Littoral Missions Vessel – LMV).

Nowa jednostka będzie miała około 1250 t wyporności. Jej maksymalna prędkość ma przekraczać 27 w. Koncepcja okrętu i jego projekt powstały w Singapurze. LMV będzie wykorzystywał, zależnie od potrzeb, różne moduły, m.in. kontenery medyczne i bezzałogowe statki powietrzne. Na rufie jest lądowisko dla śmigłowca. Dlatego okręt będzie mógł zwalczać piratów, prowadzić działania przeciwniepodwodne lub nieść pomoc ofiarom klęsk żywiołowych. Wysoki poziom automatyzacji pozwolił zmniejszyć liczebność jego załogi do 23 osób. Jednostki starszej generacji wymagały do obsługi około 30 ludzi. Jako że w tym roku przypada 50 rocznica uzyskania przez Singapur niepodległości, minister obrony Ng Eng Hen podał, że LMV zostaną nadane imiona „odzwierciedla-

jące wartości ojców założycieli narodu i pokolenia pionierów”. Będą to: „Independence” (Niepodległość), „Sovereignty” (Suwerenność), „Unity” (Jedność), „Justice” (Sprawiedliwość), „Indomitable” (Niepokromiony), „Fortitude” (Męstwo), „Dauntless” (Nieustraszony) i „Fearless” (Nieugięty). WT



GRUZJA

Tajemnicze crotale

15 czerwca 2015 roku podczas paryskiej wystawy lotniczej gruzińskie ministerstwo obrony podpisało umowę z firmą **Thales-RaytheonSystems** na dostawę raketowego systemu obrony powietrznej. W oficjalnym komunikacie nie podano żadnych szczegółów kontraktu ani nazwy systemu. Wskazówkę stanowią zdjęcia upublicznione przez gruziński resort obrony. Widać na nich trójwspółrzędny średniego zasięgu radar Ground Master 200 oraz wyrzutnie pocisków Crotale NG. TED



OSHKOSH DEFENSE

USA

Więcej ciężarówek

Firma Oshkosh Defense dostała od US Army nowe zamówienie na średnie taktyczne samochody ciężarowe (Family of Medium Tactical Vehicles – FMTV). Wojsko otrzyma w przyszłym roku 698 ciężarówek.

Wartość transakcji wyniesie 184 mln dolarów.

Oshkosh produkuje samochody z rodziny FMTV dla armii amerykańskiej od 2010 roku. Dotąd dostarczył ponad 22 tys. ciężarówek i 11 tys.

przyczep. Rodzina FMTV składa się z 17 modeli samochodów w 23 konfiguracjach. Wspólność części ich podwozi sięga 80%, co obniża koszty logistyki. Ładowność pojazdów jest zróżnicowana, od 2,5 do 10 t. WR ■

POLSKA

Transportery dla sąsiadów

Słowacja kupi od Polski 30 rosomaków w nowej wersji.

List intencyjny w tej sprawie podpisali Premierzy Polski i Słowacji, Ewa Kopacz i Robert Fico, w Siemianowicach Śląskich, gdzie mieszczą się zakłady produkujące rosomaki. Słowacji sprzedamy nową wersję transportera, będącą połączeniem polskiego podwozia i słowackiej wieży Terra-30. Pojazdy, które otrzymały nazwę Scipio, posłużą słowackiej piechocie. Polacy przez najbliższe trzy lata zarobią na transakcji 120 mln zł. To zdaniem premier Kopacz zagwarantuje miejsca pracy nie tylko dla 450 pracowników zatrudnionych w zakładach Rosomak, lecz także u jego kooperantów, czyli w sumie dla 3,5 tys. osób.



Niewykluczone, że scipio będzie sprzedawany także do innych krajów. „Chcemy nowy wariant polsko-słowacki bardzo mocno promować. Nie tylko w Europie, ale i na świecie przyszedł czas na zbrojenia i sądzę, że na nowe

transportery będzie popyt”, mówiła Ewa Kopacz. Minister Tomasz Siemoniak podkreślił z kolei, że Polska potrzebuje podobnych, dobrych umów licencyjnych, aby nadal rozwijać w kraju myśl techniczną i produkcję. „Będziemy szukać tego rodzaju projektów”, stwierdził szef MON.

Ośmiokołowy transporter opancerzony Rosomak to konstrukcja fińskiej firmy Patria. W 2002 roku wygrała ona przetarg rozpisany przez polski resort obrony. Umowa zakładała, że większość pojazdów na potrzeby naszej armii będzie produkowana w Siemianowicach. Jak dotąd, w tamtejszych zakładach powstało około 700 rosomaków w różnych wersjach. Podpisana w 2013 roku nowa umowa z Patrią umożliwiła sprzedaż wyprodukowanych w Polsce pojazdów do innych krajów. PZ, ŁZ ■

AUSTRALIA

Wzmacnianie transportu

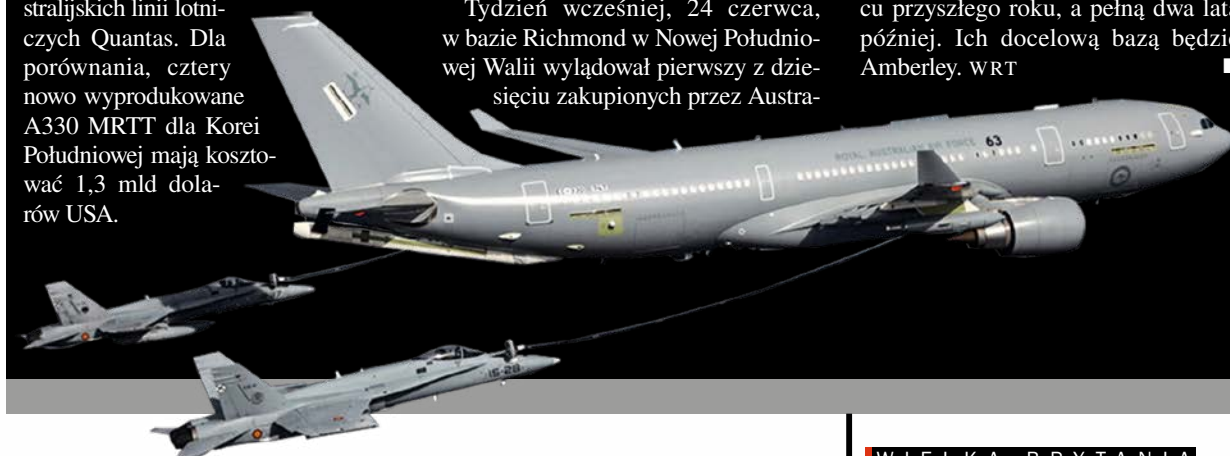
Australijski resort obrony poinformował 1 lipca 2015 roku, że zakupi od koncernu dwa dodatkowe samoloty wielozadaniowe tankowce/transportowce A330 MRTT.

Wartość kontraktu wyniesie 408 mln dolarów australijskich, firma Airbus Defense and Space zaś podała, że powstaną one w wyniku konwersji dwóch pasażerskich odrzutowców A330-200, wcześniej należących do australijskich linii lotniczych Quantas. Dla porównania, cztery nowo wyprodukowane A330 MRTT dla Korei Południowej mają kosztować 1,3 mld dolarów USA.

Nowe samoloty będą przekazane Australii w 2018 roku. Obecnie jej lotnictwo ma już pięć A330 MRTT, noszących miejscowe oznaczenie KC-30A. Maszyny te stacjonują w bazie lotniczej Amberley w Queensland.

Tydzień wcześniej, 24 czerwca, w bazie Richmond w Nowej Południowej Walii wylądował pierwszy z dziesięciu zakupionych przez Australia-

lię samolotów transportowych C-27J Spartan. W siłach powietrznych maszyny te zastąpią DHC-4 Caribou, wycofane ze służby w 2009 roku. Australijczycy planują, że spartany osiągną wstępną gotowość operacyjną w końcu przyszłego roku, a pełną dwa lata później. Ich docelową bazą będzie Amberley. WRT



AIRBUS MILITARY

ROSYJA

Silniejsza flota

Federacja Rosyjska wzmacnia potencjał desantowy Floty Bałtyckiej. Wcielono do niej trzy kutry desantowe projektu 21820, na których banderę św. Andrzeja podniesiono na początku lipca.



YAROSLAVSKY SHIPBUILDING

Uroczystość na jednostkach „Lejtnant Rimski-Korsakow” i „Miczman Lermontow” odbyła się 4 lipca w Bałtyjsku. Na „Denisie Dawydowie” banderę podniesiono 3 lipca w Sankt Petersburgu.

Kuter projektu 21820 ma pełną wyporność 240 t, 45 m długości, 8,5 m szerokości i zanurzenie 1,9 m. Okręt

wyposażono w dwa silniki wysokoprężne M507A-2D, każdy o mocy 9000 KM, i dwa pędniki strugowodne. Jego maksymalna prędkość przy fali 0,75 m wynosi 35 w. Zasięg pływania to 500 Mm. Kuter ten może transportować ładunki o masie 140 t. Rozmiary ładowni – 27x6,8x2,34 m – umożliwiają umieszczenie w nich dwóch czołgów lub czterech bojowych wozów piechoty, lub kołowych transporterów opancerzonych, lub 90 żołnierzy desantu. Załoga kutra liczy sześciu marynarzy. Jego uzbrojenie defensywne składa się z dwóch wielkokalibrowych karabinów maszynowych MTPU-1 kalibru 14,5 mm i ośmiu przenośnych przeciwlotniczych wyrzutni rakietowych Igła. WRT

WIELKA BRYTANIA

Nowa armata



Brytyjskie ministerstwo obrony poinformowało 1 lipca 2015 roku, że podpisało ze spółką CTA International (joint venture Nextera i BAE System) kontrakt o wartości 150 mln funtów szterlingów na dostawę 515 armat CTA kalibru 40 mm, strzelających amunicją nowatorskiej konstrukcji, tzw. teleskopową (pocisk jest całkowicie ukryty w łusce i otoczony ładunkiem miotającym). Armaty mają być montowane w wieżach nowych pojazdów rozpoznawczych Scout SV oraz zmodernizowanych bojowych wozach piechoty Warrior. w



nr 20.

*Nurek bojowy,
Jednostka Wojskowa Formoza
– ubiór specjalny
rys. Monika Rokicka*



Nr 20.

Ubiór specjalny

**NUREK BOJOWY, JEDNOSTKA
WOJSKOWA FORMOZA (2013 ROK)**

Předstawiamy nurka bojowego, operatora z JW Formoza w ubiorze specjalnym, którego kluczowymi elementami są suchy skafander (ma wzmocnienia na kolanach), z kapturem neoprenowym w kolorze czarnym. Dopełnieniem są rękawice neoprenowe i buty OTB. Żołnierz ma też maskę z rozdzielonymi szklami. Nurek jest wyposażony w aparat oddechowy o obiegu zamkniętym OXY NG i kamizelkę wypornościową Odyssey. Na lewym rękawie, na przedramieniu, jest widoczny głębokościomierz.

Podstawową bronią tego operatora jest pistolet maszynowy Heckler & Koch MP-5 Navy kalibru 9x19 mm z latarką i celownikiem kolimatorowym Eotech. Przy prawym udzie żołnierz ma kaburę z pistoletem. Podstawową bronią krótką polskich nurków są szwajcarskie pistolety Sig Sauer P226 kalibru 9x19 mm. Poniżej kabury widać fragment pływ. Na lewym udzie żołnierz ma przypiętą ładownicę na cztery magazynki do pistoletu maszynowego HK MP-5. Przy łydce, od wewnętrznej strony nogi jest przymocowana pochwa z nurkowym nożem wieloczynnościowym.



nr 21.

*Operator, Oddział
Specjalny ŻW
w Warszawie (2011 rok)*



Jednostka Wojskowa Formoza

Ta jednostka z Gdyni od 1 stycznia 2008 roku wchodzi w skład wojsk specjalnych. Decyzją ministra obrony narodowej z 1 października 2011 roku zmieniono jej etat i nadano obecną nazwę. Wcześniej, od 9 marca 2007 roku, funkcjonowała jako Morska Jednostka Działań Specjalnych. Stworzono ją z istniejących w marynarce wojennej grup specjalnych pływ. (w latach 2002–2004 były to sekcje działań specjalnych) oraz specjalistów morskich działań specjalnych z Grupy Okrętów Rozpoznawczych 3 Floty Okrętów.

Początki jednostek polskich nurków bojowych sięgają połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. 13 listopada 1975 roku rozkazem szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego utworzono podporządkowany 3 FO Wydział Pływ. W listopadzie 1990 roku wydział rozformowano, a jego specjalistów i grupy specjalne pływ. włączono do Grupy Okrętów Hydrograficznych, którą w 1992 roku przemianowano na Grupę Okrętów Rozpoznawczych.

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL

Morski gawron ze Śląska



...O MAGII
TRÓJEK

- Stało się.
- Co się stało? Rosjanie na Księżyc polecili?
- Nie, gawron spłynął na wodę, zresztą chyba po raz trzeci, ale teraz uroczyście, z butelką szampana, jak na chrzcinach przystało.
- Alkohol plus woda równa się często nieszczęście. Nie wywołuj wilka z lasu.
- Przecież mówię, że nie wilk, tylko gawron.
- Jak już, to ORP „Ślązak”, czyli okręt patrolowy, niedoszła korweta bez rakiet.
- Wreszcie mamy coś „naj”, a dokładniej najdłużej budowaną korwetę na świecie.
- Nie przesadzaj, jakby tak dobrze przeszukać kilka ukraińskich i rosyjskich stoczní, to pewnie konkurencja jednak by się znalazła.
- Nie odbieraj nam chociaż tego. Gawron musi jakoś przejść do historii i zbiorowej świadomości.
- Już przeszedł. ORP „Ślązak” nie będzie formalnie korwetą, ale patrolowcem, a zatem program „Gawron” jako taki zakończył się niczym, a miało być stadko.
- Są oczywiście optymiści, którzy mówią, że to taka gorzej uzbrojona, ale jednak korweta. Zawsze będzie ją można w przyszłości dobroić.
- Za to teraz pójdziemy do przodu, zbudujemy trzy mieczniki i trzy czaple.
- Czyli po raz trzeci w ciągu ostatnich 30 lat spróbujemy zbudować korwetę rakietową... bo tym będzie to, co nazwano okrętem obrony wybrzeża.
- Do trzech razy sztuka! Same trójki tu widzę, to magia.
- Jest też jedno duże zero. To też taki symbol tego, ile korwet dotąd zbudowaliśmy.
- Ale powstały nam z przypadku dwa patrolowce, najpierw ORP „Kaszub”, teraz ORP „Ślązak”. Mamy już ogromne doświadczenie w budowaniu patrolowców, niedoszłych korwet.
- Teraz wszystko zawojujemy miecznikami.
- Bałtyk... czy może ambicje mamy jeszcze większe?
- Mieczniki to nie są okręty na Bałtyk. Tutaj niemal wszystko, co pływa, można zatopić z brzegu lub powietrza. Znaczą się, takie małe morze...
- Skoro nie na Bałtyk, to ja ci powiem, że miecznika to ja nie chcę.
- Nie bądź taki drobiazgowy, zawsze mieliśmy morskie zadęcie.
- Tak, odwrotnie proporcjonalnie do zasobności portfela.





Szkolenie wojskowe na terenach
zajętych przez rebeliantów
w pobliżu miasta Aleppo,
czerwiec 2015 roku



| SYRIA |

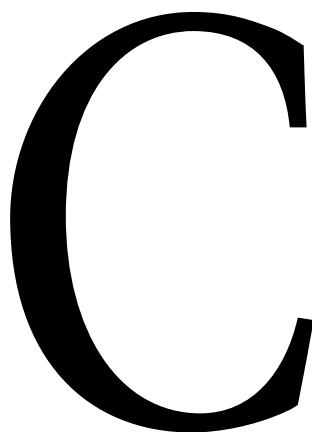
TOMASZ OTŁOWSKI

ZŁA PASSA REZIMU

Wobec równoczesnej walki z kilkoma przeciwnikami Damaszek radykalnie zmienia swoją strategię i koncepcję dalszego prowadzenia wojny.

AFP / BARAA AL-HALABI / EAST NEWS





Czwarta rocznica wybuchu wojny domowej w Syrii, przypadająca wiosną tego roku, okazała się dla władz w Damaszku niezbyt fortunna. Reżim w krótkim czasie poniósł wiele poważnych porażek militarnych, i to na kilku frontach równocześnie. W rezultacie utracił kontrolę nad kolejnymi miastami i regionami kraju, z których część miała strategiczne znaczenie dla dalszego istnienia obozu rządzącego, skupionego wokół prezydenta kraju Baszszara al-Asada. Co ciekawe, syryjscy lojaliści przegrali wiosenną kampanię nie tylko w starciach z Państwem Islamskim (IS), lecz także z głównym islamistycznym konkurentem kalifatu, czyli Frontem al-Nusra, powiązany z Al-Kaidą. Sprawia to, że sytuacja w Syrii na progu piątego roku trwania konfliktu staje się – choć ciężko to sobie wyobrazić – jeszcze bardziej skomplikowana i znacznie trudniejsza do prognozowania. Jedno wydaje się jednak pewne – lato i jesień 2015 roku będą w Syrii wyjątkowo gorące.

PRZEGRANA BITWA

Niepowodzenia syryjskich sił rządowych rozpoczęły się już w lutym 2015 roku. Długo przygotowywana ofensywa przeciwko rebeliantom w północnej prowincji Aleppo niespodziewanie zakończyła się faktyczną porażką lojalistów, choć początkowo wszystko wskazywało, że akcja będzie kolejnym sukcesem, jakich wiele odnotowano w poprzednim półroczu. Jednak liczne błędy popełnione przez siły rządowe w połączeniu ze skutecznością lokalnych formacji rebelianckich (głównie należących do Wolnej Armii Syrii i „umiarkowanych” islamistów) sprawiły, że Damaszek przegrał swą pierwszą od wielu miesięcy walną bitwę.

Straty w szeregach sił reżimowych były bardzo dotkliwe. Na przykład liczące kilkaset osób oddziały libańskiego Hezbollahu, aktywnie zaangażowane w ofensywę w regionie Aleppo, w ciągu niespełna tygodnia miały utracić około 80 bojowników. Organizacja była więc zmuszona zawiesić na kilka kolejnych tygodni działania w Syrii, aby odbudować struktury swojego syryjskiego kontyngentu ekspedycyjnego i wzmocnić morale jego

żołnierzy. Na marginesie warto odnotować, że lutowe fiasko ofensywy rządowej pod Aleppo było też pierwszą faktyczną porażką aktywnych w Syrii formacji Hezbollahu – radykalnej szyickiej organizacji libańskiej – w walce z sunnickimi dżihadystami z Al-Kaidy. Propagandyści z Al-Nusra nie omieszkali wykorzystać tego faktu w swej aktywności medialnej i informacyjnej.

W realiach wojny w Syrii takie porażki, jak ta odniesiona przez lojalistów pod Aleppo, mszczą się szybko i boleśnie. Nie minął miesiąc, gdy nagle ofensywa Armii Podboju (arab. Dżaj’sz al-Fateh) – nowej struktury antyreżimowej, złożonej z kilku ugrupowań dżihadystycznych skupionych wokół Frontu Al-Nusra – doprowadziła do serii największych od ponad dwóch lat militarnych klęsk sił rządowych w północnej Syrii. Najpierw islamiści zajęli w marcu 2015 roku Idlib – stolicę prowincji o tej samej nazwie – oraz kilkanaście okolicznych wsi i osad. W kolejnych tygodniach ich łupem padały kolejne miasta i miasteczka w tej prowincji, w tym zwłaszcza spore miasto Dżisir asz-Szughur (150 tys. mieszkańców przed wojną), położone na zachód od Idlib, oraz kilka ważnych baz sił rządowych. Samo Dżisir asz-Szughur ma duże znaczenie strategiczne, leży bowiem na głównej drodze łączącej Idlib z Latakiją, znaczącym ośrodkiem portowym na wybrzeżu Morza Śródziemnego, które wraz z sąsiednim Tartusem są bastionami alawitów. To właśnie spośród alawitów wywodzi się klan Assadów i większość establishmentu obecnego reżimu syryjskiego. W tym sensie Dżisir asz-Szughur to jedna z kilku „furtok”, wiodących do samego matecznika syryjskiej władzy, do jej miękkiego podbrzusza. Nic zatem dziwnego, że armia rządowa i jej sprzymierzeńcy (Hezbollah, szyiscy ochotnicy) podejmowali w kwietniu 2015 roku kilka desperackich prób odbicia terenów wokół Dżisir asz-Szughur, które jednak zakończyły się fiaskiem. Tym bardziej że Armia Podboju kontynuowała swą zwycięską ofensywę, w której rezultacie niemal cała prowincja Idlib znalazła się w maju w rękach opozycji. Od wiosny tego roku droga na Latakiją stoi otworem przed zbrojną syryjską opozycją i jest tylko kwestią czasu, kiedy rebelianci skorzystają z tej szansy. Symbolicznym udokumentowaniem takiego stanu rzeczy stały się opublikowane przez Front al-Nusra zdjęcia z operacji w Idlib, ukazujące autostradę w kierunku



Żołnierz syryjski na posterunku w pobliżu Damaszku

PASMO NIEPOWODZEŃ SYRYJSKICH SIŁ RZĄDOWYCH MIAŁO SWÓJ POCZĄTEK W LUTYM 2015 ROKU

ku Latakii, zasłaną ciałami poległych żołnierzy syryjskich i pełną wraków pojazdów sił rządowych.

SYMBOLE OKRUCIEŃSTWA

Przy okazji „wyzwalania” prowincji Idlib nie obyło się bez kolejnych czystek etnicznych i masowych mordów na przedstawicielach licznie jeszcze zamieszkujących tę część Syrii mniejszości religijnych i narodowościowych. W jednej tylko masakrze, dokonanej przez islamistów z Al-Nusra we wsi Isztabraq koło Dżir asz-Szughur, zginęło w ciągu kilku godzin ponad 50 alawitów. Zbrodnia ta stała się swoistym symbolem okrucieństw, których dopuścili się islamisci w tamtej części Syrii wiosną tego roku. Dzisiaj już jednak wiadomo, że nie była jedyną. W marcu i kwietniu 2015 roku w Idlib ofiarami dżihadystów padali wszyscy, którzy nie rokowali nadziei na podporządkowanie się władzy islamskich radykałów spod znaku Al-Kaidy: alawici, chrześcijanie, szyici i druzowie, ale też Kurdowie, jazydzi, a nawet ci sunnici, którzy byli znani ze swych świeckich i liberalnych poglądów. Kto nie zdążył uciec, ten ginął. Warto pamiętać o tych faktach, gdy opisuje się zbrodnie i okrucieństwa ekstremistów z Państwa Islamskiego. Al-Kaida i jej protegowani w Lewancie nie ustępują siepaczm kalifatu.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Utrata niemal całej prowincji Idlib i zaprzepaszczenie szans na całkowite odbicie metropolii Aleppo oraz otaczających ją terenów poważnie podkopały pozycję rządu w Damaszku. Zła passa reżimu utrwaliła się, gdy w maju i czerwcu 2015 roku poniósł on kolejne porażki na innych frontach. Do najważniejszych należały te w centralnej Syrii – na pustynnych wschodnich krańcach prowincji Hims, gdzie oddziały kalifatu zajęły bogate w ropę i gaz ziemny okolice miasta Tadmur oraz wiele innych osad i oaz, leżących w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Ten sukces Państwa Islamskiego, osiągnięty zresztą wyjątkowo niewielkim nakładem sił i środków (islamisci z IS mieli ponoć do dyspozycji zaledwie około 500 bojowników, kilkadziesiąt

„technicalsów” i... pięć lub sześć czołgów; siły rządowe zaś co najmniej kilka tysięcy regularnego wojska i drugie tyle lokalnych formacji samoobrony), przyniósł kalifatowi olbrzymie korzyści strategiczne.

Po pierwsze, zdobywając Tadmur, islamisci przerwali jedyne lądowe połączenie między kontrolowanymi przez władze terenami zachodniej Syrii (Hims, Damaszek) a ostatnim bastionem reżimu na dalekim wschodzie kraju – bazą Syryjskich Arabskich Sił Powietrznych (SAAF) w mieście Dajr az-Zaur, od ponad roku niemal całkowicie opanowanym przez kalifat. Postawiło to obrońców tej bazy w wyjątkowo trudnej sytuacji operacyjnej. Być może w najbliższym czasie będzie to kolejny bastion reżimu, który padnie pod ciosami ataków sił kalifatu. I kolejne miejsce masakry dokonanej przez bojowników IS na żołnierzach sił rządowych, podobnie jak przed rokiem, po upadku bazy SAAF w Tabqa we wschodniej Syrii.

Po drugie, Tadmur to jedno z większych miast w tej odludnej i bezludnej części Syrii. Znajdująca się tam infrastruktura lotnicza, zarówno cywilna, jak i wojskowa (baza transportowa SAAF), odgrywała ważną rolę strategiczną. Długie i dobrze utrzymane pasy startowe, gotowe do przyjmowania dużych i ciężkich samolotów transportowych, oraz rozlokowane wokół nich olbrzymie huby logistyczne były przeznaczone do zaopatrzenia syryjskich sił zbrojnych w czasie „W”. Oczywiście chodziło o wojnę prowadzoną zgodnie z „odwieczną” doktryną wojenną Damaszku, w której głównym (i w zasadzie jedynym) wrogiem miał być Izrael. Rzut oka na mapę Syrii ułatwia zrozumienie, jak w takiej koncepcji strategicznej plasowały się i jakie miały znaczenie instalacje logistyczne w Tadmur. Skądinąd wiadomo, że od czasu wybuchu wojny domowej w Syrii (2011 rok) Palmyra przemieniła się w bodaj najważniejszy ośrodek zaopatrzenia logistycznego, m.in. sprzętu i broni, dla sił reżimu, przyjmując przez 24 godziny dostawy przysyłane drogą powietrzną głównie z Iranu i Rosji. Pytaniem bez odpowiedzi pozostaje, ile takich transportów zmagazynowanych wokół Tadmur wpadło wiosną tego roku w ręce sił kalifatu. Nie ulega ➔

Strefy wpływów



wątpliwości, że utrata tego węzła logistycznego stanowi duży cios dla maszyny wojennej reżimu i być może okaże się dla jego przyszłości bardziej brzemienne w skutki, niż upadek Idlib czy niemożność całkowitego odbicia Aleppo.

Po trzecie wreszcie, zajęcie regionu Palmyry dało Państwu Islamskiemu dogodną sposobność do podjęcia dalszych działań ofensywnych na zachodnim kierunku operacyjnym, już bezpośrednio zagrażających metropolii Hims i jej prowincji, a także samemu regionowi Damaszk. Pierwsze akcje na tym froncie bojownicy IS podjęli w czerwcu, jednak większe działania islamistów ogranicza w tej części kraju wciąż niezdobytą przez nich bazę SAAF w Tiyas (znana szerzej pod kryptonimem „T-4”). Ta największa spośród wszystkich syryjskich baz lotniczych, położona około 50 km na zachód od Tadmur, została zamieniona w ostatnich miesiącach w prawdziwą fortecę, broniąną przez tysiące żołnierzy, kilkadziesiąt czołgów i transporterów oraz setki dział, z rozbudowanymi pasami zapór inżynieryjnych i pól minowych. Stacjonuje w niej także kilkadziesiąt samolotów bojowych różnych typów (MiG-25, Su-24, L-39) oraz kilkanaście śmigłowców (głównie różnych wariantów Mi-8). To dzisiaj dosłownie ostatni bastion oporu reżimu przed siłami kalifatu w tej części kraju. Jego ewentualny upadek oznaczałby otwarcie dla IS wolnej drogi wprost do Damaszk.

WALKA O PRZEŻYCIE

Siły rządowe poniosły także straty w czerwcu tego roku na południu kraju, w regionie Dary. Operujący tam islamisci

z Frontu al-Nusra i blisko z nimi współpracujący w tej części Syrii bojownicy z „demokratycznej” Wolnej Armii Syrii zajęli 9 czerwca 2015 roku kluczową bazę wojskową reżimu w tym regionie – koszary 52 Brygady Zmechanizowanej. Wpadła ona w ręce rebeliantów wraz z dużymi ilościami różnego typu „wojennego dobra”. Jego utrata oznacza poważne osłabienie walczących tam sił rządowych i zaprzepaszczenie wcześniejszych nadziei Damaszk na rychłe „oczyszczenie” południa Syrii z formacji rebelianckich.

Reżim syryjski – jeszcze pod koniec 2014 roku niesiony na fali sukcesów i militarnych zwycięstw z poprzednich miesięcy, które budowały mit niepokonanego prezydenta Baszszara al-Asada – dziś znajduje się w sytuacji analogicznej do tej z początków 2012 roku, gdy rozpaczliwie walczył o przeżycie w warunkach żywiołowo rozwijającej się rebelii. Ten nagły zwrot w syryjskim konflikcie może oznaczać początek przełomu w całym wieloletnim konflikcie.

Gdy spojrzeć na mapę Syrii z zaznaczonymi na niej aktualnymi terenami kontroli czy wpływów poszczególnych aktorów syryjskiego dramatu, wyłania się całkowicie czytelny i jasny obraz podziału, jaki powstał po czterech latach tej krwawej wojny. Reżim prezydenta Al-Asada kontroluje obecnie niepodzielnie pas terytoriów w zachodniej części kraju – od Dary i As-Suwajdy na południu, przez Damaszk, Hims, Hamę w centrum, aż po Tartus i Latakę na północnym zachodzie. To około 30% terytorium Syrii sprzed wojny, a jednocześnie w większości tereny najbardziej zurbanizowane (a więc naję-



▼ Dane z 1 czerwca 2015 roku

ściej zaludnione), najlepiej rozwinięte pod względem infrastruktury, uprzemysłowienia itd. Północ kraju (Aleppo, Idlib) – równie dobrze rozwinięta cywilizacyjnie – oraz spore enklawy na południu należą w zdecydowanej większości do zbrojnej rebelii, zarówno tej „demokratycznej”, jak i islamistycznej. Centrum i wschód Syrii (głównie tereny pustynne, słabiej rozwinięte i mniej ludne) to niemal jednolite dominium Państwa Islamskiego i jego kalifatu, który sięga jednak coraz wyraźniej także ku prowincji Aleppo. Z kolei Kurdowie kontrolują większość zasiedlonych przez nich skrawków obszaru dawnej Syrii (tzw. Rojawa) na dalekiej północy i północnym wschodzie kraju, przy granicy z Turcją.

SKAZANI NA ZAGŁADĘ?

Z tej perspektywy porażki sił lojalistycznych wiosną tego roku nie stanowią jeszcze dla reżimu klęski w sensie strategicznym, nie zagrażają bowiem terenom o żywotnym znaczeniu dla niego i jego społecznego zaplecza. Utrata odizolowanych instalacji militarnych czy regionów na odległych rubieżach ma wprawdzie wymiar polityczny i propagandowo-medialny (a także psychologiczny), ale z operacyjnego punktu widzenia nie jest jeszcze dramatem. Ponadto coraz więcej sygnałów i danych napływających z Syrii wskazuje, że Damaszek zarzucił już starania o zdławienie rebelii w całym kraju i odzyskanie władzy nad całym obszarem państwa, w jego granicach sprzed wojny. Otoczenie Al-Asada, a zapewne także i sam prezydent musieli ostatecznie dojść do przekonania, że sprawy w kraju zaszły za

daleko i nie ma najmniejszych szans na przywrócenie w państwie status quo ante bellum, czyli powrotu do sytuacji sprzed 2011 roku.

Wobec kurczących się sił i środków, jakimi może dysponować reżim w piątym roku wojny, a do tego w sytuacji, gdy walka toczy się równocześnie z kilkoma przeciwnikami (rebelianci z Wolnej Armii Syrii, islamisci z Frontu al-Nusra, Państwo Islamskie) – Damaszek chyba właśnie radykalnie zmienia swoją strategię i koncepcję dalszego prowadzenia wojny. Jak się wydaje, obecnie na pierwsze miejsce wysuwa się imperatyw obrony reżimowego „heartlandu” – czyli przede wszystkim nadmorskich prowincji Tartus i Latakia, ale także twardo trzymany przez władze regionów Hamy, Hims, Damaszku i As-Suwajdy. Od teraz całość sił i środków ma być przeznaczana na obronę miast i regionów o żywotnym (dosłownie) znaczeniu dla władz i ich zaplecza (etnicznego, politycznego, społecznego). Terenów, gdzie żyje dzisiaj większość spośród popierających władze syryjskich mniejszości wyznaniowych i etnicznych, z alawitami, chrześcijanami, друзami i szyitami na czele.

Być może dlatego obrońcy rządowych baz na północy (Idlib), południu (Dara) czy wschodzie (Tadmur) nie otrzymali od centrali większego wsparcia w krytycznych dla nich chwilach, gdy ich obrona chwiała się pod ciosami wrogów. Rząd w Damaszku chyba całkowicie świadomie, z premedytacją, postanowił poświęcić te odległe twierdze i bazy, wiedząc, że w przyszłości i tak nie będzie w stanie utrzymać ich długo. Heroiczna obrona tych wysuniętych rubieży reżimu, skazanych na zagładę, wykrwawiła jednak i osłabiła przeciwników, spowalniając w efekcie ich postępy.

CZYSZCZENIE TERENU

W tym kontekście ciekawy jest fakt, że pomimo braku reakcji Damaszku na działania Frontu al-Nusra, Wolnej Armii Syrii czy Państwa Islamskiego na „dalekiej” północy i wschodzie kraju, władze syryjskie zdołały – przy pomocy swych sojuszników z Hezbollahu, Iranu i Iraku – przygotować i poprowadzić w tym samym czasie udaną ofensywę na zachodzie, wzdłuż granicy z Libanem. Operacja w masywie górskim Qalamoun, skierowana przeciwko operującym tam siłom rebelianckim (głównie Al-Nusra i Wolnej Armii Syrii, ale też Państwu Islamskiemu), miała na celu oczyszczenie tego regionu i odzyskanie przez reżim kontroli nad granicą z Libanem. Nie bez znaczenia był także fakt, że dżihadyści ulokowani w Qalamoun dokonywali cyklicznych ataków na szyckie wsie i miasteczka w głębi Libanu. Wieloetapowa, rozciągnięta w czasie bitwa, prowadzona z sukcesami przez syryjskie siły prorządowe, doprowadziła do pierwszego w historii bezpośredniego starcia między oddziałami szyckiego Hezbollahu a bojownikami Państwa Islamskiego, co zakończyło się zwycięstwem tych pierwszych.

Po czterech latach krwawych i wyczerpujących potyczek w Syrii, bez wskazania na zwycięzcę i bez wyraźnego przełomu, sytuacja w tym kraju zdaje się obecnie zmierzać ku przesieleniu. Najbliższe tygodnie i miesiące przyniosą odpowiedź na pytanie, czy reżim Baszszara al-Asada faktycznie zmienił swoją strategię prowadzenia wojny i zweryfikował jej cele, ograniczając się do obrony własnego matecznika. Jeśli tak, to Syria, jaką znaliśmy przed 2011 rokiem, bezpowrotnie odejdzie do historii wraz ze swymi granicami wytyczonymi niemal 100 lat temu (1916 r.) u schyłku „wiecznego” imperium osmańskiego. ■

WITOLD REPETOWICZ, IRAK

Gęsta sieć milicji

Aby ocenić siłę ekspansji Państwa Islamskiego w Iraku, trzeba przyrzeć się wszystkim strukturom militarnym w tym kraju.

Iracka armia liczy, przynajmniej teoretycznie, 300 tys. żołnierzy i 500 tys. rezerwistów.



Przejście w połowie maja 2015 roku przez Państwo Islamskie kontroli nad Ar-Ramadi, stolicą irackiej prowincji Al-Anbar, i pospieszne wycofanie się wojska irackiego z tego miasta utrwaliło wizerunek armii jako bytu niezdolnego do walki z terrorystami. Rząd iracki wprawdzie próbował zachować twarz, promując tezę o działaniu taktycznym, ale mało kto, zarówno w Iraku, jak i za granicą, w to uwierzył. Faktem jest bowiem, że wraz z miastem w ręce terrorystów wpadła kolejna partia irackiego uzbrojenia otrzymanego od USA. To przypominało wydarzenia sprzed roku, gdy terroryści bez walki przejęli Mosul.

ZMIANA TAKTYKI

Upadek Ar-Ramadi był bolesnym ciosem zwłaszcza dlatego, że nastąpił miesiąc po ogłoszeniu przez premiera Haidera al-Abadię rozpoczęcia operacji wyzwolenia Al-Anbaru. Na dodatek siły Państwa Islamskiego, które tam wkroczyły, liczyły mniej niż 1000 osób. „Przyczyną porażki była zdrada lokalnych polityków sunnickich”, powiedział mi tydzień po upadku Ar-Ramadi jeden z doradców premiera Abadię, który zastrzegł anonimowość. Według innych doniesień, z Ar-Ramadi wycofały się też siły specjalne armii irackiej, co z kolei było interpretowane jako wyraz rozgrywek wewnętrznych między obecnym premierem a jego poprzednikiem, Nuriem al-Malikim, który tę jednostkę stworzył.

Trudno zweryfikować te tezy, gdyż ciężko jest teraz dotrzeć do Al-Anbaru, a regionalny konflikt szyicko-sunnicki znajduje również odzwierciedlenie w medialnej dezinformacji. Niemniej jednak już 27 maja rozpoczęła się kontrofensywa, której celem jest odbicie Ar-Ramadi, a następnie całego Al-Anbaru, w tym niezwykle mocno zinfiltrowanej przez terrorystów Faludży.

Najważniejsza była jednak zmiana podejścia do samej operacji w Al-Anbarze. O ile jeszcze w kwietniu lokalne plemiona sunnickie z Ar-Ramadi sprzeciwiały się udziałowi w walkach al-Hashd al-Shaabi (powszechna mobilizacja), czyli irackiego pospolitego ruszenia, o tyle po upadku miasta ich przywódcy sami wezwali Abadię, by takie wsparcie przysłał. Zmieniły się również, przynajmniej oficjalnie, relacje między USA a al-Hashd al-Shaabi. W marcu 2015 roku, w trakcie operacji wyzwolenia Tikritu [Tadeusz Wróbel, „Wymęczone zwycięstwo”, „Polska Zbrojna” nr 5/2015], Amerykanie odmawiali wsparcia lotniczego (bombardowań) z uwagi na udział Irakijczyków z pospolitego ruszenia w walkach i obecność bliżej niepotwierdzonej liczby irańskich „doradców wojskowych” z Brygad al-Kuds. Co ciekawe, al-Hashd al-Shaabi też w takim wypadku odmawiała walki ze względu na dość powszechne przekonanie, podsycane irańską propagandą, że celem nalotów nie są terroryści, lecz oni.

„To przeszłość”, powiedział mi wspomniany już doradca Abadię, zapewniając, że w walkach w Al-Anbarze, a następnie w Niniwie, weźmie udział zarówno pospolite ruszenie, jak i amerykańskie lotnictwo. Kilka dni później podobną opinię usłyszałem od jednego z czołowych polityków rządzącej partii Dawa, Alego al-Adiby. Co innego mówili mi natomiast dowódcy połowy Saraya al-Ashura (brygada), jednego z oddziałów al-Hashd al-Shaabi w prowincji Salah ad-Din, deklarujący, że nie będą współpracować z Amerykanami.

Porażka wojska irackiego w Ar-Ramadi nie zmienia faktu, że Państwo Islamskie przez miniony rok straciło znaczne te-

rytoria zdobyte wcześniej w prowincjach Niniwa, Kirkuk, Dijala i Salah ad-Din. Część z nich wyzwolili peszmergowie, ale również siły rządowe zanotowały znaczące sukcesy – odbiły w listopadzie i grudniu okupowaną przez terrorystów część prowincji Dijala, a w marcu wyzwoliły większość Salah ad-Din.

Iracka armia powstała podczas amerykańskiej okupacji Iraku, a Stany Zjednoczone zaangażowały ogromne środki w jej wyszkolenie i uzbrojenie. Dlatego spektakularne porażki, które poniosła w 2014 roku, zszokowały świat. Wynikały one jednak wyłącznie z finansowej motywacji wstępujących do niej żołnierzy. Ponadto w armii służyli głównie szyici, a według nich odpowiedzialność za taką sytuację ponoszą sunniccy przywódcy, tacy jak Athil al-Nudżajfi, były gubernator Niniwy. Nie godzili się z utratą władzy w Iraku na rzecz szyitów, więc wzywali sunnitów, żeby nie wstępowali do „armii Malikiego”. Z kolei sunnici winą obarczają byłego premiera, Malikiego.

Iracka armia liczy, przynajmniej teoretycznie, 300 tys. żołnierzy i 500 tys. rezerwistów. Ministerstwu obrony podlegają też siły powietrzne. Specjalne zaś są podporządkowane biuro antyterrorystycznemu, ono z kolei jest w bezpośredniej dyspozycji premiera Iraku. Podstawowy problem tamtejszej armii stanowi niskie morale żołnierzy, a zdrady lub ucieczki dowódców i polityków na terenach sunnickich, z którymi ci szyicy w większości żołnierze się nie utożsamiali, jeszcze pogorszyły sytuację. Zupełnie inaczej jest w wypadku al-Hashd al-Shaabi, której członkowie kierują się motywami religijnymi. Dziś zatem w Bagdadzie, Karbali czy Nadżafie nikt nie wierzy w armię, lecz w powszechną mobilizację. Panuje mniemanie, przede wszystkim wśród szyitów, że gdyby nie ta struktura, to terroryści z Państwa Islamskiego byłoby już w Bagdadzie.

ORGANIZACYJNE PORZĄDKI

Al-Hashd al-Shaabi nie jest wyłącznie konglomeratem milicji szyickich (są tam zresztą również nieliczne oddziały sunnickie), bo jej organizacja została usankcjonowana rozporządzeniem premiera, na którego mocy przy radzie bezpieczeństwa narodowego powołano komitet powszechnej mobilizacji. Ma on koordynować działania al-Hashd al-Shaabi oraz odpowiadać na przykład za żołąd i uzbrojenie bojowników.

Struktura al-Hashd al-Shaabi, liczącej obecnie około 70 tys. bojowników, jest bardzo luźna, a koordynacja pomiędzy poszczególnymi oddziałami słaba. Na dodatek ich oddolne formowanie się powoduje, że oprócz dużych struktur, często związanych z partiami szyickimi, tworzą się małe grupy. Pozostają one poza kontrolą, więc czasem trudno zweryfikować, na ile są częścią al-Hashd al-Shaabi, a na ile zbrojnymi grupami przestępczymi. To właśnie takie oddziały są odpowiedzialne za grabieże, podpalenia i samosądy w Dijali i Salah ad-Din. Według irackich szyitów informacje o nadużyciach bojowników są wyolbrzymiane przez wrogie im sunnickie media arabskie. „Mamy wyraźny rozkaz od naszego przywódcy Amara al-Hakima, by humanitarnie traktować ludność cywilną. Dla nas to nie jest wojna szyitów przeciw sunnitom, ale wojna o Irak wolny od terrorystów”, zapewniali mnie dowódcy Ashury w Salah ad-Din. „Zakazane są jakiekolwiek samosądy. Wszyscy wzięci do niewoli terroryści mają być oddawani władzom i sądzeni zgodnie z prawem”, powiedział mi →

«نَظَرُ مِنَ اللَّهِ وَفَتْحٌ قَرِيبٌ»

معارك

تطبيق العدالة

في شمال سامراء



Kadr z wideo pokazującego wspieranych przez Iran bojowników milicji Asaib Ahl al-Haq (Liga Sprawiedliwych) podczas walk o irackie miasto Tikrit w 2014 roku

w Nadżafie ajatollah Mohammad Hussein al-Hakim. Szyici podkreślają też, że pomagają sunnickim uchodźcom z Al-Anbaru, którzy znaleźli schronienie w Nadżafie czy też Salah ad-Din.

WPŁYWY IRAŃSKIE

Na czele al-Hashd al-Shaabi formalnie stoi Fatih al-Fayadh, ale na ulicach Bagdadu i innych miast irackiego południa widać przede wszystkim zdjęcia Hadiego al-Ameriego, lidera największej grupy w al-Hashd al-Shaabi, Organizacji Badr (liczy co najmniej 10 tys. osób). Powstała ona na początku wojny iracko-irańskiej w Iranie i przez lata była milicją związaną z Najwyższą Radą Islamską.

Oficjalnym dowódcą połowym al-Hashd al-Shaabi jest Abu Mahdi al-Muhandis, związany z irackim Hezbollahem. Oprócz innej grupy, o nazwie Khorasan, to najbliższe proirańskie oddziały, i to nie tylko w aspekcie militarno-politycznym, lecz także religijnym. Szyici koncentrują się wokół mardżów, czyli wielkich ajatollahów, mających prawo do wydawania wiążących edyktów religijnych, zwanych fatwami. I choć w Iraku jest czterech mardżów, to Hezbollah i Khorasan raczej uznają autorytet irańskiego najwyższego przywódcy Alego Chameneiego.

Znacznie luźniejsze relacje z Iranem mają Saraya al-Salam (Brygady Pokoju), związane z radykalnym, szyickim duchownym Muktaadą as-Sadrem, który w czasie okupacji amerykańskiej stworzył armię Mahdiego. Stopień powiązań al-Hashd al-Shaabi z irańskim Pasdaranem (Islamski Korpus Strażników Rewolucji) i Brygadami al-Kuds to przedmiot spekulacji. Oficjalnie władze Iraku utrzymują, że te kontakty ograniczają się do kilkudziesięciu doradców. Jeden z kurdyjskich deputowanych twierdził zaś, że Iran wysłał do Iraku aż 30 tys. żołnierzy Pasdaranu. Liczba ta może być przesadzona, ale z całą pewnością w walkach w Salah ad-Din w marcu 2015 roku brała udział pewna liczba żołnierzy Pasdaranu pod dowództwem gen. Kasima Sulejmaniego. W walkach w Al-Anbarze Irańczycy natomiast już nie są zaangażowani w takim stopniu.

FORMALIZACJA STRUKTUR

„Al-Hashd al-Shaabi nie dysponuje ciężkim uzbrojeniem, bo takie ma tylko armia”, powiedział mi Ali al-Adib, podkreślając, że to wciąż na wojsku spoczywa główny ciężar działań zbrojnych. W parlamencie irackim rozpoczęły się prace nad przekształceniem al-Hashd al-Shaabi w al-Hashd al-Watani (mobilizację narodową). Dzięki większej formalizacji struk-

tur ma zostać podniesiona dyscyplina w szeregach i poprawiona koordynacja działań. Ponadto mają też być uregulowane kwestie zabezpieczenia socjalnego rannych bojowników i rodzin poległych, bo teraz mogą oni liczyć tylko na pomoc fundacji religijnych – al-Sistani w fatwie nakazał tym, którzy nie walczą, wspierać finansowo bojowników i ich rodziny.

„W al-Hashd al-Watani bojownicy zostaną zrównani w prawach z żołnierzami regularnej armii”, powiedział mi Ali al-Adib. „Chodzi jednak również o zrównoważenie etniczno-religijne składu al-Hashd al-Shaabi i podniesienie jej liczebności do 120 tys.”. Według tego projektu każda iracka prowincja ma tworzyć własne oddziały – proporcjonalnie do liczby mieszkańców oraz szyitów, sunnitów i innych grup. „Sunnitów na przykład przekonamy do wstępowania za pośrednictwem ich liderów plemiennych”, dodał Ali al-Adib. Al-Hashd al-Watani będzie mieć również prawo do samodzielnego zakupu broni z przyznanego jej budżetu (w 2015 r. na al-Hashd al-Shaabi w irackim budżecie przeznaczono miliard dolarów amerykańskich), również za granicą – przede wszystkim w Iranie, choć politycy iraccy sprzeciwiają się planom bezpośrednich zakupów broni przez peszmergów. Według Adiba projekt al-Hashd al-Watani nie obejmie nie tylko Kurdystanu, lecz także kontrolowanych przez peszmergów i Asaish (kurdyjska służba bezpieczeństwa) terenów Niniwy, Kirkuku i Dżali (tereny sporne, które Kurdowie uważają za de facto przyłączone do Kurdystanu, a rząd iracki to kategorycznie odrzuca). Nie jest zaś jasne, co się stanie z al-Hashd al-Watani po zakończeniu wojny z Państwem Islamskim. Adib twierdzi, że te struktury zostaną rozwiązane, a bojownicy będą mieli do wyboru wstąpienie do armii lub powrót do swoich zawodów wykonywanych w cywilu. Nie zgadza się z tym Raad al-Haideri, jeden z doradców dowódcy Ashury: „Al-Hashd al-Watani po wojnie będzie dalej funkcjonować jako rodzaj gwardii narodowej w poszczególnych prowincjach”.

W Kurdystanie powstaje zaś alternatywny projekt „armii sunnickiej”, tworzonej z inicjatywy byłego gubernatora Niniwy Athila al-Nudżajfięgo. W pierwotnym założeniu miała ona liczyć 100 tys. osób i stanowić arabsko-sunnicki odpowiednik peszmergów w ramach szerszego projektu stworzenia arabsko-sunnickiej autonomii w Iraku. Ponieważ jednak rząd iracki odrzuca projekt przekształcenia Iraku w federację szyicko-sunnicko-kurdyjską, także projekt Nudżajfięgo jest uważany za „nielegalną milicję, z którą rząd nie będzie współpracować”, jak to ujął wspomniany już doradca premiera Abadięgo. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Zderzenie wewnątrz cywilizacji

Milicje może i są dla rządu w Bagdadzie taktycznym błogosławieństwem, ale w kategoriach strategicznych mogą okazać się przekleństwem.

Kiedy latem 2014 roku Islamskie Państwo Iraku i Lewantu/Syrii zdobywało olbrzymie połacie dwóch krajów, dokonując przy tym niezliczonych zbrodni na ludności cywilnej oraz pojmanyh jeńcach, wydawało się, że każdy sojusznik, który przyczyni się do upadku proklamowanego w czerwcu samozwańczego kalifatu, będzie na wagę złota. Już jesienią, po zaledwie kilku miesiącach walk i chaosu, pojawiły się jednak pierwsze głosy, że jedna z najbardziej efektywnych sił na teatrze irackim może być nie tyle receptą na stare bolączki, ile przyczyną nowych. Szyckie milicje, wspierane i uzbrajane przez Iran oraz chętnie posyłane do walki przez (szyicki) rząd w Bagdadzie, z perspektywy sunnickiej ludności tego kraju mogą okazać się dżumą, która zastąpi cholere. Napięte pozostają także ich relacje z peszmergami. Jakie są zatem szanse na to, że pokalifatowy Irak będzie wciąż przypominał ten sprzed jego powstania?

CHICHOT HISTORII

Napięcia między szycką większością a sunnicką mniejszością nie są w Iraku niczym nowym. Jak wynika z raportów Human Rights Watch (HRW), od 2013 roku mamy jednak do czynienia ze stopniowym, a od drugiej połowy 2014 roku wyraźnie już zauważalnym wzrostem aktywności milicji szyckich na rdzennie sunnickich terenach. W trwających przez cały marzec walkach o Tikrit spośród 30 tys. walczących po stronie rządowej dwie trzecie lub nawet nieco więcej stanowili właśnie członkowie milicji. Jeśli dodamy do tego irańskich doradców, członków Brygad al-Kuds, to okazuje się, że iracka armia (również w większości szyicka) była w stanie wystawić do walki 8–9 tys. żołnierzy.

W Iraku działa dziś ponad 20 milicji szyckich, w większości skupionych pod szyldem utworzonych 15 czerwca 2014 roku sił powszechnej mobilizacji (al-Hashd al-Shaabi), które według różnych szacunków mają od 60 do nawet 120 tys. członków (w tej liczbie mieści się także 13 tys. sunnitów) i które tylko teoretycznie są podporządkowane rządowi i ministerstwu spraw wewnętrznych, w praktyce zaś cieszą się

znaczną autonomią i przystępują do walki pod flagami własnymi, a nie państwowymi. Operacyjna autonomia, doświadczenie w działaniach nieregularnych i wysokie morale są niewątpliwie czynnikami pozytywnie wpływającymi na skuteczność milicji, z drugiej jednak strony ich działalność jest przyczyną wielu nowych kłopotów.

Problemem natury strategicznej są bliskie związki większości milicji z Iranem i Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej (Pasdaran). Dobitną ilustracją tego była obecność na pierwszej linii walk pod Tikritem [Tadeusz Wróbel, „Wy-

męczone zwycięstwo”, „Polska Zbrojna” nr 5/2015] gen. Kasima Sulejmaniego, szefa Brygad al-Kuds, który de facto dowodził ofensywą. Iran oraz sponsorowany przez niego libański Hezbollah zaopatrują i szkolą irackich współbraci w wierze, co w oczywisty sposób wzbudza niepokój monarchii regionu Zatoki Perskiej. Książę Saud al-Fajsal, minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej, wyraził na przykład zaniepokojenie w związku z, jak to ujął, „przejmowaniem przez Iran kontroli nad siłami irackimi oraz tendencjami hegemonicznymi” przejawianymi przez Islamską Republikę Iranu. Według

Saudów zaczyna ona niebezpiecznie osaczać królestwo – z jednej strony Teheran umacnia swe wpływy w Iraku, z drugiej wspomaga rebeliantów Houthi w Jemenie. W przeciwieństwie do Syrii czy Libanu wymienione państwa sąsiadują z Arabią Saudyjską, więc w tej rozgrywce chodzi nie tylko o dominującą pozycję w regionie, lecz także bezpośrednio o jej bezpieczeństwo.

Swoją drogą pojawienie się Irańczyków pod Tikritem, rodzinnym miastem Saddama Husajna, może się jawić jako ponury żart historii, a zarazem symbol niemal całkowitego strategicznego przeorientowania nowego Iraku. Ich obecność była sporym problemem także dla Amerykanów – pomijając kwestię ograniczonej przydatności lotnictwa w walkach o samo miasto, wsparcie ofensywy wizerunkowo byłoby wsparciem Pasdaranu, dlatego też amerykańskie działania zostały mocno ograniczone.





W Iraku działa dziś ponad 20 milicji szyickich, które według różnych szacunków mają od 60 do nawet 120 tys. członków.

Zagrożenie, które niosą milicje, trafnie podsumował gen. David Petraeus, dowódca wojsk amerykańskich w Iraku: „Musimy zauważyć, że głównym długoterminowym zagrożeniem dla równowagi wewnętrznej Iraku – i szerzej rozumianej równowagi w regionie – nie jest Państwo Islamskie, które, jak sadzę, w Iraku znalazło się na ścieżce prowadzącej do jego pokonania i wyparcia z tamtejszych obszarów. Główne długoterminowe zagrożenie przedstawiają sobą wspierane przez Iran milicje szyickie. Jeśli Daesh [arabska wersja nazwy Państwa Islamskiego] jest wypierany z Iraku, a finansowane przez Iran milicje wyłaniają się jako najbardziej potężna siła w kraju, spychając na drugi plan irackie siły bezpieczeństwa, czyli armię i policję, tak jak stało się w wypadku Hezbollahu w Libanie, to będzie to niezwykle groźne dla stabilności i niepodległości Iraku, nie wspominając nawet o naszych interesach w regionie”.

MY I ONI

Cytowane już raporty HRW nie są odosobnionym źródłem, które zwracałoby uwagę na okrucieństwa milicji. W doniesieniach zachodnich agencji informacyjnych nie brakuje wiadomości o pobiciach, morderstwach, wypędzeniu sunnitów, plądrowaniu ich domostw itp. W pierwszych dniach operacji w Tikricie w sieci pojawił się drastyczny film, ukazujący zastrzelenie dziewięcioletniego chłopca, podejrzewanego przez szyitów o pomoc Państwu Islamskiemu. Tego rodzaju działania mogą odnieść tylko jeden skutek – rozpalic religijną nienawiść, a jednocześnie posta-

wić sunnitów przed wyborem: czy lepiej cierpieć z rąk obcych milicji, czy też może opowiedzieć się po stronie swojego kalifatu?

Wziąwszy pod uwagę medialną i PR-ową sprawność Państwa Islamskiego, śmiało można zaryzykować twierdzenie, że nie zaniedbuje ono podobnych okazji i argumentów w walce o rząd dusz współwyznawców. Dodatkowych argumentów dostarczają mu nie tylko przywódcy milicji, tacy jak Hadi al-Amiri (Organizacja Badr), który stwierdził, że operacja w Tikricie będzie okazją do wzięcia odwetu na sunnitach, lecz także władze irackie. Odnosząc się do tej samej operacji, premier Haider al-Abadi zaapelował do mieszkańców, by nie wspierali kalifatu, a jednocześnie stwierdził, że w tej bitwie nie ma strony neutralnej. Wcześniej jego biuro nazwało zbrodnie milicji jednostkowymi błędami, niezwiązanymi z działaniami strony rządowej, większość zamieszczanych w internecie filmów określił zaś mianem spreparowanych. Niestety, nawet jeśli autentyczność części materiałów faktycznie wzbudza wątpliwość, to tego rodzaju narracja nie służy studzeniu emocji, sprzyja za to umacnianiu się podziałów na „my” i „oni” oraz grozi alienacją części społeczeństwa.

W Al-Anbarze na przykład część plemion domaga się od rządu zapewnienia finansowania i przekazania broni, podobnie jak miało to miejsce w odniesieniu do szyitów, tak by były one w stanie samodzielnie zapewnić bezpieczeństwo w prowincji. Jeden z tamtejszych prominentnych polityków, Hamid al-Mutlaq, mówi wprost: „Plemiona, iracka armia i policja są zdolne wykonać to zadanie [tj. wyprzeć Państwo Islamskie]

ABY POKONAĆ SUNNICKI KALIFAT, TRZEBA CZEGOŚ WIĘCEJ NIŻ SIŁA I BRUTALNOŚĆ SZYICKICH MILICJI

AFP / AHMAD AL-RUBAYE / EAST NEWS

bez pomocy milicji [...]. Odsunięcie milicji powinno być pierwszym krokiem rządu, mającym na celu odbudowę zaufania ludności Anbaru”.

TAKTYCZNE WYBIEGI

Myliłby się ten, kto by sądził, że milicje są problemem wyłącznie osławionego sunnickiego trójkąta. Ich działalność przyczynia się także do destabilizacji pogranicza kurdyjskiego. Kierujący ministerstwem do spraw peshmergów Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu Mustafa Sayid Qadir mówił jeszcze w styczniu: „Nie współpracujemy z nimi i nie jesteśmy szczęśliwi, że zbliżają się oni do naszych granic”. Chodziło wówczas głównie o pojawienie się milicji w okolicach Kirkuku, który, choć nie leży na terytorium autonomii, od połowy 2014 roku jest zajęty przez oddziały kurdyjskie, obecne tam od momentu panicznej rejterady przed oddziałami kalifa wojsk rządowych. Nomen omen ten z kurdyjskiego punktu widzenia pozytywny skutek pojawienia się Państwa Islamskiego może w przyszłości stać się przyczyną napięć w relacjach Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu z rządem centralnym. Kurdom niełatwo będzie opuścić uważane przez nich za przynależne im miasto (i jego pola naftowe), Bagdadowi zaś bez wątpienia równie trudno będzie pójść na jakikolwiek kompromis w tej kwestii.

Relacjom Kurdów z milicjami towarzyszy co najmniej nieufność, a często skrywana wrogość. Według władz regionu dochodziło choćby do przypadków zatrzymywania na punktach kontrolnych Kurdów jadących do lub z Bagdadu, aresztowania ich i żądania okupu za uwolnienie. Pojawiły się też niepotwierdzone informacje o zabójstwie żołnierza peshmergów. W kwietniu zaś doszło do zgrzytu w relacjach z jazydami, którego bezpośrednią przyczyną była próba włączenia jazydzkich jednostek mobilizacji Sindżaru pod kuratelę powszechnej mobilizacji. Mowa tu o aresztowaniu przez rząd Barzaniego Haidera Shesho, jednego z dowódców jednostek mobilizacji Sindżaru, powiązanego od lat z Patriotyczną Unią Kurdystanu,

opozycyjną wobec rządzącej w autonomii Demokratycznej Partii Kurdystanu. Shesho, podobnie jak część jego współplemieńców, uznał, że zostali oni zdradzeni przez władze Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu, które, wycofując oddziały peshmergów, pozwoliły na zajęcie Sindżaru przez siły kalifatu, a w rezultacie nie uchroniły ich przed masowymi mordami, gwałtami, znalezieniem się na skraju katastrofy humanitarnej podczas oblężenia góry Sindżar oraz przed masowym exodusem ludności jazydzkiej, m.in. na tereny kontrolowane przez Kurdów syryjskich.

Liczebność jednostek mobilizacji Sindżaru ocenia się na maksymalnie 3 tys. ludzi, z których zaledwie tysiąc jest finansowanych i zaopatrywanych przez rząd centralny. Włączając się pod kuratelę powszechnej mobilizacji, Shesho chciał pozyskać dodatkową broń i polityczne wsparcie, potrzebne tym bardziej, że wcześniej odmówił podporządkowania się ministerstwu do spraw peshmergów i walczył pod własną, a nie kurdyjską flagą. Ostatecznie Shesho został zwolniony, za co zapłacił oświadczeniem o porzuceniu dotychczasowych planów, niepozyaskiwaniu funduszy bezpośrednio z Bagdadu i podporządkowaniu się władzom Autonomicznego Regionu Irackiego Kurdystanu. Zapelował także o włączenie jednostek jazydzkich do oddziałów peshmergów. Czas pokaże, czy wspomniane oświadczenie oznacza realną ugodę, czy też było tylko wybiegiem taktycznym.

Aby pokonać sunnicki kalifat, trzeba czegoś więcej niż siła i brutalność szyickich milicji. Wielowymiarowa rozgrywka w Iraku i Syrii to nie tylko konflikt wewnętrzny, ale także (a może raczej należałoby powiedzieć: przede wszystkim) dobrze znany z czasów zimnej wojny tzw. konflikt zastępczy głównych graczy regionu – Iranu, Arabii Saudyjskiej i Turcji. Milicje może i są dla rządu w Bagdadzie taktycznym błogosławieństwem, w kategoriach strategicznych mogą jednak okazać się przekleństwem. Ich działalność może sprawić, że taki Irak, jaki znamy sprzed połowy 2014 roku, odejdzie do przeszłości, niezależnie od dalszych losów wojny z Państwem Islamskim. ■

GRZEGORZ
JANISZEWSKI

Wielka gra w kraju gór

W rozgrywkę o wpływy w Azji Centralnej włączył się kolejny gracz. Paradoksalnie, jego obecność może się okazać korzystna dla większości jej uczestników.



Uznawany za rzecznika Państwa Islamskiego (ISIS) Abu Muhammad al-Adnani na początku tego roku zapowiedział utworzenie nowej prowincji – kalifatu Chorasanu – na terenach obejmujących Afganistan, Pakistan oraz część Indii. Dowódcą islamistów miał tam zostać Afgańczyk Mullah Abdul Rauf, były talibański przywódca średniego szczebla, zwolniony w 2007 roku z więzienia w Guantanamo, który jednak zginął w ataku amerykańskiego drona. Podporządkowanie się ISIS miało też zadeklarować kilka pomniejszych ugrupowań talibów. W pobliżu granicy tadżycko-afgańskiej ma być prowadzona koncentracja grup bojowników Państwa Islamskiego, przygotowujących się do przeniknięcia do Tadżykistanu.

WEJŚCIE NA ARENĘ

Nie przypadkiem właśnie to państwo wskazano jako nowy cel ISIS. Tadżykistan do dzisiaj odczuwa skutki islamistycznej rebelii i wojny domowej, toczonej w latach 1992–1997. Zarzewie islamskiego buntu, pomimo represyjnej polityki władz, nigdy nie zostało tam wygaszone. Co jakiś czas dochodzi do potyczek oraz operacji sił rządowych przeciwko islamistom i innym przeciwnikom władz, jak w rejonie rasztskim

w 2010 roku i w Chorogu w Górskim Badachszanie w 2012 roku.

Tadżykistan jest jednym z biedniejszych członków Wspólnoty Niepodległych Państw, uzależnionym od pomocy z zewnątrz i dochodów Tadżyków pracujących za granicą, głównie w Rosji. Ekstremistyczne idee mogą więc padać na podatny grunt, zwłaszcza wobec konfrontacyjnej postawy władz, bezwzględnie zwalczających opozycję, również islamską.

Negatywnie na sytuację w kraju wpływa również bezpośrednie sąsiedztwo Afganistanu. Przekazanie odpowiedzialności za bezpieczeństwo wewnętrzne tego kraju miejscowym siłom pogorszyło tylko sytuację. Co więcej, walki z talibami ostatnio przeniosły się na dotychczas względnie spokojną północ kraju, zwłaszcza do zamieszkałej w większości przez Pasztunów, a graniczącej z Tadżykistanem prowincji Kunduz.

W reakcji na te wydarzenia, Tadżykistan i Turkmenistan wzmocniły ochronę swoich granic i próbują wciągnąć Kirgistan do regionalnego systemu bezpieczeństwa. Sytuacji uważnie przyglądają się też władze Uzbekistanu, które prawdopodobnie nie pozostałyby obojętne w razie otwartych działań ISIS w regionie. W połowie czerwca dowódca tadżyckich wojsk ochrony pogranicza gen. Radżabali



UN/R BAJORNAS

Prezydentowi EMOMALIEMU RACHMONOWI nie jest potrzebny umiarkowany islam. Jemu jest potrzebny islam radykalny. Tylko groźba radykalnego islamu czyni reżim obecnego prezydenta bezalternatywnym.



VIRGINIA NATIONAL GUARD

Tadżykistan nie posiada lotnictwa wojskowego, a niewielkie siły lądowe liczą około 7 tys. żołnierzy.

Rachmonali poinformował, że na terenie Afganistanu, w prowincji Kunduz w pobliżu granicy z Tadżykistanem zgromadziło się około 1,5 tys. bojowników ISIS i innych radykalnych ugrupowań islamistycznych. W kwietniu Państwo Islamskie zostało uznane przez sąd najwyższy Tadżykistanu za organizację terrorystyczną. Według ministerstwa spraw wewnętrznych tego państwa, w szeregach organizacji walczy około 400 Tadżyków. W innych źródłach jest mowa nawet o ponad tysiącu.

DRUŻYNA STU

Nowym zagrożeniem z uwagą przyglądają się też władze Federacji Rosyjskiej. Pod koniec grudnia 2014 roku prezydent Władimir Putin, rozpoczynając posiedzenie Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, przedstawił zagrożenia, jakie stwarza ISIS, próbujące rozciągać swoje wpływy na państwa Azji Centralnej. Z tego powodu państwa członkowskie Organizacji powinny być gotowe do stosowania środków prewencyjnych. Według Putina, bojownicy są szczególnie aktywni w Afganistanie, próbując na jego części utworzyć islamski kalifat. Rosyjski prezydent uważa w związku z tym, że należy wzmocnić czujność na granicy tadżycko-afgańskiej i udzielać Tadżykistanowi dalszej pomocy materialnej i finansowej dla wzmocnienia jego sił zbrojnych. Specjalny przedstawiciel prezydenta Rosji do spraw Afganistanu Zamir Kabułow stwierdził natomiast, że w tym roku pojawił się tam nowy element, który może się przekształcić w „poważne zagrożenie”. Chodzi o grupę około

100 bojowników ISIS, którzy zostali przerzuceni do Afganistanu z Iraku i Syrii. Jej zadaniem ma być przeniesienie terrorystycznej działalności do Tadżykistanu. Według Kabułowa, islamisci ożyli się również w Turkmenistanie. Najbardziej zagrożone wtargnięciem są rejony Szuroobod i Pandż.

Do połączenia w Afganistanie islamistycznych sił początkowo wzywali sami talibowie. Szybko jednak doszło do tarć z bojownikami ISIS, a nawet otwartej walki pomiędzy ugrupowaniami. Przyczynami są głównie rywalizacja o rekrutów i spory personalne. Państwo Islamskie ma płacić ochotnikom około 500 dolarów amerykańskich miesięcznie, talibowie o 200 mniej. Niebagatelne znaczenie ma kwestia przywództwa. Lider ISIS, Abu Bakr al-Baghdadi, miał nazwać stojącego na czele talibów mułę Omara „niewykształconym” i nie zamierza oddawać mu przywództwa w przyszłym kalifacie Chorasanu. Poważne różnice występują też w ideologii. Talibowie, wywodzący się głównie z Pasztunów, kierują się swoim kodeksem honorowym – pasztunwali, a wyznawany przez nich islam i system wartości znacznie odbiegają od radykalnego salafizmu i nihilizmu ISIS. Ruch talibów w dużej mierze był skierowany przeciwko okupantom. Bojownicy Państwa Islamskiego, z ich agresywną ideologią skierowaną też przeciwko części muzułmanów, mogą być również postrzegani jako zewnątrzni wrogowie, naruszający tradycyjny porządek afgański.

Rozpoczynanie przez islamistów z ISIS działań w Tadżykistanie, z wrogo nastawionymi talibami w Afganistanie, wydaje się mało prawdopodobne. Sukcesy Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii następowały w warunkach chaosu spowodowanego załamaniem władzy państwowej i podziałami wewnętrznymi, jak w Iraku, czy też wojną domową w Syrii. Dodatkowo niejednoznaczny stosunek do islamskiej rebelii mieli sąsiedzi objętych nią państw, zwłaszcza Turcja. Tadżykistan natomiast jest państwem względnie stabilnym, z podporządkowanymi silnej władzy centralnej siłami zbrojnymi i służbami bezpieczeństwa.

ROZPOZNANIE PRZECIWNIKA

Przebieg zdarzeń jest też uważnie monitorowany przez bliższych i dalszych sąsiadów, którzy mają tam swoje interesy. Zwłaszcza Federacja Rosyjska, która traktuje byłą republikę środkowoazjatyckie ZSRR jako strefę wyłącznych wpływów i bufor przed afgańską destabilizacją. Rosjanie użytkują w Tadżykistanie kilka baz wojskowych, w tym mający strategiczne znaczenie obiekt „Okno” w górach Sanglok w Pamirze, stanowiący część rosyjskiego systemu wojsk obrony powietrzno-kosmicznej. Nasilenie tendencji islamistycznych może też prowadzić do radykalizacji nastrojów wśród ponadmilionowej tadżyckiej diaspory na terenie Rosji. Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej ocenia, że obecnie w szeregach ISIS walczy już około 2 tys. obywateli FR. Są to głównie osoby pochodzące z północnego Kaukazu. Większość Tadżyków została zwerbowana do ISIS właśnie podczas pracy w Rosji.

Pomoc w potrzebie okazałaby z pewnością również przywódcy sąsiednich Kirgistanu i Uzbekistanu, zaniepokojeni wzmocnieniem radykalnych islamistów w regionie. Sytuacją w Tadżykistanie jest też zainteresowany Iran, który postrzega to państwo jako bliskie etnicznie i kulturowo. Destabilizacja kraju stawiałaby również pod znakiem zapytania chińskie pla-



W maju tego roku z kraju miał zbiec i przyłączyć się do bojowników ISIS dowódca tadżyckiego OMON-u płk Gulmurod Chalimow.

ny w regionie, które obejmują między innymi poważne inwestycje w tadżycką infrastrukturę i gospodarkę. Obejmują one m.in. budowę Nowego Jedwabnego Szlaku z Chin do Europy oraz gazociągu z Turkmenistanu do Państwa Środka.

Z drugiej jednak strony islamizacji kraju pomaga bezrobocie i bieda, zwłaszcza wśród młodzieży, a także oficjalnie świecki charakter państwa, niesprzyjający rygorystycznemu przestrzeganiu zasad islamu. Z tego powodu ekstremiści znajdują zwolenników nie tylko wśród pozbawionych perspektyw młodych ludzi. W maju tego roku z kraju miał zbiec i przyłączyć się do bojowników ISIS dowódca tadżyckiego OMON-u płk Gulmurod Chalimow. Ojciec ośmiorga dzieci, który zaczynał karierę jeszcze w ZSSR, a później był szkolony w USA, w opublikowanym wkrótce potem w internecie oświadczeniu stwierdził, że zrobił to z powodu „naruszania praw muzułmanów w ojczyźnie, w tym zakazu noszenia zgodnych z islamem ubrań i modlitwy pięć razy dziennie”. Zapowiedział też, że po powrocie do ojczyzny zaprowadzi tam prawo szariatu.

Nagłaśnianie działań ISIS może być natomiast na rękę tadżyckim władzom, które wykorzystują sytuację do rozprawienia się z opozycją polityczną oraz pozyskiwania pomocy, zarówno od Rosji, jak i Zachodu.

STRATEGIA TERRORU

Politolog Andriej Sierienko z Centrum Badawczego Współczesnego Afganistanu twierdzi, że dla zachowania władzy tadżyckiemu rządowi jest potrzebne rozgrywanie karty zagrożenia „islamskim terroryzmem”. „Jeżeli w muzułmańskim kraju niszczy się podstawy cywilizowanego islamu, to prędzej czy później przyjdzie tu islam niecywilizowany, agresywny, terrorystyczny. Zakaz działalności Partii Islamskiego Odrodzenia Tadżykistanu, prześladowania umiarkowanego islamu, na pewno umocnią w Tadżykistanie pozycje radykalnych islamistów. Już dzisiaj wśród tadżyckiej młodzieży nasilają się radykalne nastroje, poszukiwania »trzeciej siły«, w której rolę wchodzi Państwo Islamskie. Prezydentowi Emomaliemu Rachmonowi nie jest potrzebny umiarkowany islam. Jemu jest potrzebny islam radykalny. Tylko groźba radykalnego islamu czyni reżim obecnego prezydenta bezalternatywnym. Jeśli w Tadżykistanie zostaną tylko dwie siły – system Rachmona i ISIS, to oczywiście w Moskwie, Pekinie i innych stolicach wybiorą Rachmona. Jak wiadomo, z dwojga złego wybiera się mniejsze zło, a złodziej jest zawsze lepszy niż morderca”, uważa politolog.

Analitik spraw bezpieczeństwa z Duszanbe, Chajdar Solijew, uważa z kolei, że „fakt, iż w szeregach ISIS walczą uchodźcy z państw Azji Środkowej, i to, że pojawili się oni na granicy afgańsko-tadżyckiej i w pobliżu afgańsko-turkmeńskiej czy wywieszanie flag ISIS, nie świadczy jeszcze o masowej aktywności tej organizacji. Niepokój budzi tylko to, że w szeregach ISIS walczą bojownicy z Afganistanu. Można więc przypuszczać, że szybko mogą wrócić do ojczyzny i tam kontynuować działalność ekstremistyczną. Pozytywne jest również, że ludność tego regionu w większości nie popiera działań terrorystów. Według mnie ISIS nie ma szans na realizację swoich planów w Azji Środkowej, jednak akty terroru dla destabilizacji sytuacji nie są wykluczone”. Podobne zdanie ma analitik z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Anna Maria Dynier. Według niej miejscowa ludność, zwłaszcza szyci w graniczącym z Afganistanem Górskim Badachszenie, postrzegają bojowników ISIS jako śmiertelne zagrożenie.

W kontekście regionalnym można natomiast uznać zapowiedzi ISIS jako kolejną odsłonę nowej „wielkiej gry”, do której wchodzi następny aktor. Paradoksalnie, jego obecność może się okazać korzystna dla większości jej uczestników.

Rosja otrzymuje pretekst do zwiększania obecności politycznej i militarnej w regionie, w tym do wzmocnienia swojej pozycji wobec Chin. Ważna jest też presja, jaką może wywierać przez swoje działania w Azji Centralnej na Kazachstan, z którym ostatnio stosunki się pogorszyły. Autorytarne reżimy sąsiadów Tadżykistanu mają powody do zwierzania szeregów i skuteczniejszej rozprawy z opozycją, pod pretekstem walki z islamistami. Władze Afganistanu z kolei mogą liczyć na dalsze przedłużanie obecności kontyngentu amerykańskiego w obecnej liczbie prawie 10 tys. żołnierzy i finansowanie afgańskich sił zbrojnych. Działalność ISIS może też katalizować porozumienie afgańskich władz z talibami, którzy mogą wejść w rolę czołowego wroga radykalnych islamistów w Afganistanie.

Groźba radykalnej islamizacji regionu jest oczywiście poważna. Nie znaczy to jednak, że spełni się ona szybko i według zapowiedzi ISIS. Mimo szumnych deklaracji, plany tej organizacji mogą łatwo spalić na panewce, podobnie jak wielu innych najeźdźców, którzy bezskutecznie próbowali podbić ten region Azji Centralnej. ■

MJR GRZEGORZ JANISZEWSKI SPECJALIZUJE SIĘ W TEMATYCE SIŁ ZBROJNYCH PAŃSTW BYŁEGO ZSRR. SŁUŻY W DOWÓDZTWIE 3 SKRZYDŁA LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Pieśń na wiele głosów

Na szczycie Unii Europejskiej sprawy bezpieczeństwa zeszły na drugi plan.

Wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony (WPBiO) państw członkowskich Unii Europejskiej to ciągle bardziej idea niż rzeczywistość. Szansą na zmniejszenie rozdziewku między słowami i czynami miały być dwa szczyty UE. Pierwszy odbył się półtora roku temu. Unijni przywódcy wyznaczyli wówczas kierunki współpracy w sprawach bezpieczeństwa oraz zobowiązali się do wzmocnienia sektora obronnego. Wiosną 2015 roku ministrowie obrony państw Trójkąta Weimarskiego (czyli Polski, Niemiec i Francji) ocenili, że „w zadaniach zainicjowanych przez Radę Europejską w grudniu 2013 roku udało się osiągnąć spore postępy”. Jako przykład podali „strategię Unii w sprawie bezpieczeństwa morskiego, ramy dla europejskiej polityki cyberobrony oraz całokształt koncepcji systematycznej i długoterminowej współpracy obronnej w Unii Europejskiej”.

Drugi szczyt, w czerwcu 2015 roku, miał podsumować dotychczasowe osiągnięcia i wytyczyć dalsze kierunki działań, jednak sprawy bezpieczeństwa i obrony zostały zdominowane przez bieżące wydarzenia, m.in. pro-



blemy Grecji i brak odpowiedzi na pytanie, co zrobić z tysiącami imigrantów zmierzających z Afryki do Europy przez Morze Śródziemne. Tegoroczna, czerwcową dyskusja Rady Europejskiej o wspólnej polityce bezpieczeństwa i obrony została znacznie okrojona. Tymczasem – co podkreślają analitycy – toczyła się w sytuacji, w której poziom bezpieczeństwa się obniżył. W otoczeniu Unii Europejskiej (na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej, a ostatnio na Ukrainie) zachodzą bowiem procesy, które stanowią wyzwanie dla Europy. Nierozwiązane pozostają problemy we wschodnim sąsiedztwie UE (m.in. zamrożone konflikty w Gruzji i Mołdawii). Jednocześnie obserwujemy stopniową ewolucję polityki i strategii bezpieczeństwa USA, które wycofują się z Europy i koncentrują na regionie Azji i Pacyfiku. W obliczu tych zjawisk konieczne jest podjęcie przez Unię bardziej spójnej polityki bezpieczeństwa.

FRANCUZI NA CZELE

Z przecieków wiadomo, że niezadowoleni z braku dyskusji na szczycie byli Francuzi, nosem kręcili też Szwedzi, dla których ważna jest strategia łącząca państwa bałtyckie. Ale to Paryż

PK / DZIAŁ GRAFICZNY, UN



KOMENTARZ

DOMINIK P. JANKOWSKI



Zdominowana przez bieżące wydarzenia – „Grexit” i kryzys migracyjny w południowym sąsiedztwie UE – Rada Europejska ograniczyła konkluzje w dziedzinie polityki bezpieczeństwa do absolutnego minimum. Z perspektywy Polski najważniejsze ustalenia dotyczą:

- a) opracowania do czerwca 2016 roku przez wysoką przedstawiciel propozycji strategii globalnej Unii Europejskiej w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa,
- b) zapowiedzi większej mobilizacji instrumentów UE do walki z zagrożeniami hybrydowymi,
- c) wezwania do zapewnienia odpowiedniego poziomu wydatków na obronność.

Realny postęp we wszystkich trzech dziedzinach będzie miał nie tylko znaczenie w procesie wzmacniania polityki bezpieczeństwa UE, lecz także może pozytywnie wpłynąć na przygotowania do szczytu NATO w Warszawie w lipcu 2016 roku.

Dominik P. Jankowski jest pracownikiem Departamentu Polityki Bezpieczeństwa MSZ.

wysuwa się na czoło państw, które stają się naszym sojusznikiem w przekonywaniu partnerów unijnych do pogłębiania współpracy w dziedzinie wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony. Podczas gdy Wielka Brytania wykazuje daleko idącą powściągliwość i chce wyraźnie oddzielić współpracę w dziedzinie obronności od budowania zdolności wojskowych Unii Europejskiej, Hiszpania i Włochy są zmuszone do oszczędności budżetowych, Francja chciałaby na przykład, aby co roku były organizowane europejskie szczyty poświęcone WPBiO, na których uzgadniano by m.in. wojskową współpracę państw członkowskich. Wydaje się, że do tego jeszcze daleka droga. Na razie na czerwcowym szczycie kraje członkowskie zgodziły się na rozpoczęcie prac nad strategią w sprawach polityki zewnętrznej i bezpieczeństwa, o co zabiegała Polska. Przyspieszono też prace nad nową strategią bezpieczeństwa wewnętrznego UE, co jest istotne w kontekście zagrożenia zamachami terrorystycznymi.

Przygotowanie nowej strategii dotyczącej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, uwzględniającej „rosnące wyzwania”, zlecono szefowej unijnej dyplomacji Federice Mogherini. Dokument ma być gotowy w czerwcu 2016 roku. Nie jest to łatwe zadanie, bo strategia ma być konsultowana z każdym państwem członkowskim. Ma ona mocno uwypuklić element wojskowy i jasno definiować zagrożenia, a te są nieco inaczej postrzegane na wschodzie i południu Europy.

NOWE WYZWANIA

O tym, że Unii jest potrzebna strategia dotycząca WPBiO, mówi się od dawna. Obecna europejska strategia bezpieczeństwa pochodzi z 2003 roku. Od tego czasu poszerzył się wachlarz zagrożeń, m.in. nasilił się cyberterrorizm czy powstało tzw. Państwo Islamskie. O uwzględnienie w nowej strategii współczesnych wyzwań apelował m.in. w 2012 roku na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa polski prezydent, podkreślając, że przyspieszają one geopolityczne zmiany na szczeblu globalnym.

Analitycy wskazują, że bez wspólnego myślenia strategicznego kraje Unii nie potrafią skoordynować w swych budżetach cięć na zbrojenia, by jak najmniej osłabić wspólną obronę. Rozmowom o strategii UE (a zatem i o jej potrzebach obronnych) tradycyjnie niechętni są Brytyjczycy, którzy stawiają na NATO oraz na porozumienia dwustronne (np. z Francją). Pewne oba-

wy wyrażają też Niemcy, bo unijna strategia nie może pominąć spornego tematu stosunku do Rosji, a Berlin chce uniknąć wskazania, że polityka Moskwy stanowi zagrożenie dla europejskiego bezpieczeństwa.

Za mały sukces szczytu (także nasz) można uznać decyzję, że na programy badawcze w dziedzinie wojskowej będą wykorzystane fundusze unijne. Taki postulat zawierał m.in. list, który wystosowali wiosną 2015 roku do wysokiej przedstawiciel UE ministrowie obrony i spraw zagranicznych Trójkąta Weimarskiego. Zawarli w nim liczne propozycje zmierzające do pobudzenia polityki bezpieczeństwa i obrony. Dotyczyły one m.in. zacieśniania współpracy między UE a NATO (bo poprawa zdolności wojskowych Europejczyków wzmacnia jednocześnie sojusz) oraz ciągłego zaangażowania w realizację czterech programów kluczowych zdolności (komunikacja satelitar-na, zdalnie sterowane samoloty bezałogowe, tankowanie w powietrzu oraz cyberprzestrzeń) w ramach Europejskiej Agencji Obrony. Te kwestie także powinny zostać uwzględnione w nowej strategii, którą opracuje Federice Mogherini.

WYJŚCIE Z IMPASU

Bez nowej europejskiej strategii polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Unia nie zdoła odbudować swojej polityki obronnej. Jej przygotowanie nie będzie łatwe ze względu na polityczne różnice poszczególnych państw w ocenie zagrożeń. Jeżeli jednak nie uda się wypracować wspólnej wizji UE jako aktora angażującego się w międzynarodową politykę bezpieczeństwa, przyszłość wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony rysuje się w ciemnych barwach.

„Europa przeżywa obecnie kryzys tożsamościowy, jest konfrontowana z zagrożeniami konwencjonalnymi i asymetrycznymi, regionalnymi i globalnymi. Coraz bardziej rozbieżne stają się interesy Stanów Zjednoczonych oraz ich europejskich sojuszników”, podsumowuje Krzysztof Miszczak, dyrektor Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. „Europa powinna stawać się wielostronnym organizmem współpracy polityczno-wojskowej zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Unii. Aby osiągnąć ten cel, musi być spełniony jeden fundamentalny warunek: państwa członkowskie – pomimo odmiennych kultur, tradycji politycznych i różnic w kwestii ich polityki bezpieczeństwa – muszą prowadzić strategicznie wspólną, a nie taktycznie koniunkturalną politykę zagraniczną, bezpieczeństwa i obrony”. ■

KWARTALNIK
BELLONA

95
LAT DO-
ŚWIADCZEŃ
W BUDOWA-
NIU BEZPIE-
CZEŃSTWA
NARODO-
WEGO

PERIODYK NAUKOWY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

TADEUSZ WRÓBEL

Znikająca armia

Amerykańskie wojska lądowe mają coraz mniej żołnierzy. Na początku lipca ogłoszono, że w najbliższych latach nastąpi kolejna redukcja US Army. Tym razem o 57 tys. osób.

U S A R M Y

Pomimo pogarszającej się sytuacji międzynarodowej w sferze bezpieczeństwa z powodu agresywnych zachowań Rosji, ekspansji tzw. Państwa Islamskiego i rozbudowy potencjału militarnego przez Chiny, w Stanach Zjednoczonych jest kontynuowana redukcja liczebności wojsk lądowych. Departament Obrony ogłosił 9 lipca 2015 roku, że liczba żołnierzy US Army zmniejszy się jeszcze o następne 40 tys. Pentagon planował, że nastąpi to do 30 września 2018 roku, US Army zaś chce ten proces przyspieszyć o rok. Na razie obie izby Kongresu USA zaaprobowaly ograni-

czenie liczebności armii w 2016 roku do 475 tys. Równolegle z żołnierzami są zwalniani pracownicy wojska. W lipcu zapowiedziano, że w latach budżetowych 2016–2017 dotknie to 17 tys. osób. Wcześniej już zdecydowano o obcięciu 8 tys. etatów dla cywilów.

OSTRE CIĘCIA

W ostatnim dniu poprzedniego roku budżetowego, 30 września 2014 roku, armia amerykańska miała w służbie czynnej 508 tys. żołnierzy. Oznaczało to, że było ich o 62 tys. mniej niż

26 308

1251

Joint Base
Lewis-McChord
Waszyngton

PK/DZIAŁ GRAFICZNY.
ALESSANDRO GUERRIERO/FOTOLIA

Joint Base
Elmendorf-Richardson
Alaska

4603
2631

Fort Bliss
Teksas

26 365
1219

Fort Riley
Kansas

15 409
615

Fort Hood
Teksas

37 475
2350

Schofield Barracks
Hawaje

15 687
1214

Fort Benning
Georgia

12 655
3402

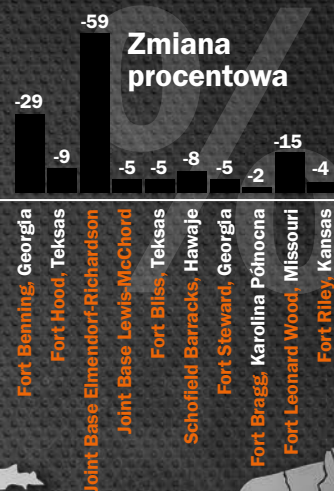
Fort Steward
Georgia

39 672
842
19 404
947

Fort Leonard Wood
Missouri

5168
774

Zmiana procentowa



Największe redukcje w bazach (powyżej 500 żołnierzy)

trzy lata wcześniej. Według planu na bieżący rok ich liczba zmniejszy się o 18 200 osób. Osiągnięcie liczebności na poziomie 490 tys. etatów oznacza, że redukcja amerykańskiej armii została przyspieszona w stosunku do pierwotnych planów. Wtedy zakładano, że nastąpi to dopiero w 2018 roku. Jednak sekwestracja, czyli automatyczne cięcia wydatków federalnych, wymusiło jej przyspieszenie.

Według informacji przedstawionych przez US Army nowa redukcja obejmie jednostki stacjonujące w 30 bazach wojskowych. Przy czym tylko w sześciu z nich cięcia będą powyżej

tysiąca żołnierzy. Największe zaplanowano w Fort Benning w Georgii, gdzie 3 Brygadowy Zespół Bojowy 3 Dywizji Piechoty zostanie przeformowany w batalion bojowy. Brygada ma około 4 tys. żołnierzy, a w batalionie będzie ich 1050. Co ważne, 3 DP jest przypisana do europejskiego teatru działań.

Drugie co wielkości cięcia, niewiele mniejsze niż w Fort Benning, były zapowiedziane w Fort Hood. Jednak ze względu na to, że jest on znacznie większą bazą wojskową niż ta w Georgii, cięcia będą stanowiły tylko kilka procent obecnej liczby żołnierzy. W Fort Benning będzie to prawie 30%.



W batalion zostanie również przeformowany 4 Brygadowy Zespół Bojowy (powietrznodesantowy) 25 DP, stacjonujący w bazie Elmendorf-Richardson na Alasce. Liczba żołnierzy spadnie tam prawie o 60%. Zamiar ten skrytykował republikański senator Dan Sullivan. Jego zdaniem tak wielkie zmniejszanie liczebności wojsk na Alasce w obecnej sytuacji politycznej nie ma strategicznego sensu. „Jedyną osobą, która jest z tego bardzo zadowolona, jest Władimir Putin”, stwierdził ten polityk cytowany przez „USA Today”

2 Brygadowy Zespół Bojowy tej dywizji z Schofield Barracks na Hawajach utraci kołowe wozy bojowe Stryker i zostanie przeformowany w brygadę piechoty z dwoma batalionami bojowymi. Pojazdy pancerne z hawajskiej jednostki mają być przekazane do 81 Brygadowego Zespołu Bojowego 40 DP z Gwardii Narodowej, której dowództwo znajduje się Seattle, w stanie Waszyngton. Jak dotąd, gwardia ma jedną jednostkę na strykerach, 56 Brygadowy Zespół Bojowy 58 DP w Pensylwanii.

1 lipca 2015 roku rozformowano 1 Brygadowy Zespół Bojowy (pancerny) 2 DP w Korei Południowej. Amerykanie postanowili, że rotacyjnie będą tam stacjonować różne jednostki. Twierdzą, że po doświadczeniach z kilkunastu lat działań w Afganistanie i Iraku jest to bardzo dobre rozwiązanie. Jako pierwszy postanowiono wysłać do Korei 2 Brygadowy Zespół Bojowy z 1 Dywizji Kawalerii w Fort Hood w Teksasie.

W Fort Bliss w Teksasie redukcja o ponad 1200 żołnierzy będzie związana głównie z restrukturyzacją 2 i 3 Brygadowego Zespołu Bojowego 1 Dywizji Pancernej. Zniknie dowództwo jednego z nich. O 225 osób zmniejszy się też kwatera główna dywizji.

Przedstawiciele US Army już wcześniej zapowiedzieli, że redukcji liczebności będzie towarzyszyć rozformowanie jednej trzeciej brygadowych zespołów bojowych, ponieważ po kilkuletnich doświadczeniach wojskowi postanowili zmienić struktury organizacyjne dywizji i brygad. Amerykanie wycofują się z koncepcji czterech brygadowych zespołów bojowych w dywizji. Oprócz jednostek wyposażonych w strykery miały one tylko dwa bataliony bojowe. Teraz w US Army przywraca się strukturę trójkową. Do końca roku budżetowego 2017 z 45 brygadowych zespołów bojowych ma pozostać 30. Na razie do 30 września tego roku będą 32 takie zespoły.

Oprócz 450-tysięcznej US Army za dwa lata będzie też 335-tysięczna Gwardia Narodowa i 195-tysięczna armia rezerwowa (Army Reserve). Jeśli nie uda się powstrzymać cięć budżetowych, to trzeba będzie nie tylko zmniejszyć o 30 tys. liczbę żołnierzy służby czynnej, ale też zredukować o 20 tys. gwardię i o 10 tys. rezerwę. W razie spełnienia się czarnego scenariusza, amerykańskie wojska lądowe w ciągu siedmiu lat będą zmniejszone aż o 26%.

OSZCZĘDZONA EUROPA

Ze względu na sytuację polityczno-wojskową po agresji Rosji wobec Ukrainy tym razem amerykańscy decydenci oszczędzili jednostki na naszym kontynencie. Liczebność US Army w Europie po wielokrotnych cięciach spadła z 213 tys. żołnierzy w 1989 roku poniżej 30 tys. Na Starym Kontynencie Amerykanie utrzymują tylko dwie duże jednostki bojowe. Najsilniejszą jest 2 Pułk Kawalerii w Vilseck, w Niemczech, który jest brygadą na strykerach. W Vincenzie we Włoszech stacjonuje 173 Brygada Powietrznodesantowa. Wsparcie zapewnia im m.in. 12 Brygada Lotnictwa Bojowego, stacjonująca w niemiec-

kiej miejscowości Katterbach, około 5 km na północny wschód od Ansach w Bawarii.

W kwietniu tego roku zapowiedziano restrukturyzację, która zarazem jest redukcją tej ostatniej. Otóż Niemcy opuści około 1900 amerykańskich wojskowych z 12 Brygady oraz 2850 członków ich rodzin. Znacząco osłabnie potencjał bojowy jednostki. Obecnie brygada ma dwa bataliony śmigłowców szturmowych, czyli 48 egzemplarzy AH-64 Apache. Rzecznik US Army ppłk Don Peters podał, że z Niemiec będzie wycofana połowa apache' y, a także 30 wielozadaniowych śmigłowców UH-60 Black Hawk, trzy transportowe CH-47 Chinook oraz dziewięć ewakuacji medycznej HH-60. Po restrukturyzacji w brygadzie będzie zaledwie 1300 żołnierzy, z których 800 ma stacjonować w Niemczech na stałe, a 500 w ramach pobytów rotacyjnych. W Katterbach Amerykanie zostawia 24 śmigłowce AH-64, dziesięć UH-60, osiem CH-47 i sześć HH-60. Oprócz tego ma być jeszcze 16 samolotów i śmigłowców wsparcia UH-72 Lakota. „Wojska pozostałe w Europie stanowią obecnie siły niezbędne, aby sprostać wymogom strategicznym i wspólnej obrony”, zapewnia dowództwo US Army w Europie.

Restrukturyzacja jednostki w Niemczech jest elementem szerszego projektu reorganizacji lotnictwa US Army. Według zapowiedzi liczba brygad lotnictwa bojowego ma się zmniejszyć z 13 do dziesięciu. W maju 2015 roku rozformowano już 159 Brygadę Lotnictwa Bojowego, jedną z dwóch, które miała 101 Dywizja Powietrznoszturmowa. Oprócz wprowadzenia zmian strukturalnych armia amerykańska wycofuje też śmigłowce rozpoznawcze OH-58 Kiowa Warrior. Wojskowi postanowili zastąpić je szturmowymi apache' ami, które będą współdziałać z bezzałogowcami. Koncepcja ta wzbudziła za Atlantykiem spore kontrowersje, gdyż przy ograniczonej liczbie dostępnych AH-64 część z nich będzie musiała przekazać US Army Gwardia Narodowa.

MODUŁOWE BRYGADY

W skład brygadowych zespołów bojowych USA, z wyjątkiem jednostek piechoty stacjonujących poza obszarem kontynentalnym, wchodzi trzy bataliony bojowe. Amerykański batalion ciężki ma strukturę mieszaną – dowództwo, kompania dowodzenia oraz po dwie kompanie czołgów i piechoty zmechanizowanej. Batalion piechoty (także powietrznodesantowy i piechoty górskiej) tworzą dowództwo, kompania dowodzenia, trzy kompanie strzeleckie i jedna broni wsparcia. Bataliony bojowe wyposażone w strykery mają cztery kompanie – dowodzenia i trzy strzeleckie. Każda brygada ma batalion rozpoznawczy, ze względu na silne tradycje kawalerskie, nazywany szwadronem, który tworzy cztery oddziały: jeden dowodzenia i trzy rozpoznawcze, będące odpowiednikiem kompanii. Do brygadowego batalionu saperów włączono kompanie łączności i wywiadu wojskowego. W brygadach pancernych i piechoty zreorganizowano bataliony artylerii, przywracając trzecią baterię, ale jednocześnie zmniejszono w nich liczbę luf z ośmiu do sześciu. Jednostki pancerne i na strykerach mają haubice kalibru 155 mm. W brygadach piechoty są dwie baterie z działami kalibru 105 mm, a jedna ma haubice 155-milimetrowe. Najbardziej rozbudowany jest batalion wsparcia logistycznego. Ma on aż dziewięć kompanii, z których sześć jest przydzielonych do batalionów bojowych i wsparcia bojowego. Bezpośrednio są mu podporządkowane kompania zaopatrzenia, remontowa i medyczna. Po reorganizacji brygadowe zespoły bojowe mają od 4400 do ponad 4700 żołnierzy. ■

ROBERT CZULDA

Nowa twarz Japonii

Pod wodzą prawicowego premiera Shinzō Abego Japonia kontynuuje politykę rezygnacji z powojennych ograniczeń wojskowych i w coraz większym stopniu staje się pełnoprawnym mocarstwem w Azji Wschodniej.

Wyniku bezwarunkowej kapitulacji w 1945 roku Japonia musiała przyjąć politykę neutralności. Państwo to po II wojnie światowej zostało pozbawione nawet prawa do posiadania sił zbrojnych.

Chociaż ostatecznie, w wyniku liberalizacji zasad przez Stany Zjednoczone na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, Japonia utworzyła wojsko (tak zwane Siły Samoobrony Japonii – JSDF), to nadal nie może użyć go poza granicami państwa, a jego wyposażenie ma charakter obronny (m.in. ma zakaz posiadania rakiet dalekiego zasięgu, bombowców, lotników, piechoty morskiej).

Samoograniczanie swojej roli w regionie zakończyło się wraz z obecnymi rządami premiera Shinzō Abego (2006–2007, następnie od 2012 roku). Polityk ten uważa, że Japonia powinna mieć takie same prawa, jak inne narody Azji. Jego celem jest usunięcie zimnowojennych ograniczeń i przekształcenie Japonii w mocarstwo regionalne, co stanowi odpowiedź na rosnącą potęgę głównego rywala, czyli Chin. Chociaż w ostatnich miesiącach doszło do ustabilizowania wzajemnych relacji między tymi dwoma państwami, to bez przesady można stwierdzić, że od kilku lat znajdują się one w stanie zimnej wojny. „Chiny naruszają japońskie wody terytorialne i przestrzeń powietrzną”, stwierdziło w 2014 roku japońskie ministerstwo obrony. „Generują niebezpieczne fakty, mogące doprowadzić do sytuacji kryzysowej, co jest szczególnie godne pożałowania”. Najbardziej wyrazistym symbolem napiętych relacji jest chińsko-japoński spór o Wyspy Senkaku (Diàóyútái).

BLIŻEJ WASZYNGTONU

Elementem budowy nowego państwa jest zacieśnienie kon- testowanej przez wielu Japończyków bliskiej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. O ile niektórzy z poprzedników Abego, jak lewicowy premier Yukio Hatoyama (2009–2010), zapowiadali osłabienie więzi, o tyle obecny szef rządu stara się je zacieśnić. W kwietniu oba państwa na najwyższym szczeblu uzgodniły modyfikację porozumienia ramowego w dziedzinie obronności, które ostatni raz zostało zmienione w 1997 roku. Było to możliwe dlatego, że w lipcu 2014 roku japoński parlament przyjął nową interpretację konstytucji z 1947 roku, w której Japonia „wyrzeka się na zawsze wojny jako suwerennego prawa narodu, jak również użycia lub groź-

by użycia siły” oraz „utrzymywania sił zbrojnych, lądowych, morskich i powietrznych oraz innych środków mogących służyć wojnie”. Nowa interpretacja zapewnia Japonii prawo do „kolektywnej samoobrony”.

Na mocy odświeżonego porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, Japonia zapewniła – pierwszy raz od II wojny światowej – że jest gotowa użyć siły w razie ataku na sojusznika. Takie podejście ma wielu polityków w japońskim parlamencie, którzy przestrzegają przed niebezpiecznym precedensem i powrotem do militarizmu. Zwolennicy premiera Abego podkreślają jednak, że chodzi tutaj bardziej o wymiar operacyjny niż strategiczny.

Dotychczasowe przepisy całkowicie blokowały swobodę japońskich sił zbrojnych, które nie były uprawnione odpowiedzieć ogniem, nawet gdyby doszło do ataku na sojuszniczą jednostkę podczas wspólnej operacji (np. patrolu), jeśli „nie było bezpośredniego zagrożenia dla bezpieczeństwa Japonii”. Teraz już jednak Tokio mogłoby wesprzeć sojusznika. Na przykład w razie ataku raketowego Korei Północnej na Stany Zjednoczone siły japońskie byłyby upoważnione do przechwycenia pocisku. Zwolennicy premiera Abego podkreślają, że nie ma mowy o automatyzmie i mimowolnym wciągnięciu Japonii w wojnę.

Na mocy kwietniowego porozumienia Japonia zapowiedziała większą współpracę techniczną i wywiadowczą ze Stanami Zjednoczonymi, a także wspólne patrole na morzach Wschodniocihńskim i Południowocihńskim, gdzie z powodu wielu sporów terytorialnych sytuacja jest szczególnie napięta. Główne pola deklarowanej kooperacji to cyberprzestrzeń oraz kosmos. Chociaż Japonia jest liderem nowoczesnych technologii, to z powodu dotychczasowych ograniczeń prawnopoli- tycznych nie ma odpowiednich systemów zapewniających strategiczną świadomość sytuacyjną. Oznacza to, że w razie konfliktu z Chinami nie byłaby w stanie wykryć nieprzyjacielskich jednostek i skutecznie prowadzić działań na dużym dystansie. Co więcej, zniesiono ograniczenia geograficzne – Japonia będzie mogła uczestniczyć w misjach wojskowych poza swoimi granicami, ale przede wszystkim w działaniach niebo- jowych. Aby ułatwić współpracę, zapowiedziano utworzenie „sojuszniczych mechanizmów koordynacji”.

Rosnąca aktywność wojskowa Japonii jest możliwa za sprawą modernizacji technicznej. Mimo że Tokio nie zwiększa w istotny sposób wydatków na zbrojenia, to do służby →



U.S. NAVY

KOLEKTYWNA OBRONA

Wyniku przyjętych w 2014 roku zmian Japonia jest uprawniona do udziału w „kolektywnej obronie” z sojusznikami, ale z wyłączeniem jakichkolwiek działań ofensywnych. Użycie siły może nastąpić także w obronie zaatakowanego sojusznika, musi być jednak minimalne, a także stanowić ostateczność.

trafiają systemy bardziej ofensywne niż w przeszłości. Przykładowo, w marcu 2015 roku wojsko otrzymało śmigłowcowiec „Izumo”, pierwszy z dwóch planowanych. To największa japońska jednostka pływająca od zakończenia II wojny światowej. Co prawda Japonia nadal nie może mieć systemów ofensywnych, ale trudno nie zauważyć, że ta jednostka – o wyporności 27 tys. t i długości 248 m – w praktyce jest lotniskowcem, więc zdecydowanie nie można jej uważać za sprzęt obronny (pomieści do 14 śmigłowców ZOP/SAR, a w przyszłości także samoloty).

Rząd Abego rozpoczął też tworzenie piechoty morskiej. Zamówił także w Stanach Zjednoczonych 17 samolotów pionowego startu i lądowania V-22 Osprey za 3 mld dolarów. Najprawdopodobniej maszyny te zostaną umieszczone w prefekturze Saga (południowo-zachodnia rubież wyspy Kiusiu), z powodu bliskości spornych Wysp Senkaku na Morzu Południowochińskim. W czerwcu zapowiedziano też kupno za 1,7 mld dolarów czterech samolotów wczesnego ostrzegania E-2D Advanced Hawkeye.

SIATKA WSPÓŁPRACY

Japonia stara się wzmocnić sieć powiązań z państwami regionu, by w ten sposób otoczyć Chiny kordonem sanitarnym. Premier Abe popiera koncepcję tzw. diamentu demokracji, na który miałyby się składać takie państwa, jak Japonia, Australia, Indie oraz Stany Zjednoczone (poprzez wysunięte na wschód Hawaje). Nowy twór miałby odpowiadać za bezpieczeństwo akwenu od Oceanu Indyjskiego po zachodni Pacyfik.

Japonia wzywa też państwa członkowskie Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (Association of South-East Asian Nation – ASEAN) do koordynacji działań związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa w regionie w odpowiedzi na politykę Chin. Tokio zgodziło się wspierać swych sojuszników w kwestiach niebojowych (rozpoznanie, transport, łączność). Pierwsze mogą być Filipiny. W czerwcu prezydent Benigno Aquino III stwierdził, że chce jak najszybszego rozpoczęcia rozmów z Tokio na temat dostępu do baz filipińskich dla japońskich sił, w celu bazowania i tankowania. Oba państwa podpisały też porozumienie o współpracy strategicznej w kwestii ćwiczeń i transferu broni.

Kolejnym elementem jest planowana ekspansja japońskiej zbrojeniówki, która przez wiele lat nie mogła współpracować z partnerami zagranicznymi. W grudniu 2011 roku złagodzono ustawę z 1967 roku, która zakazywała japońskim przedsiębiorstwom zbrojeniowym działać na obcych rynkach. Koncerny mogą już brać udział w międzynarodowych projektach badawczo-rozwojowych. W kwietniowym porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi zawarto też zapis o zwiększonej współpracy przy projektowaniu, a następnie produkcji broni. Dzięki nowelizacji wewnętrznych uregulowań nie będzie już ograniczeń, które wykluczały rodzime firmy z międzynarodowych prac, czego efektem miała być sprzedaż japońskich technologii do innych państw. Priorytetem mają być projekty dwustronne, także z firmami europejskimi, szczególnie w dziedzinie systemów rozpoznania.

Istotnym obiektem japońskiej „ofensywy” jest Australia, na mocy porozumień australijsko-amerykańskich odpowiedzialna za bezpieczeństwo w Azji na południe od równika (Stany Zjednoczone na północ, w tym na Pacyfiku). W 2007 roku oba państwa negocjowały podpisanie wspólnej deklaracji współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, ale z powodu wewnętrznych ograniczeń Japonia wówczas nie była w stanie się na nie zgodzić. Teraz, oprócz bliższej współpracy polityczno-wojskowej, Japonia chce nawiązać z Australią relacje gospodarcze. W styczniu 2015 roku japońskie media poinformowały, że Tokio zaproponowało Australijczykom swoje konwencjonalne okręty podwodne typu Sōryū, które miałyby zastąpić wysłużone jednostki typu Collins. Taki wybór popierają Stany Zjednoczone, które zapowiedziały wsparcie Japonii – wyposażenie jednostek w systemy pokładowe, w tym uzbrojenie (francuski DCNS oferuje konwencjonalną wersję okrętu typu Barracuda, a niemieckie TKMS typu 216).

Sprzedaż jednostek podwodnych Australijczykom byłaby dla Japończyków korzystna, nie tylko pod względem finansowym, lecz także strategicznym. Po zabezpieczeniu tego kontraktu mogliby przystąpić do podobnej transakcji z Filipinami, Wietnamem, a także z Indiami, które już wyraziły zainteresowanie okrętami typu Sōryū. Co jednak najważniejsze, sprzedaż sprawiłaby, że pękłaby pewna psychologiczna bariera. Japonia stałaby się wówczas pełnoprawnym graczem w Azji Wschodniej. ■



MARCIN
ANDRZEJ
PIOTROWSKI

Ostrożny optymizm

**IRAN BĘDZIE MIAŁ
MNIJSZE MOŻLIWOŚCI
SZYBKIEJ I POTAJEMNEJ
PRODUKCJI WYSOKO
WZBOGAZONEGO URANU**

Umowa mocarstw z Iranem, czyli wspólny plan wszechstronnych działań (Joint Comprehensive Plan of Action – JCPOA) zakłada bezprecedensowe ograniczenie skali i kontrolę potencjału nuklearnego tego kraju. Wbrew powielanym opiniom, nie jest ona równoznaczna ze śmiałymi decyzjami Teheranu w sprawach wewnętrznych i gospodarczych lub polityki regionalnej. Jej realizacja powinna natomiast zmniejszyć ryzyko budowy arsenału atomowego Iranu przez minimum 10–15 lat. Umowa to rezultat kompromisu USA w sprawie zniesienia sankcji w zamian za ograniczenie i zamrożenie irańskiego programu.

Iran utrzyma zdolności do produkcji wzbogaconego uranu, które osiągnął wbrew zobowiązaniom układu o nieprolifracji broni jądrowej (Non-Proliferation of Nuclear Weapons – NPT) i sankcjom ONZ. Jest to ustępstwo grupy P5+1, ale obwarowane korzyściami dla niej. Program będzie poddany unikatowemu systemowi monitoringu i kontroli, na podstawie zapisów JCPOA, planów współpracy z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej (MAEA) i protokołu dodatkowego do NPT. Kontrola MAEA obejmie całość procesu wzbogacania, poczynając od kopalni uranu po produkcję paliwa dla reaktorów i izotopów. Ograniczy to możliwości Iranu szybkiej i potajemnej produkcji wysoko wzbogaconego uranu (do 90–93%), niezbędnego do głowicy nuklearnej. JCPOA zakłada też przebudowę reaktora na ciężką wodę w Araku i rezygnację z budowy podobnych przez 15 lat. Uniemożliwi to pozyskanie plutonu, mogącego również stanowić rdzeń głowic nuklearnych lub termojądrowych. Przy pełnej realizacji umowy czas potrzebny Irańczykom na uzyskanie wysoko wzbogaconego uranu wydłuży się do 12 miesięcy. Stworzy to większy margines na reakcję dyplomatyczną lub wojskową w razie złamania JCPOA przez Iran.

JCPOA wydłuży działanie embarga ONZ na dostawy nowoczesnego uzbrojenia do Iranu o pięć lat, a na transfery technologii rakietowych o osiem. Ponieważ cała umowa nie dotyczy programu balistycznego Iranu, ma on teraz otwartą drogę do wznowienia testów rakietowych pod pozorem cywilnego programu kosmicznego. Zagrożenia rakietowe i obrona przeciwrakietowa będą wciąż kwestiami strategicznymi dla sąsiadów Iranu. Program ten będzie też nadal wpływał na kształt oraz tempo realizacji planów obrony przeciwrakietowej USA i NATO. Bardzo prawdopodobne wznowienie irańskich prac nad rakietami dalszego zasięgu powinno jednak osłabić żądania Rosji w sprawie zarzucenia obowiązujących programów przez obecną administrację, Kongres USA i sojusz północnoatlantycki.

Planowane zniesienie sankcji wywołało optymizm Irańczyków oraz nadzieje potencjalnych partnerów i inwestorów związane z dużym rynkiem zbytu. Oczekiwany powrót irańskiej ropy na rynek globalny nie nastąpi jednak wcześniej niż z początkiem 2016 roku. Daje to czas na reakcję Arabii Saudyjskiej i innych członków OPEC, którzy mogą zwiększyć wydobycie ropy, utrzymać względnie niskie ceny i dalej oddziaływać na ten sektor w Iranie.

Choć część ekspertów entuzjastycznie ocenia precedens stworzony umową z Iranem, to nie wydaje się możliwe jej zastosowanie w stosunku do Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Korea Północna jest bowiem totalitarnym i całkowicie izolowanym reżimem, który zupełnie nie liczy się z kosztami wewnętrznymi i ekonomicznymi arsenału nuklearnego. Iran zadowolony jest z statusu „państwa progno-

wego”, z kolei KRLD traktuje już posiadany arsenał nuklearny i balistyczny jako instrument swojego przetrwania, odstraszania oraz szantażu wobec USA i swoich sąsiadów. ■



DR MARCIN ANDRZEJ PIOTROWSKI JEST
EKSPERTEM POLSKIEGO INSTYTUTU SPRAW
MIĘDZYNARODOWYCH.

wojny i pokoje





| II WOJNA ŚWIATOWA |

ANNA DĄBROWSKA

MYŚLIWSKA DROGA

Witold Herbst jest jednym z ostatnich pilotów
słynnego Dywizjonu 303.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Już jako dziesięciolatek marzył o lataniu. Dwieć lat później, po skończeniu gimnazjum w rodzinnym Świeciu, Witold Aleksander Herbst postanowił zdawać do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Udało mu się przejść przez trudne egzaminy i w 1938 roku został przyjęty na pierwszy rok pilotażu. „Z 7000 kandydatów tylko 200 zostało przyjętych. Nic dziwnego, że byłem dumny”, napisał w swojej autobiograficznej książce „Podniebna kawaleria”.

Z DĘBLINA DO LONDYNU

Po roku naukę przerwał wybuch II wojny światowej. Herbst ewakuował się razem z innymi słuchaczami dęblińskiej podchorążówki przez Bukareszt, Sztambuł i Marsylię do Lyonu, aby trafić ostatecznie do Wielkiej Brytanii.

Żeby walczyć z Niemcami na myśliwcach, przeszedł kurs pilotażu w Szkocji. Egzaminujący go instruktor tak ocenił młodego adepta latania: „Bez słabych punktów, w rzeczy samej to najlepszy uczeń, z jakim latałem od wielu miesięcy”.

Karierę w Royal Air Force Witold Herbst zaczął w 1942 roku od lotów na nocnych myśliwcach, gdzie wprowadził się w pilotaż z wykorzystaniem instrumentów. Potem dostał przydział do eskadry B polskiego 308 Dywizjonu Myśliwskiego „Krakowskiego”. Zasiadł tam po raz pierwszy za sterami legendarnej maszyny Spitfire Mk V.

W 1943 roku, już jako porucznik, przeniósł się do bazy Northolt pod Londynem, gdzie stacjonował elitarny 303 Dywizjon Myśliwski „Warszawski” imienia Tadeusza Kościuszki. „O lepszej jednostce trudno było wtedy marzyć”, zapisał.

Jak przypomina Herbst w swoich wspomnieniach, Dywizjon 303 miał rekordową liczbę zestrzeleń w 1940 roku, a w 1943 roku, pod dowództwem mjr. Jana Falkowskiego, był znów na czele listy. W 303. Herbst przesiadł się na nowszą wersję spitfire’a – Mk IX. „To była świetna maszyna, zwrotniejsza niż niemieckie Messerschmitta czy Focke-Wulfa”.

„D-DAY” I BOMBOWCE

W trakcie służby w RAF-ie pilot odbył 141 lotów bojowych i uczestniczył w wielu ryzykownych misjach. Latał głównie jako osłona

myśliwska brytyjskich i amerykańskich bombowców podczas nalotów na Niemcy, Francję czy Belgię. Brał udział m.in. w wielkim rajdzie 250 „latających fortec” B-17 na fabryki w Zagłębiu Ruhry.

Uczestniczył też w „D-Day”, osłaniając 6 czerwca 1944 roku z powietrza lądowanie aliantów w Normandii. Tego dnia w ciągu doby wykonał trzy loty, podczas których eskortował lądujące wojska. „W powietrzu uwijały się dywizjony myśliwskie, poniżej przelatywały Typhoony ruszające do ataku na niemieckie cele, a piechurzy brnęli do plaży po pas w wodzie”.

Jednym z najtragiczniejszych dni w lotniczej historii Herbsty był lot nad Antwerpię jako eskorta dla amerykańskich bombowców. W czasie patrolu konwój broniony przez 12 polskich myśliwców zaatakowało 60 maszyn wroga.

„Chroniąc bombowce, musieliśmy brać ataki niemieckich myśliwców na siebie bez nadziei na zestrzelenie przeciwnika”. Dzięki takiemu poświęceniu konwój stracił tylko jeden bombowiec, zestrzelony zostało za to pięć spitfire’ów.

UZNANY ZA ZABITEGO

„Wszyscy piloci bojowi mieli takie same szanse, jedni już ginęli, inni mieli zginąć trochę później, a niektórym było dane wyjść z tej wojny cało”, napisał Herbst. Wyraźnie jemu był sądzony ten ostatni los, bo mimo trzykrotnego zestrzelenia przeżył i ani razu nie dał się złapać wrogowi.

Po raz pierwszy musiał skakać nad kanałem La Manche, kiedy pilotowanej przez niego maszynie artyleria nieprzyjaciela odstrzeliła część ogona. Lotnik został ranny w głowę odłamkiem szrapnela i stracił przytomność.

„Potem nie mogłem sobie przypomnieć, jak wydostałem się z kabiny i otworzyłem spadochron. Przyswajałem te wszystkie nawyki od prawie dwóch lat i najwyraźniej nauka nie poszła w las”.

Herbst miał szczęście, bo wiatr zniósł go prawie do samej łodzi ratunkowej. Dochodził potem do siebie w angielskim szpitalu, a po powrocie do bazy, w ramach rekonwalescencji, był przez pewien czas instruktorem w kabinie do ćwiczeń latania bez widoczności.

Kolejny raz jego samolot został trafiony przez niemiecki myśliwiec na południe od francuskie-



Witold Herbst za sterami spitfire'a Mk V w 1943 roku...



... i siedemdziesiąt lat później

WITOLD HERBST

W 1942 ROKU DOSTAŁ PRZYDZIAŁ DO ESKADRY B POLSKIEGO 308 DYWIZJONU MYŚLIWSKIEGO „KRAKOWSKIEGO”



go Beauvais. Tym razem obyło się bez większych obrażeń, Herbst miał tylko podrapaną lewą dłoń, musiał jednak skakać nad okupowaną Francją. Wylądował przez nikogo niezauważony około 30 mil od Paryża.

Dzięki pomocy leśniczego dotarł do stolicy Francji. „Byłem otoczony przez wroga, ale na szczęście nikt nie zwracał na mnie uwagi”. W Paryżu nieoceniona okazała się pomoc jednej z pań lekkich obyczajów, która nie tylko udzieliła mu schronienia, ale też nakarmiła i dała pieniądze na dalszą drogę.

Udało mu się szczęśliwie przejechać pół Francji i dzięki pomocy ruchu oporu przekroczyć hiszpańską granicę. Dwa tygodnie po zestrzeleniu pojawił się w swojej bazie, budząc ogromną sensację. Nikt już nie wierzył w jego powrót, a dowództwo oficjalnie uznało go za zabitego.

Ostatni raz Witold Herbst użył spadochronu podczas operacji „Market Garden”, gdy alianci zrzucali zaopatrzenie dla walczących żołnierzy. Jego spitfire został trafiony szrapnelem w skrzydło, a Herbst wyskoczył koło Ostendy, zajętej już na szczęście przez Anglików.





NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Podczas służby w RAF-ie Witold Herbst odbył w sumie 141 lotów bojowych.

NA OBCZYŻNIE

W 1945 roku wojna się skończyła, ale Herbstowi, tak jak wielu jego kolegom walczącym o wolną Polskę na Zachodzie, pokój nie przyniósł oczekiwanej radości. „Czy pozostanie przy życiu naprawdę było takim szczęściem? Miałem teraz poważne wątpliwości? Czy uda się nam powrócić do kraju. Nasz wysiłek okazał się daremny, zostaliśmy wygnanymi”.

Pilot, jak wielu naszych żołnierzy w podobnej sytuacji, wybrał emigrację. W Polsce zostawił rodziców, których nigdy już nie zobaczył. Ojca, znanego z antyniemieckich akcji w okresie międzywojennym, okupanci zastrzelili na początku wojny. Matkę z kolei Sowieci po wkroczeniu do Świecia wywieźli na Syberię, gdzie zmarła.

Herbst początkowo mieszkał w Londynie, gdzie ukończył London School of Economics i się ożenił. W 1960 roku przeniósł się do Nowego Jorku. Wykorzystując swoje ekonomiczne wykształcenie i dobrą znajomość kilku języków, pracował w handlu zagranicznym.

Działalność w środowisku polonijnym. Po 1989 roku zaczął organizować wyjazdy na wakacje do Świecia amerykańskich wolontariuszy uczących młodzież angielskiego. Czas na emeryturze Witold Herbst spędza z rodziną w Edmonds niedaleko Seattle. W sierpniu skończy 96 lat.

„Kiedy mówimy o historii, to wydaje się, że nie ma nic cenniejszego niż indywidualny przekaz żywego człowieka i to nie tylko świadka, lecz także jej uczestnika. Taką osobą jest właśnie Herbst, który wyróżnia się wiernością warto-

ściom – patriotyzmowi i pamięci o kolegach”, mówi o lotniku Krzysztof Poraj-Kuczewski z Domu Polskiego w Seattle.

MIŁOŚĆ DO LATANIA

Za swoją służbę Witold Herbst otrzymał brytyjski Krzyż Walecznych. Przez polskie władze został uhonorowany krzyżem kawalerskim Polonia Restituta i medalem „Pro Memoria”. Wojenne wspomnienia opisał w „Podniebnej kawalerii”, która powstawała na bieżąco podczas trzech lat służby w RAF-ie.

Został również zrealizowany pełnometrażowy dokument „Spitfire Liberator: The Alex Herbst Story”, opowiadający o życiu pilota. „Do zajęcia się tym tematem skłoniła mnie historia lotnika, z jednej strony pełna rzadkich, niesamowitych przypadków, z drugiej reprezentatywna dla zilustrowania polskich losów. To opowieści świadka historii”, tłumaczy Sławomir Ciok, reżyser i producent filmu.

Pełnometrażowy dokument, nakręcony z aktywnym udziałem bohatera, zawiera też cytaty z filmów archiwalnych, współczesne zdjęcia lotnicze oraz nowoczesne grafiki. Jego światowa premiera zaplanowana jest w Nowym Jorku na wrzesień. Możliwe, że film będzie pokazywany także w Polsce.

„Być może Witold Herbst (nie) jest postacią wyjątkową. Jego historia (nie) jest jedyna. Jest przedstawicielem odchodzącego już, niestety, wyjątkowego pokolenia, które na zawsze wyznaczyło nam standardy myślenia, działania, miłości i poświęcenia dla Ojczyzny”, napisała we wstępie do „Podniebnej kawalerii” Joanna Kosińska-Frybes, konsul generalny RP w Los Angeles. ■



*Spotkania
z historią*

**3. Zamojski
Festiwal Filmowy**

**12-15.VIII.
2015**



www.zamoscfilmfestival.pl

Dnia 24 sierpnia [1939 r.] miałem służbę, wobec czego musiałem siedzieć kamieniem w rejonie pułku. Miałem służbę w eskadrze. Czterech nowo przydzielonych podchorążych (Drecki, Janicki, Rozwadowski i Maciński) po lotach było zwolnionych z zajęć. Dowódca eskadry kpt. Sidorowicz Gustaw również był nieobecny. Hangar »4« myśliwski, na wpół przymknięty drzemał spokojnie w słonecznych promieniach. Wewnątrz panował półmrok i błogi cień. Ja zaś po załatwieniu spraw służbowych »na górze« w rejonie eskadry poszedłem do kasyna na śniadanie. I tam się wszystko zaczęło. [...] I poczęła się robota. Ładowanie sprzętu na samochody, ładowanie amunicji do maszyn. Drecki klnie na czym świat stoi, bo okazuje się, że tylko jego jednego zastał w domu telefon i akurat on umówił się na 12 z jakąś piękną warszawską. Tak brzmią pierwsze zdania „Pamiętnika wojen-

trwała dość długo, bądź co bądź 4000 m to sroga wysokość. Nie czułem, że włosy stają mi dęba, podnosząc haubę, bo robił to sam pęd. Ale w bezsilnej złości zacząłem krzyczeć, kłąć straszliwie, poczym przyszła kolej na modlitwę. Pamiętam doskonale, jak odmawiałem urywki to tej, to owej modlitwy, wcale nie myśląc o jej treści, lecz przeciwnie, pilnie obserwując zbliżającą się ziemię i czekając kiedy już nastąpi to... zderzenie. Widziałem już, gdzie mniej więcej spadnę, że miejsce to będzie w sosnowym lesie”.

WSPÓLNE DZIEŁO

Mirosław Ferić postanowił urozmaicić pamiętnik, zaprosił więc innych pilotów, aby spisywali w nim swoje relacje. Jako pierwszy w tworzenie kroniki włączył się ostatni dowódca 111 Eskadry por. pil. Wojciech Januszewicz, który opisał jed-

MAREK ROGUSZ

Kronika „Oxa”

W archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie jest przechowywany niezwykle pamiętnik.

nego pilota Dyonu im. T. Kościuszki”. Kim był jego autor? Ppor. Mirosław Ferić urodził się 17 czerwca 1915 roku w Bośni, w Trawniku koło Sarajewa, jako syn Chorwata i Polki. Ojciec zginął podczas I wojny światowej. Matka zdecydowała się w 1919 roku wrócić do Polski. W 1936 roku chłopak wstąpił do szkoły podchorążych lotnictwa, po której ukończeniu został w listopadzie 1938 roku przydzielony do 111 Eskadry Myśliwskiej w 1 Pułku Lotniczym w Warszawie.

Z kolejnych kart pamiętnika dowiadujemy się, jak wyglądały przygotowania mobilizacyjne tuż przed wybuchem wojny. Znajdujemy w nim też relację Ferića z walk Brygady Pościgowej w obronie stolicy we wrześniu 1939 roku. Pilot szczegółowo opisał m.in. pierwszą wielką bitwę samolotów myśliwskich w II wojnie światowej nad poligonem między Zielonką, Rembertowem i Okuniewem. Ppor. Ferić tego dnia, czyli 3 września, omal nie zginął. Zaangażowany w walkę z jednym z messerschmittów Bf-110 popełnił typowy błąd niedoświadczonego pilota – przestał sprawdzać, czy przeciwnik siedzi mu na ogonie. W ułamku sekundy polski myśliwiec zamienił się w płonący wrak, spadający w korkociąg na ziemię. Pilot nie mógł wydostać się z kabiny, ale na szczęście siła odśrodkowa wyrzuciła go z samolotu, spadochron otworzył się samoistnie i napełnił na bardzo małej wysokości. Ferić ze szczegółami opisał, co wtedy przeżywał: „Jazda



ną z najbardziej niezwykłych walk powietrznych na początku II wojny światowej. Por. Januszewicz wystartował samotnie przeciwko czterem messerschmittom Bf-110, które zamierzały zaatakować lotnisko w podwarszawskiej Zielonce. Zestrzelił jeden samolot, a pozostałe wycofały się z walki.

Bohaterstwo lotników we wrześniu 1939 roku nie mogło jednak powstrzymać nieuniknionego. Polska, osamotniona w walce, atakowana z każdego kierunku na froncie długości kilku tysięcy kilometrów, nie miała szans na skuteczną obronę. „Wiedzieliśmy doskonale, że Warszawę zostawia się na pastwę losu i zdaje się na własne siły to piękne i kochane serce Polski”, pisał Ferić, gdy 7 września 1939 roku z rejonu Warszawy odwołano brygadę pościgową. „Mimo że lot nie odbywał się na wysokości, a jednak widzieliśmy sporo dymów i pożarów, a prócz tego czuć było w całym powietrzu swąd spalenizny. Coś okropnego! Nie do wiary – tyle zniszczenia, a my bezsilni. Dęblin, nad którym przelatywaaliśmy, jeden obraz nędzy i spustoszenia. Lotnisko zryte setkami lejów, hangary poniszczone, dział nauk, w którym cisnę się pocił przez 2 i pół lata, zrabany. Po prostu łyż same cisną się do oczu. Jakże szybko dorobek 20 lat pada w gruzy”.

Ox, jak Ferića nazywali koledzy, wydarzeń z września 1939 roku nie opisywał na bieżąco – największa część pa-

miętnika, dotycząca początku wojny i ewakuacji z Rumunii, powstała we Francji w listopadzie i grudniu 1939 roku. Lotnicy polscy nie mogli doczekać się obiecanych przez Francuzów szkoleń na nowych samolotach i walki z Niemcami. 10 maja 1940 roku Adolf Hitler zaatakował bowiem państwa na zachodzie. Strony pamiętnika ppor. Fericia wypełniły się wtedy relacjami jego oraz kolegów rozproszonych po różnych jednostkach tamtejszego lotnictwa. Z tych zapisków widać, że Francuzi zawiedli ich oczekiwania. Polscy piloci chcieli od razu bić się z Niemcami, żeby pomścić wrześnieową klęskę. Gospodarze jednak nie wierzyli w ich umiejętności.

Wkrótce Francja skapitulowała. „Zebrani Francuzi w Perpignan oświadczyli jednogłośnie, że za Anglię bić się nie będą. Mój Boże: nie chcieli bić się za swoją ojczyznę, a cóż mówić o czymś innym. Smutne to, ale trzeba stwierdzić, że

z kim to musiałem większą część awanturniczego życia spędzać”, skomentował kiedyś żartobliwie ppor. pil. Jan Zumbach. Wiele wpisów do dziennika prowadzonego przez Fericia to dokument kapitalnej wagi – czasami jest to jedyne osobiste świadectwo lotnika, który wkrótce potem poległ.

ZACHOWANE W PAMIĘCI

Ppor. Mirosław Ferić stał się jednym z najlepszych lotników Dywizjonu 303. W czasie bitwy o Anglię zestrzelił siedem samolotów przeciwnika na pewno i jeden prawdopodobnie. Został odznaczony srebrnym Krzyżem Militarnym, czterokrotnie Krzyżem Walecznych oraz brytyjskim Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym (Distinguished Flying Cross). Od listopada 1941 roku, ze względu na chorobę, przebywał w szpitalu. W lutym 1942 roku, na własną prośbę, wrócił do dywizjo-

duch był podły w jednostkach, jakiś dziwny strach, bezradność, brak poświęcenia”, komentuje sytuację na kartach pamiętnika jeden z lotników. Wkrótce został zapisany prawie cały notatnik. Ferić rozpoczął więc nowy, tak jak nastąpił kolejny etap epopei polskich lotników. Pozostała „wyspa ostatniej nadziei” – Wielka Brytania, do której różnymi drogami ewakuują się polscy piloci. Drugi tom pamiętnika opowiada

o utworzeniu i walkach jednej z najlepszych jednostek myśliwskich w bitwie o Anglię – Dywizjonu 303. Wyjątki z tej części kroniki są najbardziej znane. Arkady Fiedler, pisząc „Dywizjon 303”, w znacznej mierze opierał się na niej, podobnie jak Kazimierz Węgrzecki, który w 1969 roku opublikował w Londynie książkę „Kosynierzy warszawscy”.

Po pierwszych sukcesach dywizjonu Ferić zaczął traktować swoje dzieło jako jego kronikę, stanowiącą uzupełnienie dokumentacji oficjalnej. W pamiętniku pojawia się coraz więcej zdjęć, wycinków z prasy, wpisów VIP-ów odwiedzających dywizjon. Podstawę nadal jednak stanowią relacje zapisane przez samego Fericia oraz jego kolegów, których cały czas zmuszał do notowania: „Słowa te piszę na wybitne zadanie Oxa-Szkota, który zawsze nalega, a którego prochy prawdopodobnie przywiozę do Polski, w małej urnie, i obok kałamarza na biurku postawię, by mi przypominały,

nu. Zginął podczas lotu treningowego 14 lutego 1942 roku. Po śmierci Fericia jego dzieło kontynuowali lotnicy: por. pil. Zygmunt Bieńkowski, por. pil. Witold Herbst i sierż. Michał Suwiński. Łącznie powstało aż sześć tomów.

Zawartość pamiętnika „Oxa” nigdy nie została opublikowana w całości. W pracach historyków czy też publikacjach popularnonaukowych pojawiały się jedynie fragmenty, czasami zmienione tak, aby pasowały do reszty tekstu. ■

MAREK ROGUSZ JEST AUTOREM I WSPÓLAUTOREM ARTYKUŁÓW, GIER, KOMIKSÓW I KSIĄŻEK POPULARYZUJĄCYCH HISTORIĘ POLSKIEGO LOTNICTWA I ZWIĄZANYCH Z NIM LUDZI.

▼ Ostatnia z książek Marka Rogusza napisana wspólnie z Łukaszem Łydzką „III/1 Dywizjon Myśliwski” to monografia jednej z jednostek Brygady Pościgowej broniącej we wrześniu 1939 roku nieba nad Polską.



1940 rok, piloci Dywizjonu 303, od lewej: P/O Ferić, F/Lt Kent, F/O Grzeszczak, P/O Radomski, P/O Zumbach, P/O Łukuciewski, F/O Henneberg, Sgt. Rogowski, Sgt. Szaposhnikow

Lotnictwo jest bronią nowoczesną, której wartość zasadza się na aktywnym działaniu we własnej strefie powietrznej i strefie przeciwnika”, pisał dr Eugeniusz Baranowicz 27 lipca 1932 roku w „Polsce Zbrojnej”. Jak wyliczał, samoloty dostarczają kierownictwu armii cennych wiadomości, mogą w ciągu kilku godzin przetransportować wojska na zagrożone punkty i utrzymać łączność z krajem ponad głowami nieprzyjaciół.

RÓJ PŁATOWCÓW

Jak dodawał Baranowicz, siła lotnictwa tkwi w świadomości, że w każdej chwili nieprzyjaciół spodziewać się musi jego akcji. „Nowoczesne lotnictwo działać będzie masą olbrzymią, a jego niszczycielskie ataki nastąpią w wielu punktach. Każdy z nich zaatakuję setki niszczycielskich płatowców zabezpieczonych rojem płatowców myśliwskich”.

Dlatego, zdaniem autora, po organizacji wojsk lądowych i ich wyposażeniu technicznym oraz po ustaleniu między państwami hegemonii na morzu przyszedł czas na walkę o przewagę w powietrzu. „Jesteśmy świadkami zmagania technicznych, w których zwycięstwo odniesie genialność pomysłów, wytrzymałość, organizacja techniczna i bogactwo materialne narodu”.

O tym, że Polsce rozwój tego rodzaju wojsk jest potrzebny, przekonywał w listopadzie 1925 roku Edward Peyriller, redaktor naczelny paryskiego pisma „L'Aero-Sports”. „Siła lotnicza Polski jest koniecznością. Olbrzymia linia graniczna zmusza ten kraj do posiadania broni groźnej,



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ANNA DĄBROWSKA

Siła skrzydeł

Obrona Polski w powietrzu zabezpieczy i zagwarantuje całość naszych granic.

a niesłychanie ruchliwej, która mogłaby w razie konfliktu uczynić armię polską najsilniejszą w punkcie i momencie dowolnym”, pisał.

Jak dodawał, tajemnic siły lotnictwa polskiego poszukiwać należy w miłości, jaką otaczają je zwierzchnicy, i ufności, w jakiej służy mu personel wykonawczy. „Pilotaż odpo-

wiada bowiem zaletom indywidualizmu i odwagi cechującym dusze Polaka. Dzięki temu skrzydła polskie lecą coraz wyżej od zwycięstwa do zwycięstwa”.

NOCNA ORIENTACJA

Lotnictwo w dużym stopniu zależy od techniki, dlatego inżynierowie

PITAWAL

Zgubna znajomość

Podoficerowie utrzymywali kontakt ze szpiegiem.

Starszy sierżant Karol Dylewicz i plutonowy Leon Urbańczyk znali się od dawna. Mieszkali w jednym miastecz-

ku, razem trafili do wojska i choć w służbie ich drogi się rozeszły, to utrzymywali ze sobą kontakt, tym bardziej że obaj służyli w Warszawie.

Sierżant trafił do Składowicy Map Okręgu Korpusu I, plutonowy zaś służył w prokuraturze przy Najwyższym Sądzie Wojskowym. Szybko podoficerowie wprowadzili zwyczaj, że po całym tygodniu pracy wpadali do knajpy „U Pawlaka”, gdzie przy piwie omawiali minione wydarzenia.

Pewnego piątku przysiadł się do nich młody i sympatyczny mężczyzna, którego już od jakiegoś czasu widywali przy sąsiednim stoliku. Nowy znajomy zwał się Tomasz Jaskółta i okazał się nadzwyczaj rozmowny, towarzyski i hojny. Płacił chętnie za kolejne kufle piwa, a i na wódkę i zakąskę nie skąpił.

Od tej pory panowie spotykali się w trójkę, omawiając co piątek problemy codziennego życia i służby. Jaskółta okazał się świetnym powiernikiem.

usiłnie pracowali nad możliwościami samolotów. „Ulepszają zdolność ofensywną maszyn bojowych i zwiększają możliwości lotów z jednej półkuli ziemskiej na drugą”, informował kpt. Marian Łukaszewski.

Jak podawał oficer, główny wysiłek w dziedzinie rozwoju lotnictwa przypada na samoloty wojskowe. „Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się typ samolotu myśliwskiego jednosilnikowego, coraz szybszy, lepiej uzbrojony i potężniejszy”.

Także polscy inżynierowie nie sypiali gruszek w popiele. Jak donoszono 17 sierpnia 1926 roku w gazecie wojskowej, na polu lotnictwa został dokonany wynalazek, który ma ogromne znaczenie. „Jest to aparat orientacyjny zbudowany przez porucznika Władysława Wojciechowskiego. Ma on na celu umożliwienie pilotom dokładne orjentowanie się w locie wśród warunków takich, w których normalna orjentacja wzrokowa była dotychczas nieosiągalna, czyli w nocy, we mgle czy chmurach”, tłumaczył dziennikarz „Polski Zbrojny”.

ZŁOTÓWKA OD PODOFICERÓW

Nad rozwojem naszego lotnictwa pracowała też Liga Obrony Powietrznej Państwa. „Jej hasło – silne lotnictwo to silna Polska – trafia do serc i umysłów Polaków. Obrona Polski w powietrzu zabezpieczy bowiem i zagwarantuje całość naszych granic”, relacjonował reporter dziennika.

W wrześniu 1927 roku w Warszawie Liga otworzyła Instytut Areodynamiczny, wzniesiony kosztem około

miliona złotych, zebranych dzięki składkom. „Placówka ma dwa cele. Jednym jest ocenianie projektów wchodzących do dziedziny lotnictwa i testowanie ich w tunelach o silnym prądzie powietrza, a drugim badania naukowe nad zależnością siły nośnej, oporu czołowego czy profili skrzydeł oraz lotności i szybkości maszyny”, czytamy w wojskowej gazecie.

Pomyślny rozwój przemysłu lotniczego nie był też obojętny żołnierzom. Podoficerowie założyli nawet Fundację Lotniczą imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego, która gromadziła pieniądze na ten cel.

„Liczba opodatkowanych powiększa się nie tylko wśród podoficerów, ale też wśród zwyczajnych szeregowców odbywających służbę wojskową. Nasi dwuletni uczniowie poza wyszkoleniem wojskowym uczą się też ofiarności na rzecz obrony Państwa i zgłaszają chęć opodatkowania się po kilkadziesiąt groszy miesięcznie”, informował st. sierż. Jan Komuszyński z 9 Pułku Piechoty Legionów. Radził też kolegom, aby nie oglądali się na nikogo, ale sami zgłaszali u swego płatnika chęć potrąceń na rzecz Fundacji. „Niech złotówka miesięcznie wpłacana przez każdego z nas będzie symbolem naszej solidarności. Jest nas w wojsku 40 tysięcy, więc obliczcie, jaki majątek w ciągu roku dać możemy naszemu lotnictwu”, zachęcał sierżant. Apelowal też, aby nie zapominać o tym czynie. Fundacja jest bowiem dziełem polskiego podoficera, darem żołnierza dla swego wodza oraz żywą pamiątką dla ojczyzny. „Nasza fundacja w przyszłości ma się stać filarem polskiego lotnictwa”. ■

Z ochotą wysłuchiwał utyskiwań na szefów i dowódców, wypytywał o obowiązki i zadania, cierpliwie słuchał narzekania na niepowodzenia i śmiał się przy anegdotkach z dowództwa.

Tak minęło pół roku. Któregoś dnia Jaskółta zapowiedział wyjazd z Warszawy w interesach i zniknął z życia żołnierzy na dobre. Podoficerowie już prawie zapomnieli o wesołym kompanie, kiedy u każdego w drzwiach stanęli żołnierze z Żandarmerii Wojskowej.

Obaj zostali aresztowani pod zarzutem szpiegostwa. Okazało się, że ich piątkowy kompan był znanym niemieckim szpiegiem Aleksandrem Lamschą. Przesiadując w knajpie, usłyszał rozmowy podoficerów, dowiedział się, gdzie pracują i zawarł z nimi znajomość. Dzięki temu mógł zbierać materiały dotyczące zasad tworzenia wojskowych map czy rozmieszczenia wojsk. Kiedy zorientował się, że polski kontrwywiad jest na jego tropie, uciekł.



POLSKA ZBROJNA
5 LIPCA 1936 ROKU

PŁK JAN SADOWSKI:

Armia, aby mogła przygotować się w całej pełni do czekających ją w czasie wojny zadań, wymaga organizacyjnego spokoju, a nie nieustannego zapachu reorganizatorów. Jeśli ten spokój i stabilizacja jest niezbędna armiom o dużej tradycji, gdzie wszystkie detale codziennego życia są uregulowane, to o ileż więcej potrzeba go u nas, gdy posiadamy w organizacji wojska tyle jeszcze luk.

Ogłoszenia retro

Wyszedł z druku i jest do nabycia
w GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ, ul. Nowy Świat 69.
— Książka kpt. MIECZYSLAWA LEPECKIEGO —
— DO —
PODRÓŻ DO EGIPTU
wrażenia z podróży, odbytej z Marszałkiem Piłsudskim w r. 1932.
200 stron druku i około 100 fotografii. — CENA 7 ZŁOTYCH.

KRAJOWY CYWILNY
Warszawa, Nowy Świat Nr. 58, m. 4, front i piętro. Telefon Nr. 506-62. Konto Czekowe P.K.O. 8882
Przebieg wszelkie choroby z własnych i powierzonych materiałów. 2194
M. GOLDBERG
CENY znaczenie ankieta

Radosna Szkoła
powszechna i przedszkole
Piękna 10 — róg Al. Ujazdowskiej
Przebieg 1932-33, 10-12, 117-19.
Lokal b. obczerny, słoneczny, taras, ogród. Języki obce, rymyka, umuzykalnienie. Opieka lekarska. Gimnastyka leonizacja prowadzona przez lekarza również dla młodzieży z innych szkół w godz. popołudniowych.

24 lipca 1937 roku Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie, pod przewodnictwem ppłk. dr. Mikołaja Kamińskiego, rozpatrzył sprawę podoficerów. Oskarżono ich o utrzymywanie kontaktów z agentem ościennego państwa.

Za nieświadome udzielanie mu informacji sąd skazał sierżanta na dwa lata więzienia, a plutonowego na dwa lata i dwa miesiące pozbawienia wolności. Zostali też pozbawieni praw i zdegradowani do stopnia szeregowego. ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

MIELIŚMY DOŚĆ EGZEKUCJI

Z Westyną Gójską

o powstaniu warszawskim widzianym oczami 19-letniej
dziewczyny rozmawia Andrzej Fąfara.

Zobaczyłem Panią rok temu w telewizji podczas obchodów 70. rocznicy powstania warszawskiego. Wtedy mnie tknęło, żeby zrobić z Panią wywiad.

Dlaczego ze mną? Nie pełniłam żadnych ważnych funkcji. Byłam w powstaniu tylko przez dziesięć dni. Potem mój oddział został rozwiązany. Inni walczyli znacznie dłużej.

Interesuje mnie, z jakich powodów 19-letnia dziewczyna, która miała całe życie przed sobą, stanęła 1 sierpnia 1944 roku do walki.

To była konsekwencja członkostwa w Armii Krajowej. Zostałam zaprzysiężona mniej więcej rok przed powstaniem. Moja przynależność do AK miała ścisły związek z miejscem zamieszkania. Wychowałam się na Ochocie w kamienicy przy Grójeckiej 46, która była połączona podwórkiem z numerami 42. i 44. Wszyscy się tam znaliśmy. Nastawienie lokatorów było niezwykle patriotyczne, zwłaszcza tych spod numeru 42. Po cząwszy od dozorczy, który też był w konspiracji, a skończywszy na komórce Armii Ludowej. Mnie do AK wciągnęli rówieśnicy, a konkretnie Wojciech Olszewski, który był – jak to się wówczas określało – moją sympatią. To dzięki niemu zostałam łączniczką. Najważniejszy w tym naszym konspiracyjnym towarzystwie z Grójeckiej był Michał Karwacki pseudonim „Sowa”, który pełnił funkcję kwatermistrza Obwodu AK „Ochota”.

Jakie były zadania łączniczki?

Przed wybuchem powstania organizacyjnie przydzielono mnie do Wojskowej Służby Kobiet. Moją przełożoną była starsza ode mnie dziewczyna o pseudonimie „Grażyna”. Nic więcej o niej nie wiedziałam. Nosiłam meldunki z Ochoty na Mokotów. Trzeba było przejść przez aleję Żwirki i Wigury, a potem przez Pole Mokotowskie, gdzie zawsze kręciło się sporo Niemców. Ale jakoś miałam szczęście – nigdy mnie nie zaczepili.

Kiedy się Pani dowiedziała, że wybuchnie powstanie?

Mówiliśmy między sobą, w gronie znajomych, że może coś się kroi. Ale za dużo na ten temat nie wiedziałam, byłam przecież kimś najmniej ważnym w hierarchii organizacyjnej. Pamiętam ostatnią niedzielę przed powstaniem. Pojechaliśmy z Wojtkiem Olszewskim kolejką EKD do jego znajomych pod Grodzisk Mazowiecki na wiśnię. Jak wróciliśmy, czekało na niego dwóch chłopaków. Wręczyli mu broń i zabrali do punktu kontaktowego. Wtedy dopiero nabrałam pewności, że będziemy walczyć.

Widzieliście się potem jeszcze?

Kilka godzin przed wybuchem powstania. Jego mama zrobiła placki ziemniaczane. Zjedliśmy, Wojtek wziął moje zdjęcie i już się nigdy nie spotkaliśmy. Zginął na terenie browaru Haberbuscha. Prawdopodobnie, bo ciała nie znaleziono.



Idąc do powstania, chcieliśmy położyć kres tym ciągłym egzekucjom i łapankom

A jak dla Pani zaczęło się powstanie?

Zbiórka była w mieszkaniu Michała Karwackiego przy Grójeckiej 42. Zostawiłam dowód osobisty i dostałam opaskę powstańczą. Niedługo potem znalazłam się w oddziale, który bronił budynków Polskiego Monopolu Tytoniowego przy ulicy Kaliskiej. Głównym dowódcą był Andrzej Chyczewski pseudonim „Gustaw”, a moim bezpośrednim – Janusz Jarzębski pseudonim „Pobóg”. Wysyłali mnie z meldunkami przez ulicę Węgierską na Barską, gdzie stacjonowało dowództwo obwodu. Jakoś dawałam sobie radę, bo było całkiem dobre przejście przez piwnice i parkany. Pewnego razu przyjęli meldunek i kazali mi skubać gęsi. Powiedzieli, że to rozkaz i że mnie nie puszczą z powrotem, jak tego nie zrobię.

Długo trzymaliście się w Polskim Monopolu Tytoniowym?

Do 10 sierpnia. Z każdym dniem było coraz ciężiej. Najbardziej dawał nam się we znaki ostrzał artyleryjski prowadzony z Dworca Zachodniego. Brakowało amunicji, straty były ogromne. Koledzy umierali w piwnicach, prosili przed śmiercią, żeby zdjąć im medalik i przekazać rodzinie. W końcu padł rozkaz opuszczenia budynków Monopolu i odwrotu w kierunku Lasów Chojnowskich. Nie wszystkim udało się tam dotrzeć. Mnie niestety też nie. Podobnie jak wielu mieszkańców Ochoty, znalazłam się na Zieleniaku, czyli w obozie utworzonym na terenie targu warzywnego [dziś stoją tam Hale Banacha – przyp. A.F.]. Oddziały SS RONA [Rosyjska Ludowa Armia Wyzwoleńcza – przyp. A.F.] dokonywały tam okrucieństw, które przechodzą ludzkie pojęcie. Gwałty były na porządku dziennym, podobnie jak egzekucje. Zdarzyło się, że stałam na krawędzi wykopanego rowu i wraz z kilkunastoma innymi osobami czekałam na strzały. Jakimś cudem nie padły. Ktoś podszedł do dowódcy, coś mu szepnął i zostaliśmy uratowani. Tych kilkudziesięciu sekund nigdy jednak nie zapomnę. Można powiedzieć, że przeżyłam własną śmierć.

Przez Zieleniak przewinęło się około 60 tys. mieszkańców Warszawy. Po pewnym czasie przewieziono ich do Pruszkowa. Panią też?

Też. Warunki były równie koszmarnie jak na Zieleniaku. Spaliśmy na betonie, nie było urządzeń sanitarnych. Brakowało jedzenia. Co jakiś czas podjeżdżały pociągi i zabierały ludzi do Niemiec. Znajdowałam się już w wagonie, kiedy postanowiłam zaryzykować. Mogłam to zrobić, bo byłam sama, bez rodziny. Gdy pociąg zatrzymał się na stacji w Skiernie-

wicach, zajął do wagonu chłopak z RGO [Rada Główna Opiekuńcza – przyp. A.F.].

Niemcy pozwalali na to?

RGO działała podczas okupacji legalnie. Współpracowała, zdaje się, ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem. Pomagała m.in. mieszkańcom Warszawy w czasie powstania i po wypędzeniu z miasta. Za przyzwoleniem Niemców rzecz jasna. Stąd obecność tego chłopaka w pobliżu pociągu jadącego do Rzeszy. Zapytał, czy może w czymś pomóc. A ja do niego szeptem: „Ratuj mnie”. Zorganizował mi szybko opaskę RGO i dzięki temu mogłam oddać się z transportu. W Skierniewicach dobrzy ludzie załatwili mi przejazd lokomotywą do Rawy Mazowieckiej. Stamtąd trafiłam do Grodziska, a potem do Komorowa, gdzie nareszcie nawiązałam kontakt z akowcami. Mój koszmar się skończył.

Po wojnie szukała Pani znajomych z powstania?

Założyłam rodzinę, ukończyłam studia. Wie pan doskonale, że to nie był dobry czas dla dawnych akowców. Dopiero w wolnej Polsce zapisałam się do Światowego Związku Żołnierzy AK. Nie było łatwo.

Nie chcieli Pani przyjąć?

Dokładnie sprawdzali. Pytali na przykład o nazwiska nauczycieli z tajnego gimnazjum imienia Słowackiego, gdzie robiłam maturę. Kto uczył polskiego, a kto matematyki? Musiałam też znać szczegóły z powstania. Na przykład to, jakiej maści był pies dyrektora Polskiego Monopolu Tytoniowego.

To ciekawe...

Dyrektor był akowcem, podczas obrony Monopolu wyszedł na balkon i został trafiony przez Niemców. Jego pies był po stracie pana dniami i nocami. Koledzy musieli go zastrzelić. Pamiętam, że miał sierść ciemnobrązową.

Zastanawia się Pani dziś, czy powstanie miało sens?

Dla mnie, 19-letniej dziewczyny, wybuch powstania wydawał się czymś oczywistym. W listopadzie 1943 roku widziałam z okien swojego mieszkania egzekucję na rogu Wawelskiej i Grójeckiej. Hitlerowcy zastrzelili tam kilkanaście osób. Zamordowani mieli opaski na oczach. Niemcy ciągnęli ich za nogi, tworząc stertę ciał. Rozmawialiśmy o tym często ze znajomymi. Idąc do powstania, chcieliśmy położyć kres tym ciągłym egzekucjom i łapankom. To był właśnie ten nasz sens. ■

WIZYTÓWKA

WESTYNA GÓJSKA

Emerytowana lekarka stomatolog. Podczas II wojny światowej członkini Armii Krajowej, uczestniczka powstania warszawskiego. Pseudonim „Wera”. W 2011 roku awansowana na stopień porucznika rezerwy.



Feldmarszałek Erwin Rommel

TADEUSZ WRÓBEL

Ostatni szturm „Lisa Pustyni”

Feldmarszałek Erwin Rommel w końcu sierpnia 1942 roku podjął ostatnią próbę rozbicia wojsk brytyjskich broniących się w Egipcie.

Po pierwszej bitwie o Al-Alamajn, stoczonej w lipcu 1942 roku, dowodzący wojskami państw Osi w Afryce Północnej feldmarszałek Erwin Rommel na przełomie sierpnia i września ponownie próbował przerwać linie obronne brytyjskiej 8 Armii. Niemiecki dowódca, nazywany „Lisem Pustyni”, wiedział bowiem, że czas działa na jego niekorzyść. Brytyjczycy mogli liczyć na nowych żołnierzy i uzbrojenie, podczas gdy strumień zaopatrzenia dla jego wojsk był coraz cieńszy.

SZUKANIE SŁABOŚCI

Pomimo problemów z dostawami przez Morze Śródziemne w sierpniu liczba czołgów Afrika Korps zwiększyła się ze

133 do 233, a włoskich z 96 do 281. Luftwaffe miała 298 samolotów, a sojusznicze Regia Aeronautica 460. Royal Air Force dysponowała na Środkowym Wschodzie 181 bombowcami i 254 myśliwcami. Znalazły się też tam eskadry bombowców amerykańskich, których pierwotnym celem były Chiny. Jednak zatrzymano je w rejonie Morza Śródziemnego m.in. do bombardowań rumuńskich instalacji naftowych.

Zdjęty ze stanowiska przez premiera Winstona Churchilla gen. Claude Auchinleck zdołał opanować panikę, w jaką wpadły wojska alianckie po klęsce pod Ajn al-Ghazalą i upadku Tobruku. Brytyjski dowódca odtworzył linię frontu w najdogodniejszym miejscu do obrony, na wysokości miejscowości Al-Alamajn, nad Morzem Śródziemnym. Kilkadziesiąt kilo-





Gen. por. Bernard Montgomery

metrów od niej rozpościerała się bowiem wielka depresja Katar, teren nie do pokonania przez pojazdy. Tym samym Auchinleck zabezpieczył się przed ulubionym manewrem Rommle, obejściem pozycji obronnych swych wojsk. Niemiecki dowódca mógł prowadzić tylko natarcie frontalne.

Odcinka frontu od wybrzeża Morza Śródziemnego do pasma wzgórz Ruweisat broniły trzy dywizje XXX Korpusu Armijnego – australijska 9 Dywizja Piechoty, południowoafrykańska 2 DP i indyjska 5 DP. Umocnione stanowiska piechoty, zwane „boxes” (pudełka), chroniły pola minowe i zasieki z drutu kolczastego. Piechurzy mogli też liczyć na wsparcie ogniowe artylerii, którą mieli za plecami, oraz stojącej w odwodzie 23 Brygady Pancernej, mającej około 150 czołgów Valentine. Na południe od wzgórz Ruweisat był XIII KA. 16-kilometrową linię obronną, kończącą się w Alam Nayil, obsadzała nowozelandzka 2 DP, a brytyjska 44 DP miała bronić pasma Alam al-Halfa. Tę ostatnią wsparto 8 i 22 Brygadą Pancerną z 10 Dywizji Pancernej. Pierwsza z nich miała 72 czołgi M3A5 Grant i 12 crusaderów, a druga 92 granty, 40 Stuartów i 34 crusadery.

Ostatnie 20 km między tą miejscowością a depresją miało, zdawać by się mogło, słabszą obronę. Za polami minowymi były rozmieszczone 4 Lekka Brygada Pancerna, w części północnej sektora, i 7 Brygada Zmotoryzowana, na jego południu. Obie należały do 7 Dywizji Pancernej. 7 BZmot miała 41 czołgów Crusader, 57 samochodów opancerzonych i trzy bataliony piechoty. Natomiast 4 LBPanc dysponowała dwoma pułkami samochodów opancerzonych, których było 108, oraz dwoma pułkami czołgów z 50 Stuartami i 27 crusaderami. Brygady

**BERNARD
MONTGOMERY
ŚWIETNIE ZNAŁ
PLANY ROMMLA,
PONIEWAŻ ALIANCI
CZYTALI KORE-
SPONDENCJĘ
SZYFROWANĄ
ZA POMOCĄ
ENIGMY**



BUNDESARCHIV

otrzymały rozkaz zadania wrogowi, zanim wycofają się na główną linię obronną, jak największych strat.

Główną linię obronną Brytyjczyków tworzyły „boxes”, obsadzone zwykle przez dwa bataliony piechoty, pułk artylerii z 24 działami kalibru 84 mm oraz baterie armat przeciwpancernych. Umocnienia były otoczone przez pola minowe i zasieki z drutu kolczastego. Pomiedzy „boxes” teren patrolowały jednostki mobilne, wyposażone w czołgi i samochody opancerzone. Na południowym krańcu frontu Brytyjczycy położyli duże pola minowe, o szerokości od 200 do 1000 m.

W momencie rozpoczęcia ataku armia pancerna Rommła liczyła 76–82 tys. żołnierzy i 514 czołgów. Feldmarszałek miał załedwie 27 wozów Pz.Kpfw IV Ausf F2 z armatami długolufowymi. Do tego dochodziły 74 wozy Pz.Kpfw III z armatami 50-milimetrowymi. Niemcy mieli jeszcze lekkie czołgi PzKpfw II. Włoskie, choć liczniejsze, były gorzej opancerzone i uzbrojone. 8 Armia zaś miała w jednostkach bojowych 693 czołgi, w tym 164 M3A5 Grant, 169 lekkich czołgów Stuart oraz 360 wozów Crusader i Valentine. 517 z nich znajdowało się w brygadach pancernych i zmotoryzowanych.

Feldmarszałek Rommel postanowił wykorzystać słabość brytyjskiej obrony na południu i uderzyć tam siłami podległych mu najlepszych niemieckich jednostek – 15 i 21 Dywizji Pancernej oraz 90 Dywizji Lekkiej. Przy czym w tym czasie te dywizje pancerne liczyły po około 6 tys. żołnierzy, a lekka 4 tys. Do tego dochodziły m.in. dwa bataliony niemieckich spadochroniarzy z brygady gen. Hermanna-Bernharda Ramckego oraz jeden włoskiej Dywizji Spadochronowej „Folgore”.

Na lewym skrzydle miał atakować 20 Korpus Włoski – 132 DPanc „Ariete” i 133 DP „Littorio” oraz Dywizja Zmotoryzowana „Trieste”. Jednocześnie, dla odwrócenia uwagi, niemiecka 164 DP waz z dywizjami włoskimi miały zaatakować na północy. Według planu opracowanego przez „Lisa Pustyni” po przerwaniu brytyjskiej linii obrony jego czołgi miały wykonać zwrot na północ, ku Morzu Śródziemnemu, by okrążyć większość 8 Armii. Następnie 15 DPanc i 90 DL miały skierować się ku Kairowi. Celem zaś 21 DPanc i 164 DP oraz brygady Ramckego były Aleksandria i Port Said. Włoski 20 KA miał z kolei przeciąć drogę pomiędzy Aleksandrią a Kairem.

PRZECZYTRZONY LIS

Rzecz w tym, że nowy dowódca 8 Armii, gen. por. Bernard Montgomery, świetnie znał ów zamiar, ponieważ alianci czytali korespondencję Rommła szyfrowaną za pomocą Enigmy. Wiedząc o planowanym przez Niemców zwrocie na północ, stworzył silną pozycję obronną na ciągnących się na wschód od Alam Nayil wzgórzach, z których największymi było pasmo Alam al-Halfa.

Nieświadomy tej przewagi przeciwnika feldmarszałek rzucił swe wojska do natarcia po zachodzie słońca, 30 sierpnia 1942 roku. Od samego początku rzeczywistość pola walki miała się nijak do planów sztabowców. Przygotowanie przejść w brytyjskich polach minowych zajęło saperom wiele godzin. Niemieckie jednostki pancerne przekroczyły je dopiero po południu 31 sierpnia. Tego dnia podczas bombardowania został ranny





ZAGONY PANCERNE „LISA PUSTYNI” NIE ZNALAZŁY LUKI W LINIACH OBRONNYCH ALIANTÓW

dowódca Afrika Korps gen. Walther Nehring. Z powodu opóźnienia znikł w mniemaniu Rommla, nieświadomego, że alianci złamali niemieckie szyfry, czynnik zaskoczenia. Dlatego rozkazał wojskom dokonać zwrotu na północ wcześniej niż zamierzał przed bitwą.

Zagony pancerne „Lisa Pustyni”, gdy tylko przeszły przez pola minowe i skierowały się ku morzu, znalazły się pod ogniem artylerii przeciwpancernej i okopanych czołgów 22 BPanc. Na Niemców czekały nowe amerykańskie czołgi M3A5 Grant z armatami kalibru 75 mm.

W pierwszym starciu straty po obu stronach były porównywalne. Co więcej, do akcji włączyło się brytyjskie lotnictwo, które w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1942 roku skupiło się na niszczeniu niemiecko-włoskich linii zaopatrzenia. W nocy z 1 na 2 września Brytyjczycy zrzucili pierwszy raz w Afryce przeciwko celom lądowym bombę o masie około 1800 kg.

Kłopoty wojsk Osi powiększyły się 2 września, gdy samochody opancerzone brytyjskiej 4 LBPanc zniszczyły koło Himemat znaczną część wielkiego konwoju z zaopatrzeniem. Niebawem z powodu braku paliwa stanęły czołgi 21 DPanc.

Przed wznowieniem ofensywy Rommel zapotrzebował 5400 t paliwa. Do końca sierpnia dostał zaledwie jedną czwartą tej ilości. W ciągu trzech miesięcy (czerwiec–sierpień 1942 roku) alianci zatopili na trasie między Włochami a Afryką 25 statków o wyporności powyżej 500 t, które wiozły zaopatrzenie dla wojsk Osi. Tonaż utraconych jednostek przekroczył 100 tys. t. Brak paliwa i aliancka przewaga w powietrzu spowodowały, że feldmarszałek musiał odwołać natarcie, które, jak

się później okazało, było jego ostatnią próbą przedarcia się w kierunku Nilu i Kanału Sueskiego.

Niepowodzenie wroga postanowił wykorzystać Montgomery, który w nocy 3 września rozpoczął kontrnatarcie. Żołnierze nowozelandzkiej 5 Brygady Piechoty i brytyjskiej 132 BP weszli na obszar między polami minowymi. Toczona w ciemnościach walka przyniosła liczne ofiary po obu stronach. Następnego dnia Niemcy i Włosi próbowali kontratakować, zadając aliancom znaczne straty. Do niewoli dostał się dowódca nowozelandzkiej 6 BP, brygadier George H. Clifton. Dowódcy polowi zameldowali Montgomery’emu, że ich oddziały są zbyt wyczerpane, by kontynuować natarcie. Dowódca 8 Armii nakazał żołnierzom, by w nocy wycofali się na pozycje wyjściowe. 5 września 1942 roku, uznawanym za ostatni dzień bitwy, aktywne było już tylko lotnictwo.

W porównaniu z innymi bitwami II wojny światowej straty ludzkie po obu stronach nie były duże. Bilans 8 Armii to 1750 żołnierzy zabitych, rannych, zaginionych i jeńców, a Panzer Armee około 3 tys., w tym 1859 Niemców. Po walkach pod Alam al-Halfa do użycia nie nadawało się około 100 brytyjskich czołgów. Jednak część z nich udało się naprawić. Bezwrotnie stracono najwyżej 68. Niemcy mieli poważnie uszkodzonych 113 czołgów, z których 38 porzucono. Włosi podawali, że utracili ich 11. Stan lotnictwa brytyjskiego zmniejszył się o 67 samolotów, podczas gdy zniszczono 36 maszyn Osi. Dla sił Rommla najboleśniej było zdziśiatkowanie taboru transportowego. Szacuje się, że Brytyjczycy zniszczyli około 400 ciężarówek wroga. ■



ANDRZEJ
FĄFARA

Agent wszechczasów

**JERZY IWANOW-
-SZAJNOWICZ ZASZKODZIŁ
HITLEROWCOM JAK MAŁO
KTO. I JAKO SZPIEG, I JAKO
SABOTAŻYSTA**

Przy Nowym Świecie 43 w Warszawie, między sklepami z herbatą i galanterią skórzaną, znajduje się tablica upamiętniająca Jerzego Iwanowa-Szajnowicza. Jest napisane, że mieszkał w tej kamienicy. I że był polskim bohaterem greckiego ruchu oporu, zamordowanym przez hitlerowców w Atenach.

Wątpię, by taka informacja zmusiła miłośnika herbaty albo posiadaczkę nowej torebki do poszerzenia wiedzy na temat Iwanowa-Szajnowicza. Ja bym napisał tak: tu urodził się agent wszechczasów. To brzmi bardziej intrygująco i zachęca po powrocie do domu do zajrzenia do Wikipedii. Z bardzo prostego powodu. Cały świat wie bowiem doskonale, że bezkonkurencyjnym agentem wszechczasów jest nieustraszony James Bond, a cała Polska i spory kawałek zagranicy, że dzielny Hans Kloss. Skąd więc nagle w tym towarzystwie Jerzy Iwanow-Szajnowicz?

Stąd, że załaził hitlerowcom za skórę jak mało kto. I jako szpieg, wysyłając aliantom cenne informacje na temat ruchów wojsk niemieckich, i jako sabotażysta, wysadzając pociągi oraz stojące w porcie okręty. Miał grupę współpracowników, ale wiele akcji przeprowadzał w pojedynkę. Był znakomitym pływakiem, odnosił przed wojną sukcesy sportowe, głównie w piłce wodnej. Nie stanowiło więc dla niego problemu podpłynięcie do zacumowanej jednostki i umocowanie ładunku wybuchowego. Czynił to po wielokroć, doprowadzając Niemców do wściekłości.

Schwytanie Iwanowa-Szajnowicza stało się w pewnym momencie jednym z głównych celów niemieckich służb wywiadowczych w Grecji. Polak dwukrotnie wpadał w ręce wroga i w obu przypadkach uciekał. Za drugim razem upił włoskich karabinierów, którzy prowadzili go do aresztu. To pomysł żywcem wzięty z „Przygód dzielnego wojaka Szwejka”.

Trzecie aresztowanie zakończyło się już tragicznie. Skazany na śmierć przez rozstrzelanie próbował ucieczki z miejsca straceń. Jakimś cudem otworzył kajdanki, ale został ranny, złapany i ponownie postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Zginął na początku 1943 roku.

W porównaniu z Bondem i Klossiem agent wszechczasów z Nowego Świata 43 ma tę wadę, że był postacią autentyczną. W związku z tym nakręcono o nim, jeszcze w czasach głębokiej komuny, tylko jeden film (o Bondzie powstały 23, o Klossie 18) – „Agent nr 1”. Główną rolę zagrał Karol Strasburger – ten sam, który dziś prowadzi „Familiadę” i opowiada wprawiające w zadumę dowcipy.



Ogranicznikiem sławy Jerzego Iwanowa-Szajnowicza jest też to, że działał w Grecji. Gdyby wysadzał niemieckie pociągi i okręty w Polsce, to co innego. Byłyby szkoły, place i ulice jego imienia. Może powstałby jakiś serial. A tak jest tablica między dwoma sklepami przy Nowym Świecie. ■



TADEUSZ WRÓBEL

Z BAGIEN NA OCEAN

Swój udział w amerykańskim zwycięstwie na Pacyfiku miały amfibie gąsienicowe, które wykorzystywano podczas desantów na kolejnych wyspach.

Jednym z charakterystycznych obrazów z II wojny światowej na Pacyfiku są płynące ku atakowanym wyspom amerykańskie amfibie. Dzięki tym gąsienicowym pojazdom żołnierze mogli dotrzeć w głąb plaży. Potężne wozy zapewniały im również wsparcie ogniowe i stanowiły osłonę przed ostrzałem wroga. Ich pierwowzór powstał jednak z myślą o zupełnie innym, cywilnym, przeznaczeniu.

NARODZINY ALLIGATORA

W latach 1926, 1928 i 1938 nad terenami południowej Florydy przeszły potężne huragany. Jednym ze świadków niszc-

zących skutków tych żywiołów i śmierci ludzi był amerykański finansista John August Roebling II. Zszokowany tymi obrazami, w tym brakiem możliwości prowadzenia skutecznych działań ratowniczych na bagiennych obszarach regionu jeziora Okeechobee, zwrócił się do syna Donalda, by ten wykorzystał swe talenty inżynierskie i stworzył pojazd, „który zapełniłby lukę, w sytuacji, gdy łódź osiada na mieliźnie, a samochód jest zalewany”.

Donald Roebling należał do rodziny niemieckich emigrantów, z której wywodzili się znani projektanci i budowniczowie. Pradziadek, John Artur Roebling, zdobył rozgłos jako



W Europie Zachodniej amerykańskich amfibi LVT w walkach użyły wojska brytyjskie i kanadyjskie. Największą operacją z udziałem kilkuset pojazdów było forsowanie Renu 23 marca 1945 roku.

konstruktor mostów. Jego ostatnim projektem, którego z powodu śmierci nie ukończył, był most Brookliński, łączący nowojorskie dzielnice Brooklyn i Manhattan. Dzieło doprowadził do końca jego syn, a zarazem dziadek Donalda, Washington August Roebling.

Konstruktor rozpoczął prace nad ziemnowodnym ciągnikiem (amphibian tractor), który nazwał „alligator”, na początku 1933 roku. Prototyp był gotowy dwa lata później. Donald Roebling skonstruował kadłub pojazdu z nowego wówczas materiału, jakim było aluminium. Dzięki temu udało się zmniejszyć masę, a zwiększyć wyporność. Alligator, zarówno po lądzie, jak i w wodzie, poruszał się dzięki obracającym się łańcuchom. Jego napęd stanowił silnik Chryslera o mocy 92 KM. Po próbach Roebling dokonał tak znacznych zmian w pojeździe, że jest on uważany za drugi prototyp.

Pływającym traktorem szybko zainteresowali się wojskowi. Kadm. Edward C. Kalbfus, wówczas dowodzący pancernikami Floty Pacyfiku, pokazał artykuł o nim w magazynie „Life” z 4 października 1937 roku gen. mjr. Louisowi McCartyemu Litte’owi, który był dowódcą piechoty morskiej tej floty. Ten zaś przekazał go komendantowi Korpusu Piechoty Morskiej (KPM). W marcu 1938 roku z bazy Quantico wysłano do Clearwater na Florydzie mjr. Johna Kalufa, by ocenił, czy al-

ligator może być przydatny do celów wojskowych. Ponieważ raport był pozytywny, komendant Korpusu Piechoty Morskiej zażądał zakupu pilotażowego modelu do dalszych testów. Jednak Biuro Budowy Marynarki Wojennej odrzuciło ten wniosek z powodu braku funduszy.

Jesienią 1938 roku nowy szef oddziału wyposażenia KPM gen. bryg. Emile P. Moses pojechał do Clearwater. Wizyta ta miała przełomowe znaczenie dla dalszych losów konstrukcji. Generał przekonał Roeblinga, żeby zaprojektował nowego alligatora, uwzględniając oczekiwania wojskowych. Co więcej, jako że marines nie mieli pieniędzy, konstruktor musiał wyłożyć większość z 18 tys. dolarów, które miał kosztować nowy pojazd. Trzeci prototyp alligatora był gotowy w maju 1940 roku.

W tym czasie wybuchła wojna w Europie. Równocześnie pogarszała się sytuacja polityczno-wojskowa w Azji. W tej sytuacji Kongres USA zwiększał fundusze na obronę. Marynarka wojenna była zdecydowana wydać 20 tys. dolarów na zbudowanie czwartego prototypu, który miał przejść testy wojskowe. Prace nad nim ukończono w październiku 1940 roku. Nowy pojazd był podobny do trzeciego alligatora, ale miał mocniejszy, 120-konny silnik. W trakcie testów w Quantico i na Karaibach pojawiły się pewne braki, ale ogólnie konstrukcję uznano za sukces.

Alligator został przekonstruowany. Aluminiowy kadłub zastąpiono nowym ze spawanych blach stalowych. Wprowadzono też zalecenia zespołu testującego konstrukcję Roeblinga.

CORAZ WIEKSZA RODZINA

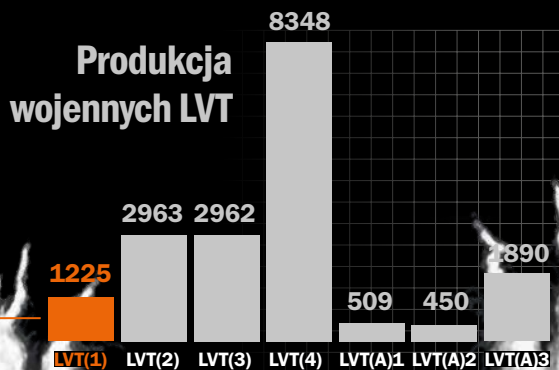
Marynarka wojenna zamówiła na początek 100 pojazdów, którym nadano nazwę Landing Vehicle, Tracked (1) Alligator LVT(1), czyli pojazd desantowy, łańcuchowy. Nazywano go też „amtrac”. Pierwszy egzemplarz, wyprodukowany przez Food Machinery Corporation (FMC), zjechał z linii montażowej w lipcu 1941 roku. Jego mankamentem był słaby, sześciocylin-drowy silnik Hercules WXL3-3. Negatywnie odbijało się to na prędkości amfibii, tak na lądzie, jak i w wodzie. Pojazd mógł przewozić około 2 t ładunku lub 20 żołnierzy.

Korzystając z doświadczeń z użycia bojowego amtraców, podjęto prace nad ich ulepszoną wersją. Produkcję LVT(2) Water Buffalo uruchomiono na początku 1943 roku. W amfibii tej zamontowano mocniejszy silnik – siedmiocylin-drowy Continental W-670-9A. Kolejną wersją był pojazd LVT(4), którego produkcja ruszyła w grudniu 1943 roku. W porównaniu z LVT(2) zmieniono lokalizację silnika, który przeniesiono z tyłu pojazdu na przód. Dzięki temu amfibia miała tylną rampę, umożliwiającą transport lekkich pojazdów. Obie wersje zabierały 24 żołnierzy.

Nowe rozwiązania miała amfibia LVT(3) Bushmaster, opracowana przez firmę Borg Warner Corporation. Zamontowano w niej dwa ośmiocylin-drowe silniki Cadillac serii 42, w ponsorach po bokach pojazdu. Miała też tylną rampę i zabierała 30 żołnierzy.

Powstały też wersje amfibii łańcuchowych z opancerzeniem i ciężkim uzbrojeniem, nazwane „amtank”. Koncepcja stworzenia pojazdu wsparcia z armatą 37-milimetrową pojawiła się w liście komendanta KPM z 27 czerwca 1941 roku do szefa operacji morskich. Pierwszy LVT(A)1 był gotowy rok później. Wóz stworzono, montując na podwoziu LVT(2) wieżę z lekkiego czołgu M3 z armatą M6 kalibru 37 mm.





- masa – około 11 t (z ładunkiem do 13 t)
- długość – 7,97 m
- wysokość – 3,25 m
- szerokość – 2,5 m
- zasięg – 160 km

Bataliony amfibii

Z amerykańskich amfibii tworzone bataliony. W piechocie morskiej w latach 1941–1945 było jedenaście batalionów wyposażonych w pojazdy transportowe (amtrac) i trzy w opancerzone (amtank). 1st Armoured Amphibian Battalion powstał 20 sierpnia 1943 roku. W październiku 1943 roku w US Army rozpoczęła się reorganizacja w jednostki amfibii dziewięciu batalionów czołgów. Początkowo cztery z nich wyposażono w amtanki, ale potem dwa z nich przebrojono w wozy typu amtrac. Jednostki amtanków nazwano Amphibian

Tank Battalion. W późniejszym okresie w armii sformowano jeszcze 14 batalionów amfibii, głównie poprzez rekonwersję jednostek piechoty zmechanizowanej i niszczycieli czołgów. Tylko jeden z nich był wyposażony w amtanki. W 1944 roku Amphibian Tractor Battalion miał kompanię dowodzenia i dwie kompanie liniowe, każda liczyła 51 wozów LVT. W 1945 roku po reorganizacji jednostka ta miała trzy kompanie, każda po 30 pojazdów LVT(3) lub LVT(4). Do tego dochodziły amfibie w kompanii dowodzenia. Dlatego zwykle batalion miał

ich co najmniej sto. Amerykanie byli też elastyczni. W razie potrzeby potrafili wzmocnić jedną kompanię, przydzielając jej nawet 20 dodatkowych LVT z innej. Bataliony amfibii pancernych miały natomiast po cztery kompanie liniowe, które liczyły początkowo po 17 sztuk LVT(A). W styczniu 1944 roku kompanii dodano jeden LVT(A) i dwa LVT. Według etatu w batalionowej kompanii dowodzenia były jeszcze trzy wozy LVT(A) i cztery LVT. Rzeczywista liczba pojazdów w batalionach bywała inna.

Produkcja LVT(A)1 rozpoczęła się latem 1943 roku. W 1944 roku pojawiła się wersja LVT(A)4 z wieżą z lekkiej samobieżnej haubicy M8, z działem M3 kalibru 75 mm. W 1943 roku powstała amfibie LVT(A)2, pojazd szturmowy zabierający 18 żołnierzy.

UŻYTE W BOJU

Gąsienicowe amfibie były wykorzystane w pierwszej amerykańskiej operacji desantowej na Pacyfiku, lądowaniu na wyspie Guadalcanal 7 sierpnia 1942 roku, do zadań logistycznych. Jako desantowe pojazdy szturmowe zadebiutowały w listopadzie 1943 roku w trakcie ataku na atol Tarawa, podczas którego użyto 75 sztuk LVT(1) i 50 wozów LVT(2). Przed końcem pierwszego dnia walk ze 125 pojazdów tylko

35 nadawało się do użycia. Jednym z powodów było to, że wiele z nich utknęło na rafach. Wnioski wyciągnięte z tej operacji, w której Amerykanie ponieśli duże straty, spowodowały rozpoczęcie prac nad ciężkozbrojnymi odmianami amfibii.

W czerwcu 1944 roku w czasie bitwy o Saipan do służby wszedł wariant LVT(4). Najwięcej jednostek amfibii wzięło udział w lądowaniu na filipińskiej wyspie Leyte, w październiku 1944 roku, ale Japończycy nie stawili tam oporu na plażach. Amerykanie dysponowali dziewięcioma batalionami amfibii szturmowych i dwoma batalionami z pojazdami z ciężkim uzbrojeniem. Ponad tysiąc amfibii wykorzystano w walkach o japońską wyspę Okinawa, które rozpoczęły się w kwietniu 1945 roku. Tam pierwszy raz użyto amfibii LVT(3). ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Z niechęci do biegania

Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku pułkownik emerytowany Kazimierz K. rozpoczynał naukę w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej (WSOWOP), armia szczyliła się jedną z najwyższych w kraju liczbą członków kół młodzieży wojskowej (KMW). Takie organizacje zakładano również w szkołach oficerskich. Już w pierwszych tygodniach nauki podchorążowie w WSOWOP spotkali się z zastępcą dowódcy batalionu do spraw politycznych, który zaproponował im utworzenie takiego koła. Nie za bardzo jednak się do tego garnęli. Poznali już stare żołnierskie powiedzenie, że w służbie nie należy być ani pierwszym, ani ostatnim; nie warto też zgłaszać się na ochotnika. Do KMW wstąpiło zatem zaledwie kilku podchorążych. Tak było do pewnego dżdżystego listopadowego dnia. Na zbiórce ogłoszono, że członkowie KMW są zwolnieni z zaprawy, bo mają w tym czasie zebranie.

Nazajutrz pół kompanii zapisało się do organizacji. Kazimierz K. również. Szybko jednak zrezygnowano z organizowania zebrań podczas zaprawy. Kazik nie przypuszczał wówczas, że jego decyzja o wstąpieniu do organizacji młodzieżowej będzie miała dalsze konsekwencje. Po szkole nowo mianowany podporucznik rozpoczął służbę w ważnej jednostce raketowej w pobliżu Warszawy. Takie usytuowanie powodowało, że często odwiedzali ją przełożeni najwyższego szczebla. Jeden z nich zwrócił dowódcy uwagę, że w jednostce nie działa koło młodzieży wojskowej. Wódz wezwał ppor. Kazimierza K. Stwierdził bowiem, że skoro w szkole należał on do KMW, niech teraz utworzy koło w jednostce. Nie było to łatwe. Żołnierzy służby zasadniczej trudno było pobudzić do takiej aktywności. Niewielu chętnych skusił też zebraniem podczas zaprawy porannej. Większość żołnierzy bowiem i tak skutecznie unikała ranne go biegania, chowając się po salach i piwnicach. Część „ochotników” ppor. Kazimierz K. przekonał do KMW wizją częstych wycieczek do Warszawy. Była to jedyna okazja, by wyrwać się z koszar. Aby zdobyć jeszcze więcej chętnych, oficer złożył żołnierzom obietnicę, że kto wstąpi do KMW, będzie w pierwszej kolejności typowany do wyróżnienia odznaką Wzorowy Żołnierz. A to było coś! Oprócz krótkiego urlopu w nagrodę miała ona jeszcze inny walor. Kiedy żołnierza noszącego odznakę przyłapano na samowolnym oddaleniu, to nie karano go aresztem. Dla wzorowego żołnierza karą za samowolkę było odebranie odznaki. Zgłosiło się tak wielu chętnych, że podporucznik mógł zameldować dowódcy o wykonaniu zadania. Podporucznika okrzyknięto zaś utalentowanym aktywistą. ■

**DLA WZOROWEGO
ŻOŁNIERZA KARĄ
ZA SAMOWOLKĘ BYŁO
ODEBRANIE ODZNAKI, A NIE
ARESZT**



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.



|INICJATYWA|

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK, EWA KORSAK

DENALI ZNACZY WYSOKA

O tej wyprawie pchor. Marcin Helak, student Szkoły Orląt, marzył od dawna. Szczyt McKinley był kolejnym punktem na jego drodze do zdobycia Korony Ziemi. Tym razem się nie udało. Ekipa Denali Polish Expedition przegrała z pogodą.

ARCHIWUM MARCINA HELAKA

Przez rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej szczyt ten jest nazywany Denali, czyli „wysoka”. Ale McKinley jest też opisywany jako góra kapryśna, chimeryczna i nieprzewidywalna. Pogoda zmienia się tu z minuty na minutę i nigdy nie można mieć 100-procentowego zaufania do synoptyków, bo ich prognozy są niewiele warte. Bardzo niskie temperatury w połączeniu z silnymi wiatrami (nawet 160 km/h) sprawiają, że odczuwalna temperatura spada w lecie do -50°C . Ciśnienie na wierzchołku wynosi tyle samo, ile w górach o 1000 m wyższych, ale położonych w pobliżu równika. „Z racji tego, że McKinley znajduje się pod kołem podbiegunowym, panuje tam dzień polarny, więc 24 godziny na dobę jest jasno. To rozregulowuje zegar biologiczny, trudno jest zasnąć i zregenerować siły”, mówi szer. pchor. Marcin Helak z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Jest pierwszym wojskowym studentem, który postanowił zdobyć najwyższy szczyt na Alasce. Wyprawa do Stanów Zjednoczonych była częścią większego projektu. Pchor. Marcin Helak od kilku lat zdobywa Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty kontynentów, w ramach charytatywnego projektu „Góry Marzeń”, którego jest liderem.

W GÓRACH LICZY SIĘ GŁOWA

Jeszcze kilka lat temu nie myślał o zdobywaniu najwyższych szczytów. Po raz pierwszy zobaczył góry, gdy miał 17 lat. Wybrał się do Zakopanego i wszedł na Kasprowy. Wówczas złapał bakcyła. 18. urodziny spędził na Rysach. Potem chciał iść tylko wyżej. Wspiął się na Mont Blanc w Alpach, Kilimandżaro w Afryce, Elbrus na Kaukazie, Mauna Kea na Hawajach oraz Muztagh Ata w Chinach. Ta ostatnia wyprawa zakończyła się na wysokości 6300 m n.p.m. ze względu na wyjątkowo trudne warunki pogodowe.

„W końcu podjąłem próbę wejścia na Aconcagua, najwyższy szczyt Ameryki Południowej, ale brak doświadczenia, złe warunki atmosferyczne i nie do końca dobre przygotowanie psychiczne sprawiły, że wycofałem się 150 m od szczytu. Obiecałem najbliższemu, że wrócę cały i zdrowy”, przyznaje pchor. Helak. Ale góry Aconcagua nie

odpuścił. Potrzebował roku, by podjąć kolejną próbę. Tym razem udaną.

Zdobycie McKinleya, jednego z najtrudniejszych pod względem wspinania szczytów Korony Ziemi, wymagało przygotowań. „Nie chodzi o kondycję fizyczną, bo o tę, jako student Szkoły Orląt, dbam na co dzień. Lubię pływać, staruję w półmaratonach. Z resztą trzy dni po zakończeniu wyprawy wziąłem udział w półmaratonie Trent Waldron Glacier Half Marathon w Anchorage”, mówi Helak i dodaje: „Ale w górach nie liczą się mięśnie, lecz głowa. Tylko wola walki, determinacja i świadomość tego, po co się coś robi, pozwalają przetrwać najtrudniejsze chwile. W wypadku tej wyprawy bardzo skupiałem się na celu. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy dotąd nie byłem tak dobrze przygotowany psychicznie do wyprawy w góry”.

WSPINACZKA NA SZCZYT

W trasę ruszył w towarzystwie dwóch alpinistów z Warszawy. Z Okęcia polecieci do Anchorage na Alasce, następnie do Talkeetna – miejscowości, w której załatwia się wszystkie formalności z władzami Parku Narodowego Aconcagua. Potem musieli skorzystać z usług powietrznej taksówki. „To awionetki mogące przetransportować wspinaczy i sprzęt na lodowiec. Samoloty te lądują na śniegu, są wyposażone w specjalne płozy”, opowiada podchorąży. Tak ekipa dotarła na lodowiec Kahiltna. „To tam zaczyna się cała wspinaczka na szczyt”, mówi Helak. W plecaku miał specjalistyczny sprzęt wysokogórski, odzież puchową, obuwie oraz jedzenie i gaz. „Później nie ma już możliwości uzupełnienia zapasów, chyba że jedzenie podaruje ci wspinacz kończący swoją wyprawę”, przyznaje.

Wspinaczka pchor. Helaka i jego towarzyszy rozpoczęła się na wysokości 2200 m n.p.m. Każdy kolejny obóz znajdował się o 500–1000 m wyżej. „Ponieważ mieliśmy dużą ilość sprzętu, butli z gazem czy żywienia, musieliśmy wynosić depozyty wyżej i zakopywać je w śniegu. Potem wracaliśmy do poprzedniego obozowiska”, wspomina Helak. Dzięki temu jednocześnie aklimatyzowali się i ułatwiali sobie wspinaczkę.

Pierwsze trzy dni były idealne. Ekspedycja dotarła do obozu na wysokości około 3350 m n.p.m. i wniosła część wyposażenia do przełęczy Windy



W przyszłości pchor. Helak chciałby zorganizować wyprawę, w którą byłiby zaangażowani wyłącznie podchorążowie Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Corner. „Następnego dnia chcieliśmy rozbić obóz wyżej, w Basin Camp, i zebrać po drodze złożony wcześniej depozyt. Niestety pogoda uniemożliwiała jakąkolwiek aktywność górską. Widoczność była zerowa, a wiatr bardzo silny. Byliśmy uwięzieni w namiotach”, wspomina student.

Po czterech dniach pogoda niespodziewanie się poprawiła. Dzięki temu alpinści mogli założyć obóz na wysokości 4330 m n.p.m. i wynieść o 600 m wyżej depozyt przeznaczony na atak szczytowy. Poprawą warunków nie cieszyli się jednak zbyt długo. Następne dni były coraz gorsze i przynosiły kolejne załamania pogody. „W końcu zdecydowaliśmy się podjąć próbę zaatakowania szczytu. Mimo bardzo silnego wiatru wyszliśmy do obozu na wysokości 5250 m n.p.m., gdzie przeczekaliśmy noc”, mówi Helak. Nazajutrz opuścili obóz i ruszyli w stronę szczytu. „Zdawaliśmy sobie sprawę, że szanse na powodzenie ataku szczytowego są znikome, ale

nie mieliśmy nic do stracenia, bo czas naszej wyprawy dobiegał końca”, przyznaje Helak. Walka z pogodą nie była równa. Najwyższym punktem, do którego dotarli wspinacze, było Denali Pass – przełęcz, z której wchodzi się na grani szczytową (5650 m n.p.m.). „Sklamałbym, mówiąc, że decyzja o odwrocie była łatwa. Nie mogliśmy jednak podjąć innej. Wiedzieliśmy, że musimy szybko wracać, by bezpiecznie dojść do obozu na 4330 m”, z żalem przyznaje podchorąży.

SZTUKA REZYGNOWANIA

Najtrudniejsze momenty trasy to według pchor. Marcina Helaka podejście na przełęcz Top of Headwall na wysokości 4950 m. Niezwykle strome miejsce, do którego można się dostać, pokonując śnieżny most nad szczeliną. Nachylenie sięga tu 50 stopni. „Spore trudności występowały też między przełęczą Windy Corner a Basin Camp, ze względu na ogromne nagromadzenie szczelin i bardzo silny wiatr, utrudniający wspinaczkę”, wyjaśnia Helak. To teren wyjątkowo nierówny, więc sanie ciągnięte przez wspinaczy przewracają się co chwilę. W tym roku do szczelin wpadły już trzy wyprawy, a w zeszłym roku kilka osób straciło życie spadając w kilkudziesięciometrową przepaść. „Po naszym powrocie dowiedzieliśmy się, że w High Camp leży ciało Hiszpana, który zginął na początku tego sezonu. Niestety warunki pogodowe uniemożliwiały bezpieczne przetransportowanie zwłok w dół”, mówi Helak.

Student z Dęblina przyznaje, że choć wyprawa była trudna, nigdy nie żałował podjętej decyzji o wyjeździe. Bał →

MASYW MCKINLEY JEST POŁOŻONY W GÓRACH ALASKA NA TERENIE PARKU NARODOWEGO DENALI W CENTRALNEJ ALASCIE. POKRYWAJĄ GO WIECZNE ŚNIEGI I LODOWCE



ARCHIWUM MARCINA HELAKA

Marcin Helak przyznaje: „Od gór ważniejsze jest bezpieczeństwo. Obiecałem rodzinie, że nigdy nie podejmę ryzyka, które mogłoby kosztować mnie życie”.

się jedynie zmieniającej się nagle pogody. „Nie ukrywam, że bywały momenty niebezpieczne. Na przykład podczas podejścia do przełęczy Denali Pass w trakcie ataku szczytowego zapadł się pode mną most śnieżny nad szczeliną. Na szczęście nie była ona na tyle szeroka, bym wpadł cały”, wspomina Helak. Ekipa zmagająca się też z bardzo silnym wiatrem i opadami śniegu. „W jednym z obozowisk zastał nas sztorm! Na szczęście zwykle zawodne prognozy pogody tym razem się sprawdziły i zawczasu zbudowaliśmy śnieżne mury wokół namiotów”, wspomina. W ostatnim obozie, tzw. szczytowym, wspinacze mieli olbrzymi problem z rozbiciem namiotów. „Porywisty wiatr ogromnie utrudniał nam wykonywanie jakichkolwiek czynności. Z tego powodu utraciliśmy jeden ze stelaży do namiotów. Były wyjątkowo niskie temperatury, a my powoli traciliśmy czucie w palcach”, mówi Helak.

Wtedy, wspólnie z kompanami, zdecydowali o przerwaniu wyprawy. Jak przyznaje, to kwestia priorytetów. „Od gór ważniejsze jest bezpieczeństwo. Obiecałem rodzinie, że nigdy nie podejmę ryzyka, które mogłoby kosztować mnie życie”, przyznaje. „Jestem zbyt młody i jeszcze wiele przede mną, by stawiać wszystko na jedną kartę”. Decyzję podjął także ze względu na swo-

ją drugą pasję, czyli lotnictwo. „Nie mam zamiaru wybierać, bo oba marzenia są dla mnie bardzo ważne i możliwe do zrealizowania”, mówi Helak. Często też powtarza: „Góra stoi i stać będzie. A ja chcę zostać podporucznikiem sił powietrznych”.

GÓRA MARZEŃ

Wyprawa na Denali miała też wymiar charytatywny. Alpinisci, zdobywając kolejne metry szczytu, poparli projekt pchor. Helaka „Góry Marzeń”. „Przez ostatnie lata miałem ogromne szczęście do otaczania się życzliwymi ludźmi. Uznałem, że trzeba dać coś od siebie. Gdy trafiłem na Fundację »Mam Marzenie«, uznałem, że to właśnie ta organizacja, której muszę pomóc”. Dzięki jego wsparciu spełniło się już pięć marzeń podopiecznych fundacji, czyli dzieci cierpiących na choroby zagrażające ich życiu. „Zorganizowałem koncerty, z których dochód – prawie 8 tys. zł – został przeznaczony na spełnianie marzeń”. „Góry Marzeń” to projekt, którego założenia są takie: zbierzemy tyle pieniędzy, ile metrów ma Mount Everest. „Pomóc może każdy, wystarczy wejść na stronę internetową »Gór Marzeń«”, mówi podchorąży. „Do wierzchołka wprawdzie zostało całkiem niewiele, ale możemy przecież zaważać o stratosferę”.



Lista UNESCO

Turecka cytadela dziedzictwem ludzkości

Wśród 24 nowych miejsc wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO znalazły się **cytadela i ogrody Hevsel w Diyarbakir w Turcji** w rejonie kurdyjskim. To ufortyfikowane miasto

nad rzeką Tygrys jest zamieszkane od 5 tys. lat. Położonego na skarpie Diyarbakir strzegą wewnętrzna cytadela i mury miejskie o długości prawie 6 km, wzmocnione licznymi wieżami, brama-

mi i przyporami oraz opatrzone inskrypcjami z różnych okresów. Na liście UNESCO znalazły się także ogrody Hevsel, będące zielonym łącznikiem między miastem i rzeką. Jak podaje Polski Komitet do spraw UNESCO, tegoroczna sesja Komitetu Światowego Dziedzictwa odbyła się w Bonn na przełomie czerwca i lipca. W tym gremium od 2014 roku zasiada też Polska. AD ■

Uzbrojona piwnica

Niemiecki emeryt miał w domu prawdziwy arsenał.

Policja odkryła w domu 78-latka w Heikendorfie niedaleko Kilonii na północy Niemiec sprzęt wojskowy z czasów II wojny. Emeryt trzymał w podziemiach swojego domu m.in.

czołg Pantera, torpedę i działo przeciwlotnicze. Wyciągnięcie tej kolekcji z piwnic zajęło 20 żołnierzom ponad dziewięć godzin. Jak podaje portal BBC, starsi mieszkańcy miasteczka pamiętają mężczyznę, który w czasie śnieżyc w 1978 roku jeździł po okolicy czołgiem. Teraz prokuratura prowadzi śledztwo, czy nie naruszył on przepisów o posiadaniu broni. Zdaniem prawników kolekcjonera, broń wyszła już z użycia, więc nie podlega restrykcjom prawnym. AD ■

Zaginiony na morzu

Odnaleziono niemiecki frachtowiec „Rio de Janeiro”.

Miłośnicy historii znaleźli na dnie Mieciny Skagerrak między Danią a Norwegią niemiecki frachtowiec „Rio de Janeiro”. Jak podaje TVP Info, spoczywa on na głębokości około 140 m w okolicach norweskiego Lillesand. Norwegowie, w tym tamtejsza marynarka wojenna, od kilku lat szukali tego wraku. Przed II wojną „Rio de Janeiro” kursował na trasie Hamburg–Ameryka Południowa. Potem został zarekwirowany przez Wehrmacht i przystosowany do transportowania wojska. 6 kwietnia 1940 roku na jego pokładzie wyruszyło ze Szczecina 300 niemieckich żołnierzy do inwazji na Norwegię. Dwa dni później statek został storpedowany i zatopiony przez polski okręt podwodny ORP „Orzeł”. Był to największy sukces bojowy naszej jednostki. Wkrótce zatonała ona w nieznanym miejscu, a jej poszukiwania trwają do tej pory. AD ■



Łowienie w sieci

DARPA pracuje nad programem analizującym zdjęcia w internecie.

System specjalizujący się w przeczesywaniu i analizie tysięcy zdjęć w sieci oraz dostarczaniu dzięki nim cennych informacji wojskowym analitykom opracowuje Amerykańska Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Dziedzinie Obronności (DARPA). Jak tłumaczy Agencja na swojej stronie, projekt na-

zwany „Visual Media Reasoning” pozwoli odnaleźć w sieci konkretny rodzaj broni, odpowiedzieć na pytanie, czy osoba na zdjęciu jest na liście terrorystów albo gdzie jest zlokalizowany pokazany na fotografii budynek. Dzięki VMR żołnierze będą mogli szybko reagować na działania przeciwnika, także podczas wojny hybrydowej. AD ■





Dbajmy o pamięć

Akcja „Nie Zapomnij o Nas, Powstańcach Warszawskich”, ruszyła 22 lipca.

Jej celem jest między innymi zebranie pieniędzy na renowację powstańczych i żołnierskich grobów. A potrzeb z roku na rok jest coraz więcej. Wielu spośród 18 tys. poległych powstańców złożono w zbiorowych mogiłach, często bezimiennie. Część spoczywa w grobach, które po ponad 70 latach pilnie wymagają odnowienia.

Akcja jest organizowana przez Komitet do spraw Budowy i Renowacji Miejsca Pamięci oraz Mogił Powstańców 1944 roku. Twarzą kampanii promocyjnej zo-

stała pani Wanda Traczyk-Stawska, członkini Komitetu, uczestniczka powstania. Zbiórka pieniędzy jest organizowana już po raz kolejny – pierwszą przeprowadzono w 2004 roku. Od tamtej pory udało się już wyremontować ponad 70 grobów. Akcję od początku wspiera Muzeum Powstania Warszawskiego. W tym roku w zaplanowanych przez MPW konkursach towarzyszących wydarzeniu będzie można wygrać m.in. spotkanie z powstańcem lub zwiedzanie Muzeum z przewodnikiem. ■

Fotografie bohaterów

Ranni weterani pozuja do niezwyklej sesji zdjęciowej.

A amerykański fotograf **Michael Stokes** wykonał wyjątkową sesję zdjęciową. Do swojego projektu „Always Loyal” zaprosił weteranów wojennych, którzy ucierpieli podczas misji zagranicznych – stracili ręce lub nogi. Do fotografii pozuja nago, z protezami i bez nich.

Pierwszym weteranem, któremu Stokes robił zdjęcia, był Alex Minsky. 26-letniemu żołnierzowi amputowano nogę po tym, gdy został ranny w wybuchu miny w Afganistanie w 2009

roku. Zrobione przez Stokesa odważne fotografie stały się bardzo popularne. Jak podaje portal BuzzFeed, po ich publikacji do artysty zaczęli się zgłaszać kolejni weterani zainteresowani podobną sesją.

Stokes podkreśla, że zdjęcia, które zrobił, pokazują pewność siebie, niezłomność i dumę rannych mężczyzn i kobiet. „Przez moją sesję fotograficzną nie wracałem im pewności siebie, oni już ją w sobie mieli”, mówił artysta. A D ■

Lotnicze pamiątki

Muzeum w Dęblinie powiększyło swoje zbiory.



Dokumenty, rzeczy osobiste, a nawet listy miłosne – w sumie ponad 200 pamiątek po polskim asie lotnictwa **kpt. Eugeniuszu Horbaczewskim**, pilocie Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie, otrzymało Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie. Ofiarodawcami byli dyrekcja i młodzież IV Liceum Ogólnokształcącego z Zielonej Góry, noszącego imię bohatera. Jak informuje muzeum, szkoła pozyskała pamiątki od rodziny Horbaczewskiego dzięki staraniom innego asa lotnictwa, nieżyjącego już gen. bryg. pil. Stanisława Skalskiego, i postanowiła przekazać je dęblińskiej placówce. A D ■

Silne wsparcie

Wyszkolenie strzelców jest długotrwałe i kosztowne. W laboratoriach amerykańskiej armii opracowano więc egzoszkielec, który po założeniu na ramię pomaga w szybszym nauczaniu strzelania. Jak podano na stronie US Army, MaxFas, bo tak nazwano urządzenie, wykonany z włókna węglowego, redukuje niechciane drgania ręki i dłoni. Według testów osoby trenujące z użyciem egzoszkielec, po jego zdjęciu radzą sobie ze strzelaniem lepiej niż osoby szkolące się w tradycyjny sposób. A D ■



PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ



DANUTA KUPS (43)



OSIEMNASTKA SELEKCJI

Ciesząca się powodzeniem ekstremalna gra terenowa, prowadzona w formule wszechstronnego sprawdzianu przydatności jej uczestników do służby w renomowanych jednostkach wojskowych, osiągnęła pełnoletność.

Gra wystartowała przed wielu laty jako Selekcja „Żołnierza Polskiego”, pisma przeznaczonego zarówno dla żołnierzy, jak i kandydatów do służby wojskowej. Wiele jej uczestników pełni dziś służbę w najbardziej elitarnych formacjach wojskowych, m.in. specjalnych, aeromobilnych, a także w strukturach resortu spraw wewnętrznych, głównie w Straży Granicznej. Dlatego w krótkiej uroczystości urodzinowej, poprzedzającej rozpoczęcie kolejnej Selekcji, wzięli udział również mundurowi uczestnicy poprzednich edycji.

Do tegorocznej stawilo się ponad 200 ochotników. Po pre-selekcji, sprawdzianie wydolnościowym rozegranym na terenie warszawskiej Wojskowej Akademii Technicznej, jedynie 83 z nich otrzymało zadanie stawienia się rankiem następnego dnia na stacji kolejowej Żółtowo, na obrzeżach poligonu drawskiego. W tym gronie znalazła się dość liczna, jak na charakter imprezy, bo sześciuosobowa reprezentacja kobiet.

W ciągu kolejnych pięciu dni uczestnicy Selekcji pokonywali wielokilometrowe marsze, zdawali surowy egzamin, łącząc wysiłek fizyczny z rozwiązywaniem zadań na spostrzegawczość, kolejnymi testami psychologicznymi. Zimno

i padający deszcz w połączeniu z zadaniami w wodzie, której temperatura nie przekraczała 17°C, wymagały nieustannej walki o utrzymanie termiki ciała.

Dla tych, którzy wytrwali, niezapomnianą atrakcją było włączenie do działań śmigłowca Mi-8 z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej oraz rosomaka z 12 Brygady Zmechanizowanej. Obowiązującym wątkiem poetyckim w 20015 roku był zaś wiersz Juliana Tuwima „Zacisnąć pięści, zaciąć zęby...”, który należało recytować z pamięci w każdej sytuacji i o każdej porze. Z tym przesłaniem dotrwało do końca 11 uczestników XVIII Selekcji.

Mjr rez. Arkadiusz Kups, szef i organizator imprezy, podkreśla z satysfakcją, że w tym roku ponad 90% przystępujących do gry ochotników deklarowało zainteresowanie służbą wojskową: „A spośród tych, którzy ukończyli Selekcję, dziesiątka poważnie myśli o założeniu munduru, 11. już go nosi. Gra jest po latach dopracowanym, wszechstronnym systemem oceny predyspozycji uczestników do służby wojskowej. Taka jest również opinia współpracujących z nami jednostek. Brakuje jednak systemu. Ludzie kończą Selekcję, chcą iść do wojska, ale zbyt często giną gdzieś w wojskowej biurokracji”. PB ■

kadr





|ORKIESTRY|

ANNA DĄBROWSKA

W RYTMIE MARSZA

W stolicy zagrało prawie pół tysiąca muzyków
w mundurach z całej Polski.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Muzycy w mundurach
zagrali popularne
przeboje i klasyczne
standardy w innych
aranżacjach.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

ORGANIZATORZY FESTIWALU CHCĄ, ABY IMPREZA STAŁA SIĘ WYDARZENIEM CYKLICZNYM W STOLICY, POWIĘKSZAJĄC GRONO MIŁOŚNIKÓW WOJSKOWEJ MUZYKI

Jazz, blues, filmowe przeboje, marsze, utwory klasyczne, szanty i znane szlagiery w wykonaniu wojskowych muzyków zabrzmiały w ostatni czerwcowy weekend w Warszawie. Tegoroczne wakacje w stolicy rozpoczęł Festiwal Orkiestr Wojskowych 2015, w którym wystąpiło siedem zespołów z całej Polski.

Przez trzy dni na placach i ulicach miasta mieszkańcy i turyści mogli obejrzeć występy muzyków z Warszawy i Bytomia. Oklaskiwali też orkiestry reprezentacyjne – sił powietrznych z Poznania oraz marynar-ki wojennej z Gdyni, a także artystów Zespołu Wokalnego Klubu MW „Riwiera”.

Zwieńczeniem festiwalu był niedzielny koncert galowy na Torwarze. Poprowadził go Andrzej Nejman, aktor i dyrektor Teatru Kwadrat. Na jednej scenie zebrało się prawie pół tysiąca mundurowych artystów. Wystąpiły wszystkie zespoły, które wcześniej grały dla warszawiaków, a także Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego.

Widzowie podziwiali balet Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego WP i występ najlepszych perkusistów w armii. Oprócz wojskowych zagrała grupa Pipes & Drums z Częstochowy, jedyna orkiestra w Polsce wykonująca tradycyjną muzykę szkocką na wielkich dudach.

Niezwykłe barwny był też występ muzyków Ochotniczej Straży Pożarnej z Nadarzyna, jednego z najlepszych tego typu zespołów w Polsce. Jej założycielem i dyrygentem jest Mirosław Chilmanowicz, były tamburmajor Orkiestry Reprezentacyjnej WP. W wielkim finale wykonawcy wystąpili wspólnie z artystami operowymi Damianem Aleksandrem i Joanną Horodko. Festiwal zakończyła defilada przy dźwiękach „Warszawianki”.

Impreza odbywa się już po raz drugi. Intencją jej organizatorów – Dowództwa Garnizonu Warszawa i Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy – jest to, aby na trwałe wpisała się w krajobraz kulturalny stolicy. Patronat honorowy nad festiwalem objął minister Tomasz Siemoniak, a patronem medialnym była „Polska Zbrojna”.

PIOTR BERNABIAK (5)

kadr

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

WARSZAWIACY PODZIWIALI KUNST WOJ- SKOWYCH ORKIESTR PODCZAS POKA- ZÓW MUSZTRY PARADNEJ NA PLACU ZAMKOWYM



Cztery minuty miał płk Jerzy Peszko na rozmowę, gdy z Iraku dzwonił do żony. „Cztery minuty” – tak nazwała swoją pracę dyplomową i wystawę fotograficzną poświęconą weteranom misji zagranicznych Kamila Dobrowolska, młoda absolwentka Szkoły Kreatywnej Fotografii w Krakowie.

ZAJRZAŁA IM W DUSZE

Kilka miesięcy temu Kamila Dobrowolska została wolontariuszką Centrum Pomocy Społeczno-Psychologicznej „Mundurowi24.pl”, które działa przy Małopolskim Zarządzie Wojewódzkim Związku Żołnierzy Wojska Polskiego w Krakowie, a opiekuje się zarówno żołnierzami uczestniczącymi w misjach, jak i ich rodzinami. „Kamila z aparatem w rękę dokumentuje naszą działalność, dlatego postanowiliśmy pomóc jej w zorganizowaniu wystawy”, mówi Agnieszka Pers, koordynująca pracę Centrum. Agnieszka przyznaje, że nie była zdziwiona, gdy się okazało, że na temat swojej pracy dyplomowej Kamila wybrała weteranów. Zaskoczeniem był jednak rezultat jej pracy. „Spodziewałam się klasycznych portretów, tymczasem ona spojrzała na żołnierzy inaczej. Zobaczyłam pełne symboliki zdjęcia, w których widać emocje i wielką siłę”.

Kamila zobaczyła nie tylko twarze weteranów. Zajrzała im w dusze, dostrzegła to, co ważne i dopiero wtedy naciskała migawkę. Czarno-białe fotografie o wymiarach 6x6, zrobione aparatem analogowym, zawisły na ścianach Cafe Kładka w Krakowie.

„Ciągnęło mnie do reportażu. Odkryłam, że dokument jest wymowny i warto spotkać się z ludźmi, o których robi się reportaż”, przyznaje autorka zdjęć. Dlatego kilka miesięcy temu zwróciła się do Centrum Weterana Działań poza Granicami Kraju w Warszawie z prośbą o pomoc w wytypowaniu tych, którym mogłaby zrobić portrety. Andrzej Korus, kierownik zespołu edukacyjno-promocyjnego Centrum, przygotował listę kilkunastu żołnierzy, którzy brali udział w operacji w Iraku i Afganistanie oraz we wcześniejszych misjach oenztetowskich.

Nazwiska niewiele Kamili mówiły. Zaczęła od rozmowy telefonicznej, opowiadała o projekcie. Niektórzy zgadzali się na spotkanie od razu, inni się wahali. „Dotarcie do ludzi, którzy pochodzą z nieco innego świata, wymagało determinacji i odwagi, ale Kamila chciała się zetknąć z ich rzeczywistością. To było spore wyzwanie”, uważa dr Piotr Korzeniowski, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i promotor pracy dyplomowej dziewczyny. Czy podpowiadał, jakie ujęcia ma zrobić? „Radziłem, aby podjęła dialog, wysłuchała opowieści, żeby zdjęcie było wynikiem spotkania. Chodziło o to, aby nie były to suche portrety”, zdradza promotor. Każdy z portretów jest zestawiony z obrazem, który autorka uznawała za charakterystyczny dla rozmówcy.

PRAWDZIWE HISTORIE

Kamila spędziła wiele godzin w pociągach, odwiedzając misjonarzy. „Dzielili się ze mną swoimi przeżyciami, które starałam się potem oddać na zdjęciach”, wspomina.

„Opowiem ci o najgorszym dniu w moim życiu”, usłyszała od sierż. rez. Szymona Mutwickiego, który jako żołnierz 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej dwu-



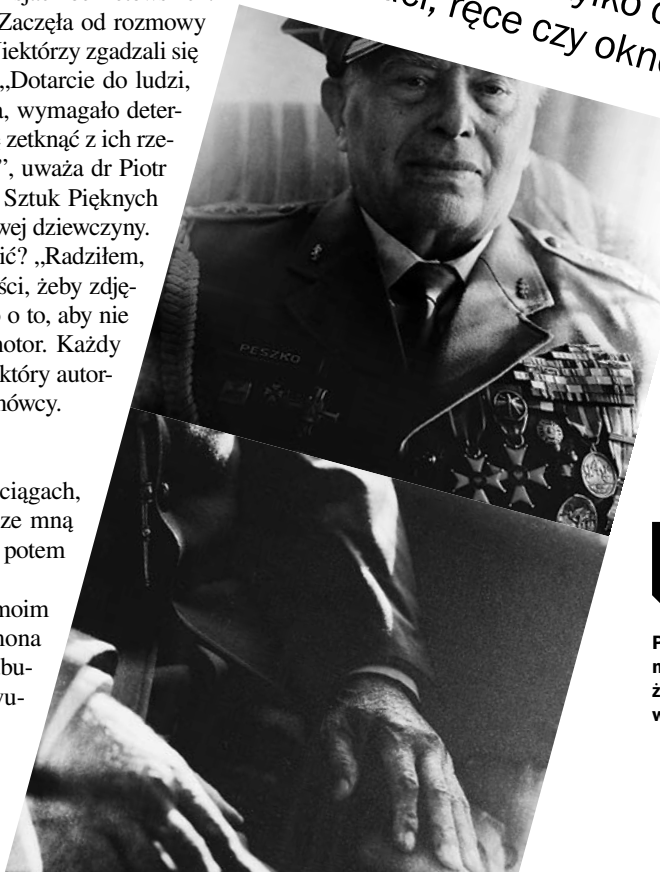
Barbara Cierpica:
„Ręce męża na moich ramionach to płaszcz ochronny, trzyma mnie ciepłem swoich dłoni”.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Cztery minuty

Na niektórych zdjęciach poświęconych weteranom nie widać twarzy, tylko cienie postaci, ręce czy okno.



Płk Jerzy Peszko,
najstarszy
żołnierz, który
wyjechał na misję.

WYSTAWĘ BĘDZIE MOŻNA WKRÓTCE OBEJRZEĆ W WARSZAWIE, BO PREZENTACJĄ TEJ EKSPOZYCJI JEST ZAINTERESOWANE CENTRUM WETERANA

krotnie służył poza granicami kraju: w 2004 roku w Iraku, trzy lata później w Afganistanie. Te słowa stały się mottem do podwójnego portretu: zbliżenia twarzy i oddalającej się sylwetki.

„Szlismy obok siebie, rozmawiając. Nie zauważyłem, że Kamila została z tyłu. Szedłem dalej i opowiadałem swoją historię”, wspomina Szymon. Mówił o tym, dlaczego pojechał na misję, jak to się stało, że został weteranem poszkodowanym, o śmierci kolegów.

Dlaczego na zdjęciu jest odwrócony plecami? „To otwarty człowiek, ale odniosłam wrażenie, że chodzi swoimi ścieżkami, że w głębi duszy jest smutny. Chciałam go trochę ukryć. Gdy mówił o tym, co przeżył, wiedziałam, że w tym momencie muszę zrobić zdjęcie”, opowiada Kamila.

Szymon do dziś się zastanawia, dlaczego przyjechała właśnie do niego. Gdy ją o to zapytał, usłyszał, że „szuka prawdziwych historii weteranów”.

Por. Karol Cierpica z 6 Brygady Powietrznodesantowej, bohater kolejnej fotografii, zawdzięcza swoje życie amerykańskiemu sierżantowi. Pod koniec sierpnia 2013 roku rebelianci wysadzili fragment ogrodzenia i ostrzelali bazę w Ghazni, w Afganistanie. Gdy ranny upadał na ziemię, dostrzegł kolejnego taliba, detonującego ładunki wybuchowe. Wówczas 24-letni sierż. szt. Michael Ollis osłonił go własnym ciałem. Amerykanin zginął. Karol Cierpica postanowił oddać mu hołd i nowo narodzonego syna nazwał Michael.

„To tylko moja praca, o wiele większą misję przeżyła moja żona”, powiedział Kamili por. Cierpica (i te słowa są podpisem do zdjęć). Podczas spotkania opowiadał głównie o tym, że za każdym razem, gdy wyjeżdżał na misję, najbardziej przeżywali ten czas jego bliscy – żona Barbara i 14-letni dziś Kuba. „Basia »była« na trzech misjach w Afganistanie, choć została w Polsce i wychowywała Kubę”, mówi z przekonaniem. Dlatego na zdjęciach nie widać ani twarzy porucznika, ani pięciomiesięcznego Michaela, tylko ręce. Na jednej fotografii młodsze dziecko oplatają ręce ojca, starszego brata, Kuby, oraz matki. Na drugiej – ręce porucznika leżą na ramionach żony.

„Ręce męża na moich ramionach to płaszcz ochronny, trzyma mnie ciepłem swoich dłoni. Cieszę się, że jestem na zdjęciu uśmiechnięta, bo długo marzyłam o tym, żeby trzymał mnie za rękę i żebyśmy byli już razem”, mówi Barbara. Przypomniła sobie te wszystkie chwile, gdy mąż był daleko, gdy syn płakał i pytał, kiedy wróci tata.

„Ręce były symbolem, a także podporą. Chciałam pokazać, że wszyscy członkowie rodziny uczestniczyli w pewien sposób w tej misji”, tłumaczy Kamila. Jej promotor powie o tym zdjęciu: „To mocny obraz, bardzo szczególny”.

Płk. Jerzego Peszkę, najstarszego żołnierza, który wyjechał na misję, Kamila sfotografowała w wojskowym mundurze, z przypiętymi do piersi medalami. W 2005 roku, gdy Jerzy Peszko skończył 75 lat, pojechał do Iraku i służył na III zmianie PKW. Leczył szeregowych i generałów, pomagał także Irakijczykom. „Człowiek przychodził tam do mnie po pomoc, nie mnie zabić”, powiedział Kamili i tymi słowami podpisała jego fotografię.

Pułkownik opowiadał, jak dzwonił z Iraku do żony. Rozmowa mogła trwać zaledwie cztery minuty: przez dwie jego żona mówiła, jak bardzo się o niego martwi, przez kolejne dwie Jerzy Peszko zapewniał ją, że jest bezpieczny, milczeniem pomijał codzienne strzelaniny.

Bohaterowie kolejnego zdjęcia, Agnieszka i Grzegorz, poznali się na misji, pobrali po powrocie do kraju. Nieufnie podszli do pomysłu Kamili. „Dopytywali, dlaczego oni, co chcą pokazać. Z nimi najdłużej rozmawiałam. Gdy już otworzyli mi do siebie drzwi, zaala mnie olbrzymia fala emocji. Zrozumiałam, że wyjazdy na misję nie polegają tylko na pomaganiu ludziom tam, lecz także pozwalają spojrzeć inaczej na naszą rzeczywistość po powrocie do kraju”, opowiada Kamila. Na zdjęciu nie widać twarzy Agnieszki i Grzegorza. Oboje są cieniami. Na drugiej fotografii jest okno: przesiadywała przy nim córka, która nie mogła się doczekać powrotu rodziców z misji.

„Nieprzypadkowy jest też cytat towarzyszący zdjęciom. Pod koniec rozmowy Agnieszka powiedziała, że jeśli dzieci, którym tam pomagali, choć przez dzień mogły nie słyszeć wystrzałów i wybuchów, warto było tam pojechać. Zapewnili mnie, że niczego, co tam zrobili, nie będą żałować. Dzięki rozmowie z nimi zrozumiałam, że na misji się pomaga”, opowiada Kamila.

ŁĄCZNIK WETERANÓW

Młoda artystka planuje kolejne zdjęcia związane tematycznie z weteranami misji, bo „musimy pamiętać, że dzięki takim ludziom możemy cieszyć się wolnością”. Ma też nadzieję, że stanie się łącznikiem między historiami, które usłyszała od weteranów, a ludźmi niewiele wiedzącymi o misjach. „Macie okazję zostać ambasadorami weteranów”, zwróciła się do publiczności na wernisażu. ■

Obchody rocznicy bitwy pod
Zadwórzem, sierpień 1926 rok



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JAKUB NAWROCKI

Lwowscy spartanie

Już w dwudziestoleciu międzywojennym bitwę
o Zadwórze nazwano polskimi Termopilami.

Sytuacja podczas wojny polsko-bolszewickiej latem 1920 roku była dla nas katastrofalna. Na całej długości linii frontu żołnierze cofali się pod naporem czerwonoarmistów. Na odcinku południowym potężna armia Siemiona Budionnego parła w stronę Lwowa, realnie zagrażając prawie bezbronnemu miastu.

ZGRUPOWANIE ŚMIERCI

Jeszcze formalnie Polska nie odzyskała niepodległości w 1918 roku, kiedy członkowie organizacji niepodległościowych przy współudziale młodzieży, nazwanej później Orlętami Lwowskimi, wyzwolili Lwów. Niespełna dwa lata później znów pojawiło się tam zagrożenie, tym razem w postaci bolszewickiej 1 Armii Konnej. Młodzi obrońcy – głównie mło-

dzież szkolna i gimnazjalna – nie zawiedli. Masowo zgłaszali się do naprędce formowanych formacji ochotniczych w lwowskich koszarach. Najwięcej osób garnęło się do stworzonej wówczas samodzielnej grupy operacyjnej rotmistrza Romana Abrahama – żywej legendy Orląt Lwowskich i sławnego obrońcy z Góry Stracenia w trakcie walk z Ukraińcami. Gdy rozniosła się wieść, że ten znany oficer tworzy oddział do zadań specjalnych, żołnierze z innych formacji opuszczali je, by służyć pod jego dowództwem. 20 lipca 1920 roku grupa operacyjna rotmistrza, licząca 1300 żołnierzy i oficerów, wyruszyła na front.

17 sierpnia, kiedy już trwała Bitwa Warszawska, na południowym odcinku linii frontu jednostki polskie nadal cofały się w kierunku Lwowa. Batalion piechoty ze zgrupo-

wania Abrahama przemieszczał się w kolumnie bojowej w stronę stolicy Galicji wzdłuż magistrali kolejowej Lwów–Złoczów–Tarnopol. Przed niewielką stacją kolejową Zadwórze zgrupowanie dostało się pod silny ostrzał broni maszynowej z trzech stron. Przed Polakami na drodze do rodzinnego miasta stanęła 6 Dywizja Konna pod dowództwem Josifa Apanasienki. Batalion 330 ochotników z Lwowa ruszył tyralierą do ataku na stację kolejową, aby wyrwać się z okrążenia.

DO OSTATNIEGO ŁADUNKU

Polscy żołnierze odbili z rąk kawalerii Budionnego stację kolejową oraz pobliskie wzgórze. Parę dni wcześniej Abraham został ranny, więc teraz ochotnikami dowodził kpt. Bolesław Zajączkowski (porzucił karierę prawniczą, żeby wstąpić do Legionów Polskich, i w 1918 roku brał udział w obronie Lwowa). Rozkazał swoim ludziom zająć stację, torowisko oraz przyległe wzgórze, żeby za wszelką cenę zatrzymać bolszewików nacierających na Lwów. Bitwa trwała cały dzień. Jedyną pomocą, jaką obrońcy wówczas otrzymali, było wsparcie lotnicze z III Dywizjonu Lotniczego z Lwowa. Pod wieczór, po odparciu sześciu ataków konnicy, ostrzale artylerii, a nawet ataku bolszewickich dwupłatowców, obrońcom zaczęło brakować amunicji. Kiedy jednak mieli wrażenie, że napór Rosjan już ustał, na horyzoncie pojawiły się kolejne szwadrony jazdy wroga. Nie widząc nadziei na ratunek, kpt. Zajączkowski wraz z grupą podwładnych użyli ostatnich naboju, żeby popełnić samobójstwo – nie chcieli dostać się do niewoli.

Przy życiu pozostało wówczas około 50 żołnierzy i dwóch podoficerów. Ostatnią redutą Polaków stała się budka dróżnika kolejowego. Młodzi lwowiacy bronili się już tylko za pomocą bagnatów i kolb karabinów. Czerwonoarmiści, rozwścieczeni tak długą i zjadłą obroną, za pomocą szabl i kozackich lanc zgładzili ostatnich obrońców Zadwórze. Leżących na pobojowisku rannych dobijano na wyraźny rozkaz dowódcy ostatniej szarży konnej kozaków – kombryga Szeko.

Issak Babel, znany w Rosji pisarz i dziennikarz, w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku był oficerem politycznym przy armii Budionnego. Był świadkiem masakry obrońców Zadwórze. W książce „Armia Konna”, która ukazała się w Rosji Radzieckiej w 1926 roku, tak opowiadał o losie abrahamczyków: „Jeździliśmy wzdłuż linii, by nie zabijać jeńców. Szeko bąknął – »Dlaczego nie«. Nie patrzyłem w twarz. Przebijali pałaszami, dostrzeliwali, trupy na trupach. Apanasenko rozkazywał – »Nie trać ładunków, zarznij go«”.

Po bitwie Siemion Budionny odstąpił od ataku w kierunku Lwowa, by nacierać na północ od miasta. Trzy dni po bitwie i wycofaniu się wojsk bolszewickich do Zadwórze dojechał polski pociąg pancerny „Pionier”. Za żołnierzami na pole bitwy zaczęli ściągać lwowiacy, żeby odnaleźć swoich synów. Widok, jaki zastali, był przerażający. Ciała nadal leżały na pobojowisku, obdarte z ubrań i butów. Wiele z nich było pozbawionych głów i kończyn, część nosiła ślady niespotykanego okrucieństwa. Wysokie temperatury sierpniowego lata

sprawiły, że niemożliwe było zidentyfikowanie ciał niektórych żołnierzy. Udało się to jedynie w wypadku 106 z obrońców „polskich Termopil”. Ciała siedmiu, w tym dowódcy, później uroczystie pochowano na Cmentarzu Obrońców Lwowa, w oddzielnej, zadwórzeńskiej kwaterze.

Były to szczątki kpt. Bolesława Zajączkowskiego, kpt. Krzysztofa Obertyńskiego, por. Jana Demetera, ppor. Tadeusza Hanaka, pchor. Władysława Marynowskiego, kpr. Juliusza Gromnickiego i szer. Eugeniusza Szarka. 18 września 1920 roku na dzisiejszym Cmentarzu Orląt odbył się uroczysty pochówek poległych, na który masowo przybyli lwowiacy. Kwatera nr I, zwana zadwórzeńską, w okresie międzywojennym uchodziła za najpiękniejszą. Lwowskich żołnierzy pochowano w grobach o numerach: 43, 44, 45, 46 i 47.

Pozostali polegli w tej bitwie spoczywają w miejscu boju. Usypano tam w 1927 roku 20-metrowy kurhan, na którym postawiono piaskowy pomnik w kształcie słupa granicznego zwieńczonego krzyżem. U podnóża kopca znajduje się cmentarz z mogiłami poległych. Pomnik i cmentarz przetrwały II wojnę światową i okres komunizmu. W 1999 roku poddano je gruntownej renowacji i przywrócono przedwojenną tablicę z napisem „Orlątom poległym w dniu 17 sierpnia 1920 roku w walkach o całość ziem kresowych”.

JEDYNY OCALONY?

Legenda głosi, że bitwę o Termopile w 480 roku p.n.e. przeżył jeden Spartanin, bo Persowie uznali go za martwego.

W wypadku „polskich Termopil” również był jeden cudownie ocalony. Władysław Targalski, syn znanego lwowskiego zegarmistrza, brał udział w obronie Lwowa przed Ukraińcami w 1918 roku. Kiedy dwa lata później wstąpił do zgrupowania rotmistrza Abrahama, był już doświadczonym żołnierzem, choć miał zaledwie 16 lat. W czasie bitwy o Zadwórze po jednym z ataków szarży bolszewickiej został ranny w nogę. Aby zatamować krew, zdjął bluzę mundurową i zrobił z niej opatrunek.

Wtedy zobaczył go cwałujący kozak, ale uznał za ukraińskiego chłopca, który przez przypadek znalazł się w nieodpowiednim miejscu. Odwiózł go zatem do rosyjskiego lazaretu i dopiero tam zorientowano się, kim jest. Jako jeńiec wojenny Targalski został

wywieziony do Charkowa, skąd razem z jednym z kolegów uciekł z niewoli i pieszo dotarł do Lwowa. Kiedy rok po bitwie o Zadwórze wynędniali stanął przed zakładem zegarmistrzowskim ojca, ten nie wierzył, że to jego syn. W sierpniu 1920 roku na pobojowisku odnaleziono bowiem podarty mundur, w którym były dokumenty i legitymacja Targalskiego.

Ojciec długo nie cieszył się obecnością Władysława w domu, bo wkrótce chłopak wyruszył wraz z kompanią ochotników, by wziąć udział w III powstaniu śląskim. Po wybuchu II wojny światowej walczył jako żołnierz armii „Kraków”. Dostał się do niewoli, ale uciekł i dotarł do Lwowa. Tam, po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, za działalność konspiracyjną został aresztowany przez gestapo. I choć zesłano go do obozu koncentracyjnego na Majdanku, a potem do Buchenwaldu – przeżył wojnę. Zmarł w 1995 roku w Bytomiu. ■

W MIEJSCU BITWY U PODNÓŻA USYPANEGO W 1927 ROKU KURHANU ZNAJDUJE SIĘ CMEN- TARZ Z MOGIŁAMI POLEGŁYCH

| POŻEGNANIA |

Płk. Dariuszowi Plucie,
szefowi Zarządu Planowania Logistycznego – J4
w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych,
z powodu śmierci

Brata

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
składają dowódca generalny
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ.

Szefowi Zarządu Planowania Logistycznego – J4
Dowództwa Generalnego RSZ

Panu płk. Dariuszowi Plucie

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składa szef Inspektoratu Wsparcia SZ
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

Głęboko poruszeni śmiercią
kmdr. por. Zbigniewa Rogosza,
oficera Inspektoratu Marynarki Wojennej,
składamy wyrazy serdecznego współczucia
Rodzinie i Przyjaciołom.

Dowódca generalny
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
Panu plut. Waldemarowi Jaskulskiemu
z powodu śmierci

Brata

składają komendant, kadra zawodowa
i pracownicy wojska Centrum Szkolenia Artylerii
i Uzbrojenia w Toruniu.

Panu kmdr. por.
Sławomirowi Kordyńskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy najszczerzego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
Dowództwa 3 Flotyli Okrętów.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pana Tomasza Skrzyńskiego,

podporucznika Pułku Ułanów Karpackich,
obrońcy Tobruku, uczestnika kampanii libijskiej oraz
włoskiej, uhonorowanego wojennymi odznaczeniami
polskimi i brytyjskimi, w tym Krzyżem Walecznych
oraz Krzyżem Monte Cassino.

W Niepodległej Polsce odznaczony m.in. Krzyżem
Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

„Nie umiera ten, kto trwa w sercach i pamięci naszej”.

Wyrazy głębokiego współczucia i żalu dla

Pana komandora porucznika
Romana Wachowicza

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze oraz pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
Centrum Operacji Lądowych
– Dowództwa Komponentu Lądowego w Krakowie.

Podpułkownikowi
Andrzejowi Wrótniakowi
wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają komenda, żołnierze i pracownicy wojska
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

Pani por. Beacie Wojciechowskiej

oraz Jej Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
15 Wojskowego Oddziału Gospodarczego.

| POŻEGNANIA |

Panu ppłk. dr. inż.
Marcinowi Pietrzakowi
wyrazy współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki
składają żołnierze i pracownicy
Centrum Symulacji i Komputerowych Gier Wojennych
Akademii Obrony Narodowej.

Panu ppłk. Dariuszowi Pastuszkowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca
składają dyrektor, kadra i pracownicy Ośrodka
Monitorowania i Analiz Ministra Obrony Narodowej.

Panu płk. Andrzejowi Osińskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają dyrektora oraz żołnierze i pracownicy
Biura Dyrektora Generalnego.

Wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia dla
st. szer. Jacka Zdrojewskiego
z powodu śmierci

Ojca
składają komendant oraz koledzy i koleżanki
z Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Elblągu.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
mł. chor. Grzegorza Tarki.

Rodzinie Zmarłego
składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Szef, kadra oraz pracownicy wojska
Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych

Wyrazy głębokiego współczucia

Panu Ireneuszowi Koziół
w związku ze śmiercią

Ojca
składają oficerowie i pracownicy wojska
Stołecznego Zarządu Infrastruktury w Warszawie.

Dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych,
dowódcy 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych
w Inowrocławiu, dowódcy 49 Bazy Lotniczej w Pruszcze
Gdańskim, dowódcy 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu,
dowódcy Garnizonu Gdynia, dowódcy Gdynskiej
Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej,
przedstawicielom Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk
Lądowych we Wrocławiu, myśliwym z Wojskowego Koła
Łowieckiego nr 228 „Cyranka” w Inowrocławiu,
wszystkim żołnierzom i pracownikom wojska
oraz rodzinie i przyjaciółom
składamy serdeczne podziękowania
za duże wsparcie, pomoc i udział w pogrzebie
śp. płk. dypl. pil. Janusza Tomczyka,
który odszedł na wieczną wartę 11 czerwca 2015 r.

Pogrążeni w smutku żona i synowie z rodzinami



st. chor. Łukasz Sroczyński
3 sierpnia 2013 r. | PKW Afganistan

kpt. Daniel Ambroziński
10 sierpnia 2009 r. | PKW Afganistan

st. kpr. Dariusz Tyłenda
6 sierpnia 2010 r. | PKW Afganistan

st. kpr. Marek Dziak
11 sierpnia 1994 r. | UNPROFOR Jugostawia

Pamiętamy

sierż. Wiktor Lenczewski
8 sierpnia 1992 r. | UNDOF Syria

st. plut. Jerzy Abram
14 sierpnia 2000 r. | KFOR Kosowo

POŻEGNANIA

Panu ppłk. dr. inż.
Marcinowi Pietrzakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają koledzy z Zakładu Operacyjnego
Centrum Symulacji i Komputerowych Gier Wojennych
Akademii Obrony Narodowej.

Panu kpt. Marcinowi Gilowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, spadochroniarze oraz pracownicy
wojska 6 Brygady Powietrznodesantowej.

Panu komandorowi porucznikowi
Jackowi Mańkowskiemu

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komenda, żołnierze i pracownicy wojska
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Wejherowie.

Rodzinie

śp. płk. rez. lek.

Jana Zdzisława Bukowskiego,

długoletniego zastępcy komendanta ds. leczenia
otwartego – kierownika Polikliniki 5 Wojskowego
Szpitala Klinicznego z Polikliniką w Krakowie,

wyrazy szczerzego żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Pani Marzannie Stankiewicz-Brzuzan

wyrazy szczerzego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.

Panu płk. Jarosławowi Jędrzejczakowi,

głównemu księgowemu

Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych,

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają szef finansów oraz kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Finansów Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych.

Panu płk. Jarosławowi Jędrzejczakowi

wyrazy głębokiego współczucia oraz kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Rachunkowości i Ekonomiki Informatycznej
Szefostwa Finansów Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

por. Łukasz Kurowski

14 sierpnia 2007 r. | PKW Afganistan

sierż. Szymon Sitarczuk

18 sierpnia 2011 r. | PKW Afganistan

kpr. Sylwester Kutrzyk

kpr. Grzegorz Rusinek

19 sierpnia 2004 r. | PKW Irak

plut. Waldemar Sujdak

kpr. Paweł Szwed

kpr. Paweł Brodzikowski

20 sierpnia 2008 r. | PKW Afganistan

kpr. Krystian Andrzejczak

21 sierpnia 2004 r. | PKW Irak

| POŻEGNANIA |

Panu Stanisławowi Bondyrze

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszersze kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składają dowódca oraz koleżanki i koledzy z dowództwa
9 Brygady Wsparcia Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. rez. Henrykowi Boguckiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dyrektor, kadra i pracownicy Ośrodka
Monitorowania i Analiz Ministra Obrony Narodowej.

Panu kpt. Danielowi Dąbkowi,

zastępcy dowódcy – szefowi sztabu JW 4430,

oraz Jego Żonie Beacie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz wyrazy
głębokiego współczucia i najszersze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy i Teściowej

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych w Śremie.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego Przyjaciela, jednego z ostatnich żyjących
żołnierzy Oddziału Dyspozycyjnego „A” Kedywu
Okręgu Warszawa Armii Krajowej,
kpt. WP

Alfreda Bielickiego

ps. „Mietek”,
wspaniałego żołnierza i Człowieka.

Rodzinie i Najbliższym

składamy z serca płynące wyrazy głębokiego
współczucia.

Komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej
w Warszawie – jednostki, która przyjęła
i z honorem kultywuje dziedzictwo tradycji
Oddziału Dyspozycyjnego „A” Kedywu
Okręgu Warszawa Armii Krajowej.

Pamięć o żołnierzach z tamtych lat zawsze będzie żywa.
Cześć i chwała Bohaterom!

Panu st. chor. szt. rez.

Zbigniewowi Dąbkowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Żony Zofii

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych w Śremie.

Panu kmdr. por. Maciejowi Pietrzakowi

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

najszersze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu
Morskiego.

Panu chorążemu

Arkadiuszowi Szczodrowskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Żony

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
Pułku Ochrony w Warszawie.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Z A M K I

Kasztel na wulkanie

Pod koniec II wojny
światowej z tej
warowni uprowadzono
byłego nazistowskiego
dyplomata.

Był zimowy wieczór 21 lutego 1945 roku, gdy w pałacu u podnóża warowni w Grodziecu pojawiło się trzech oficerów Abwehry. Dostali zadanie wywiezienia w głąb III Rzeszy właściciela zamku, Herberta von Dirksena. Starszy pan był byłym nazistowskim dyplomata i współpracownikiem Adolfa Hitlera, ambasadorem Niemiec w Związku Radzieckim, Japonii i Wielkiej Brytanii w latach 1928–1939.

Podczas wojny były polityk przeszedł na emeryturę i osiadł w Grodziecu. Po zajęciu miejscowości przez Sowiec nie uciekł, wierząc w swoje znajomości z najwyższymi dostojnikami w Moskwie. Władze w Berlinie obawiały się, że Dirksen zacznie kolaborować z Sowiec, dlatego wydano rozkaz przeprowadzenia go na drugą stronę frontu. Wyśłani oficerowie mieli skłonić ambasadora do ucieczki, a w razie odmowy go zastrzelić.

Nocą z 21 na 22 lutego wszystkim czterem mężczyznom udało się przejść linię frontu. Dirksen zamieszkał w Niemczech, gdzie zmarł w 1955 roku. W Grodziecu po zniknięciu dyplomaty Rosjanie rozstrzelali kilka osób, a wielu mieszkańców wywieźli w głąb Związku Radzieckiego. Podpalili też

zamek położony na szczycie bazaltowego stożka wygasłego wulkanu.

Budowla powstała na bazie granicznej warowni śląskiej. Wzniesiono ją w XII wieku, a najprawdopodobniej dwa wieki później przebudowano na murowany kasztel. W 1470 roku obiekt kupił książę legnicki Fryderyk I. Rozpoczął rozbudowę zamku, którą kontynuowali jego potomkowie. Postawiono palatium, czyli część mieszkalną, oraz kwadratowy obronny donżon 25-metrowej wysokości.

W XVI wieku fortyfikację przystosowano do użycia broni palnej, między innymi budując basteje i kaponiery. Grodziec stał się jedną z piękniejszych rezydencji obronnych na Śląsku. Organizowano tam turnieje rycerskie, zabawy i polowania.

Niestety, w 1633 roku, w trakcie wojny trzydziestoletniej, warownia została spalona przez wojska księcia Albrechta Wallensteina. Odbudowy podjął się dopiero w 1800 roku nowy właściciel, hrabia Jan Henryk VI Hofberg. Zrekon-

URZĄD GMINY W ZAGRODNI



➔ Vademecum

Grodziec leży 21 km od Bolesławca. Dojechać tutaj można autobusem lub busem z Legnicy, Złotoryi i Bolesławca. Dla zmotoryzowanych na przedzamczu zorganizowano bezpłatny parking. Zamek jest otwarty od listopada do stycznia w godz. 10.00–16.00, od lutego do marca od 10.00 do 17.00, a od kwietnia do października od 10.00 do 18.00. Bilet wstępu na dziedziniec, do części sal zamkowych, na ganki, donżon i wystawę narzędzi tortur kosztuje 10 zł, nocne zwiedzanie – 25 zł. Na zamku corocznie są organizowane pojedynki rycerskie – w czerwcu Legnicko-Brzeski Turniej Rycerski o Srebrny Pierścień Kasztelana, a 15 sierpnia turniej łuczniczy. Zanoćować można w wieży zamkowej. Za pokój dwuosobowy zapłacimy 40–50 zł od osoby, a 25 zł za noc w sali wieloosobowej.

struowano zniszczone mury, część palatium, urządzono park na przedzamczu i udostępniono wszystko turystom. Był to wówczas pierwszy w Europie zabytek przystosowany w całości do potrzeb zwiedzających.

Kolejny pan na zamku Grodziec, baron Willibald von Dirksen, radca w niemieckim ministerstwie spraw zagranicznych, postanowił odbudować średniowieczną warownię od podstaw, według projektu znanego architekta Bodo Ebhardta. W 1908 roku na uroczystym otwarciu zamku gościł sam cesarz Wilhelm II. Potem obiekt przekazano na muzeum, restaurację i schronisko turystyczne.

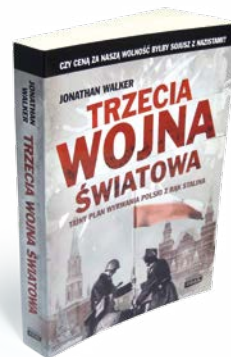
Zniszczony po II wojnie światowej zabytek, w latach siedemdziesiątych XX wieku przejął Urząd Gminy w Zagrodnie. Miał tu powstać dom wypoczynkowy, skończyło się jednak na planach. W 1993 roku zamek wydzierżawił prywatny właściciel i po uprządkowaniu udostępnia go turystom. W murach warowni kręcono też kilka filmów, między innymi „Wiedźmina” oraz „Przyłbice i kaptury”.

ANNA DĄBROWSKA

KSIĄŻKA

Ostatnia nadzieja Polaków

Czy III wojna światowa mogła nadejść w 1945 roku?



Książka Jonathan Walkera „Trzecia wojna światowa. Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina” to wciągająca historia przygotowań do wojny, która nie doszła do skutku, a tak bardzo liczyły na nią Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, podziemie zbrojne w kraju i zwykli ludzie sprzeciwiający się komunistycznej władzy. W 1944 roku Winston Churchill, który widział zagrożenie ze strony Sowietów, wydał ściśle tajne polecenie opracowania i przygotowania operacji „Unthinkable”. Cztery miliony amerykańskich, brytyjskich, polskich a także niemieckich żołnierzy miało 1 lipca 1945 roku zaatakować Armię Czerwoną okupującą wschodnią część Europy.

Jakie były plany operacyjne? Jak brytyjscy sztabowcy w porozumieniu z amerykańskimi sojusznikami szacowali szanse powodzenia tego przedsięwzięcia? Gdzie miały się rozegrać decydujące bitwy pancerne? Jak alianci oceniali możliwość włączenia do konfliktu żołnierzy Wehrmachtu do walk na terenie Austrii i wschodnich Niemiec? Jak analizowano zachowanie ludowego Wojska Polskiego i po czyjej stronie? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdziemy właśnie w książce Walkera. Dobrze napisana, wciągająca lektura.

JAKUB NAWROCKI

Jonathan Walker, „Trzecia wojna światowa. Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina”, Znak, 2014



POD NASZYM PATRONATEM

Ataki z powietrza

Jakie są dziś zagrożenia raketowe i jak buduje się systemy obrony przeciwraкетowej? Dlaczego ten problem ma strategiczne znaczenie dla Polski?

Odpowiedzi na te pytania znajdziemy w książce „Obrona przeciwraкетowa w polskiej perspektywie”, przygotowanej przez zespół ekspertów pod redakcją naukową podsekretarza stanu w MON dr. hab. Roberta Kupieckiego.

Praca porządkuje wiedzę na temat obrony przeciwraкетowej i zagrożeń raketowych. Jak we wstępie zaznaczył Robert Kupiecki, to materia trudna do ukształtowania. „Miarą trudności piętrzących się przed badaczami jest nie tylko dostęp do wiarygodnych informacji, ale przede wszystkim tematyczna rozpiętość zjawiska”.

Temat jest o tyle istotny i aktualny, że obronę przeciwraкетową uznaje się obecnie za warunek wstępny każdego planu obrony wojskowej. Jednocześnie to jeden z najważniejszych programów

modernizacji sił zbrojnych. Nad publikacją pracowali eksperci resortów obrony narodowej i spraw zagranicznych oraz Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, zajmujący się tą problematyką od wielu lat. Autorzy rozprawiają o obronie przeciwraкетowej w aspektach politycznych, strategicznych, technicznych oraz ekonomicznych. Książkę wyróżnia też fakt, że dotyczy ona bezpośrednio spraw związanych z bezpieczeństwem Polski, że nie chodzi wyłącznie o przedstawienie problemu z pogranicza strategii i techniki militarnej.

PIOTR ZARZYCKI

„Obrona przeciwraкетowa w polskiej perspektywie”, pod red. Roberta Kupieckiego, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, 2015

KSIĄŻKA

Zderzenie osobowości

Herman Göring poddał się amerykańskim żołnierzom 8 maja 1945 roku. Wcześniej się do tego odpowiednio przygotował – zabrał ze sobą ogromne czerwone pudło na kapelusze oraz 12 waliz z wyszytymi monogramami, a w nich m.in. jedwabną bieliznę, kilka mundurów, mnóstwo zegarków i spinek do krawatów i mankietów, drogocenną biżuterię, odznaczenia, sporo gotówki oraz około 20 tys. małych tabletek. Göring utrzymywał, że to leki nasercowe. Po zbadaniu okazało się, że pastylki zawierają parakodeinę. Amerykańscy specjaliści od narkotyków ostrzegli władze więzienia, że tak silnie uzależniający środek trzeba odstawiać stopniowo i pod okiem specjalisty. Przygotowano

zatem dla nazisty tabletki o niskiej wartości narkotyku i oddano go pod opiekę młodemu kalifornijskiemu lekarzowi, który do tej pory dbał o kondycję psychiczną amerykańskich żołnierzy. Teraz Douglas Kelley miał się zajmować więźniami mającymi odpowiadać za zbrodnie nazistowskie.

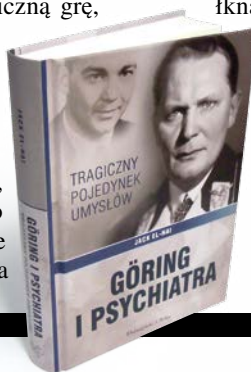
To właśnie wtedy doszło do konfrontacji dwóch nieprzeciętnych osobowości, którą Jack El-Hai, autor książki „Göring i psychiatra”, określił jako „tragiczny pojedynek umysłów”. Ten amerykański pisarz i dziennikarz przedstawia zachowania więźniów w czasie procesów norymberskich, zwracając uwagę na specyficzną grę, jaką prowadzili z aliantami i sami ze sobą. Opisuje także badania psychologiczne, którym zostali poddani oskarżeni, oraz prezentuje ich zaskakujące wyniki. Co ciekawe, przeprowadzał je nie tylko Douglas Kelley, lecz także mający udzielić mu wsparcia

Gustave Gilbert. Od początku między nimi iskrzyło. Nie zgadzali się przy wyborze metody badawczej i interpretacji wyników. Oddzielnie też po latach opublikowali rezultaty pracy w Norymberdze. Czy to było zwykłe konkurowanie dwóch psychiatrów i zderzenie autorytetów? A może Douglas Kelley nie był obiektywny, bo pozostawał pod wrażeniem osobowości jednego z więźniów? Jack El-Hai ze szczególną uwagą analizuje relacje między Kelleyem i Göringiem, żeby odpowiedzieć na te pytania. Zastanawiające jest jednak, że Herman Göring po osądzeniu nie został powieszony, bo przed egzekucją pokłamał ampułkę z cyjankiem.

Dwanaście lat później w taki sam sposób popełnił samobójstwo Douglas Kelley...

ANETA WIŚNIEWSKA

Jack El-Hai, „Göring i psychiatra. Tragiczny pojedynek umysłów”, Prószyński i S-ka, 2015



POD NASZYM PATRONATEM

Obrona Lwowa na planszy

Z każdym dniem Armia Czerwona zbliża się do Lwowa, ale sformowane niedawno polskie lotnictwo przeżywa swoje wielkie dni.

Edukacyjną grę planszową „7. W obronie Lwowa” wydał Instytut Pamięci Narodowej. W rozgrywce mogą brać udział dwie osoby. Jeden z jej uczestników atakuje potężną bolszewicką 1 Armią Konną, dowodzoną przez Siemiona Budionnego. Drugi dowodzi 7 Eskadrą Myśliwską im. Tadeusza Kościuszki, złożoną w większości z doświadczonych pilotów amerykańskich ochotniczo służących w Wojsku Polskim. Lotnictwo skupia cały swój wysiłek na opóźnianiu marszu 1 Armii Konnej, by dać bezcenny czas na ściąganie posiłków do obrony Lwowa. Nieustannie są ponawiane bombardowania i ostrzał bolszewickich kolumn z karabinów maszynowych.

Ataki te wywołują panikę w szeregach wroga i dezorganizują jego poczynania. Nieprzyjacielska obrona przeciwlotnicza również nie próżnuje – grzmiały działa i biły ciężkie karabiny maszynowe. Z każdym dniem Armia Czerwona zbliża się do Lwowa, ale sformowane

niedawno polskie lotnictwo przeżywa swoje wielkie dni. Do sukcesu w rozgrywce niezbędne są zarówno umiejętności logicznego myślenia, zaplanowanie działań, jak i szczęście, bowiem skuteczność działań jest zależna od dołączonej kostki do gry.

„7” jest częścią lotniczej trylogii gier planszowych i rozwija zasady sprawdzone w „111” i „303”. Ukazuje zapomniane początki legendy, której ostatni rozdział dopisali lotnicy Dywizjonu 303.

Gra zawiera dwa warianty – prosty, przeznaczony dla dzieci od ósmego roku życia, i zaawansowany, dla dorosłych. Oba wyjaśnia dołączona instrukcja oraz opracowanie historyczne o wydarzeniach z 1920 roku, lotnikach i myśliwcach 7 Eskadry. Materiały zostały przygotowane w trzech językach – polskim, angielskim i ukraińskim, dzięki czemu „7” może odegrać swoją edukacyjną rolę także w przypadku graczy obcojęzycznych.

PIOTR ZARZYCKI

„7. W obronie Lwowa”, Instytut Pamięci Narodowej, 2015





KSIĄŻKA

Kuchenne manewry

Żeby żyć trzeba jeść. A żeby żyć przyjemnie, warto dopieścić swoje kubki smakowe.

Ile wspólnego ma gotowanie z wojskiem, mógłby najlepiej wyjaśnić nasz felietonista Piotr Bernabiuk, autor cyklu „Z żołnierskiego kotła”. A ile wspólnego z wojskiem ma dokładnie pieczenie babeczek? Cóż, może nie da się tego zrobić w kuchni polowej, ale – uciekając się do mało skomplikowanej metafory – te babki z pewnością wymagają twardej ręki. Przede wszystkim trzeba zgromadzić i uszeregować składniki, pogodzić ze skłóconymi żółtkami, sformować jednolite, zgrane ciasto i zdyscyplinować je w kokilkach. I tyle. Łatwizna. A jeśli komuś się wydaje, że to wyłącznie babska robota, niech sięgnie po książeczkę firmowaną przez Jamiego Oliviera „Sezonowe słodkości”.

Pod tym pospolitym tytułem kryje się całkiem oryginalna treść. Autorką zawartych w niej przepisów jest Jemma Wilson (czyli Cupcake Jemma), mistrzyni wypieków, prowadząca piekarnię Crumb&Dolies. Wilson bez wątpienia cierpi na cudowną przypadłość,

jaka jest nadkreatywność połączona z nadmiarem energii, co jej przepisy odzwierciedlają w stu procentach. Niezliczona ilość smaków: kardamon, chili, czekolada, wanilia, pistacje, zielona herbata, mnóstwo kolorów i... oczywiście kalorii. Ale o tych ostatnich nie warto pamiętać, zwłaszcza że ćwiczenia z wypieków w domowej kuchni to naprawdę nieskomplikowana zabawa. Na początek polecam, szczególnie tym, którzy lubią ostrrrre wrażenia, meksykańskie pikantne babeczki czekoladowe, które doprowadzają do czerwoności nie tylko kubki smakowe. Gorzkie i aromatyczne kakao, ostra papryka, jedwabisty krem czekoladowy nawet u kogoś tak mało utalentowanego kulinarnie jak ja wydestylują czystą przyjemność z czasu spędzonego w kuchni. Mimo gwarantowanego skoku poziomu cukru we krwi, warto więc się poświęcić.

JOANNA ROCHOWICZ

Cupcake Jemma, „Sezonowe słodkości”, Insignis, 2015

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

	BIBLIOTEKA CYFROWA
	BIBLIOGRAFIE
	UDOSTĘPNIANIE
BAZY DANYCH	
	INFORMACJA NAUKOWA
PLAKATY	
WYSTAWY	
KONFERENCJE	

www.cbw.pl



Christian Eisert, „Tydzień w Korei Północnej. 1500 kilometrów po najdziwniejszym kraju świata”, Prószyński i S-ka, 2015

Wycieczka pod nadzorem

To jest także kraj zwyczajnych ludzi, którzy chcą żyć, kochać się i śmiać.

Informacja z Korei Północnej: „Kim Dzong Un kazał rozstrzelać dyrektora żółwiej farmy, bo zginęły zwierzęta z powodu dostaw prądu”. Absurd? Teoretycznie tak. W tym kraju to jednak nic dziwnego. Po pierwsze, taki system kar jest tam powszechnie stosowany – niedawno rozstrzelano ministra obrony m.in. za to, że zdrzemnął się w czasie uroczystości z udziałem Kima, a w 2013 roku odbyła się egzekucja 12 tancerek oskarżonych o występowanie w filmach

pornograficznych i... posiadanie Biblii. Po drugie, od lat tamtejsi władcy osobiście nadzorują gospodarkę – odwiedzają robotników, rolników i udzielają im rad, które natychmiast są wdrażane w życie. I w ten sposób po zaleceniach przywódcy rolnicy na przesiąkniętej wilgocią ziemi zamiast ryżu zaczęli uprawiać kukurydzę. Takie eksperymenty nie mogły się skończyć inaczej niż falą głodu.

W podróż do tego kraju wybrał się niemiecki satyryk Christian Eisert. Efek-

tem tej eskapady jest znakomita książka „Tydzień w Korei Północnej”. Ze swadą, dystansem i poczuciem humoru autor opisuje to, co udało mu się zobaczyć w czasie tej „wycieczki pod specjalnym nadzorem” oraz to, co tamtejsze władze starają się ukryć przed turystami. Każdy gość w Korei Północnej dostaje bowiem przewodnika i może zobaczyć tylko wybrane miejsca. Obcy nie mogą też kontaktować się z przeciętnymi mieszkańcami tego państwa. Oprócz indywidualnych opiekunów turystom nieustannie towarzyszą prawie niewidzialni panowie, mający zbierać informacje o zachowaniu gości i przewodników. Na żadne niespodzianki nie ma więc co liczyć, chyba że te niepożądane...

Mimo to Christian Eisert zabiera nas w fascynującą podróż. Razem z nim zwiedzamy m.in. skarbiec z prezentami, które Kim Ir Sen otrzymał od władców świata, metro w Pjongjangu lub wystawę kwiatów kimilsungii i kimdzongilii, otaczających różnego rodzaju broń lub portrety Kimów, oraz odwiedzamy Panmundżom, miejscowość w strefie zdemilitaryzowanej na granicy Korei Północnej i Południowej. Christian Eisert oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że bierze udział w spektaklu przygotowanym dla obcokrajowców. Chce jednak zobaczyć coś więcej niż propagandowe show. Twierdzi, że przeżył tam niezapomniane chwile, bo „przy całej manii wielkości i nędzy, przy całym strachu i brutalności, ludzie w Korei Północnej żyją, kochają się i śmieją”.

ANETA WIŚNIEWSKA



Cienie leśnych ludzi

Zołnierze wyklęci – ludzie, którzy po wyzwoleniu Polski spod okupacji niemieckiej nie pogodzili się z nadejściem nowej, sowieckiej, i podjęli nierówną walkę. Do dziś historycy nie są w stanie dokładnie określić liczebności antykomunistycznego podziemia – szacuje się, że

przewinęło się przez nie około 250 tys. osób.

Książka Szymona Nowaka „Oddziały Wyklętych” to wciągająca historia o 22 oddziałach zbrojnych podziemia antykomunistycznego w Polsce i na Kresach Wschodnich. Autor w klarowny sposób ukazuje losy polskich żołnierzy walczących z reżimem komunistycznym. Nie gloryfikuje przy tym „wyklętych”. Nie pomija też ani nie tłumaczy czynów partyzantów, które dziś mogą być negatywnie oceniane przez historię. Książka jest idealnym „rozszerzonym wstępem” dla

pasjonatów historii, którzy chcieliby pogłębić swoją wiedzę na temat ludzi, o których emigracyjny poeta Marian Hemar pisał w swoim wierszu „O Wielkim Bojowniku”: „Bezdomni i Podziemni, w bajce szli, widmowi/ Z niczyjego rozkazu, z własnego wyboru/ Już tylko na te próby męstwa i honoru/ Już tylko by tych prochów nie oddać wrogowi [...]”.

JAKUB NAWROCKI

Szymon Nowak, „Oddziały Wyklętych”, Fronda, 2014

KSIĄŻKA

Głos kobiet

One nie zgadzają się na przemoc, walczą z ciemnotą i zacofaniem.

Sally Armstrong, kanadyjska dziennikarka, działaczka na rzecz praw człowieka, od lat jeździ po świecie, zwłaszcza w rejonu dotkniętą wojną, biedą i zacofaniem. W czasie podróży szczególnie interesuje się losem kobiet. Spotyka ofiary gwałtów i przemocy, które uległy traumie, ale też takie, które, mimo osobistej tragedii, zmieniają otaczającą je rzeczywistość.

W Afganistanie poznała na przykład Hangamę Anwari, jedną z założycielek Fundacji Informacji Prawnej dla Kobiet i Dzieci. W tym kraju system prawny to połączenie kilku kodeksów z prawem zwyczajowym i religijnym. Fundacja nie tylko porządkuje wiedzę na ten temat, lecz także stara się wyeliminować praktyki krzywdzące kobiety i dzieci. Prawo plemienne Bad przewiduje na przykład, że jedna rodzina może przekazać drugiej dziewczynkę jako zadośćuczynienie za krzywdę. Los takiego dziecka zazwyczaj jest dramatyczny. Hanama Anwari stara się wykazać, że takie zwyczaje są niezgodne z prawem.

Mercy Chidi z Kenii założyła z kolei schronisko dla wykorzystanych seksualnie dziewczyn, a Fiona Sampson sformułowała pozew, który w 2011 roku złożyło 160 zgwałconych dziewcząt z miasta Meru, w wieku od trzech do

17 lat, za to, że rząd kenijski nie zdołał zapewnić im bezpieczeństwa. W tym kraju to poważny problem – co pół godziny zostaje zgwałcona dziewczynka. Wykorzystane seksualnie są piętnowane w środowisku, a co gorsze, często zostają zarażone wirusem HIV, bo powszechne jest tam przekonanie, że seks z dziewczą jest lekarstwem na AIDS.

Sally Armstrong przez lata kibicowała też Molly Melching. Pod jej przywództwem kobiety z Molicounda Bambara w Senegalu wyeliminowały wielopokoleniowy zwyczaj okaleczania żeńskich narządów płciowych. Rewolucyjne zmiany zaczęły od swoich rodzin, a ich wezwanie: „Nigdy więcej, nie u naszych córek” dotarło do kolejnych wsi.

To zaledwie kilka odważnych kobiet, których dokonania opisała Sally Armstrong. Jej „Wojna kobiet” to pewnego rodzaju manifest. Według dziennikarki te historie udowadniają bowiem, że w ostatnich latach zmieniła się rzeczywistość, wręcz nastąpiła nowa era: „Obecnie zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, a także w Afryce kobiety są katalizatorem zmian”.

ANETA WIŚNIEWSKA

Sally Armstrong, „Wojna kobiet”, Prószyński i s-ka, 2015

KSIĄŻKA

Zdrowie dla każdego

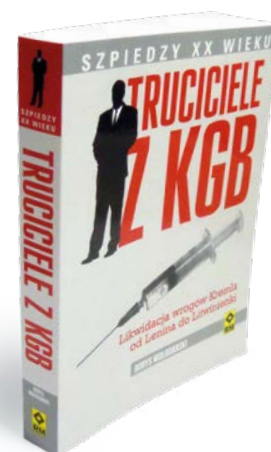
Jakie są objawy nadciśnienia tętniczego?

Ponieważ zdrowie jest tylko jedno i powinniśmy jak najlepiej o nie dbać – z takim przesłaniem wychodzi do czytelnika płk Piotr Białokozowicz, autor interesującego poradnika „Nasze zdrowie. Dobre rady lekarza wojskowego”. Opisuje w nim choroby, ich przyczyny, objawy oraz metody profilaktyki zapobiegawczej lub leczniczej.

Autor nie tylko udziela wyczerpujących porad lekarskich, lecz także zachęca do zdrowego trybu życia. Jest to godna polecenia lektura dla osób, dla których sprawność organizmu jest ważna.

JAKUB NAWROCKI

Piotr Białokozowicz, „Nasze zdrowie. Dobre rady lekarza wojskowego”, Bellona, 2014



KSIĄŻKA

Śmierć szyta na miarę

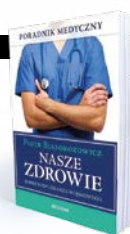
Władza Kremla sięga wszędzie. Przenika do światowych korporacji, organizacji międzynarodowych i polityki. Są jednak ludzie, którzy z narażeniem życia swojego i rodzin przeciwstawiają się tym działaniom. Uciekali i nadal uciekają na „zachód”, by ujawnić nielegalne i przestępcze działania tajnych służb rosyjskich.

Najnowsza książka Borysa Wołodarskiego, byłego szpiega i dysydenta, „Truciele z KGB” to wstrząsający obraz świata, w którym każdy, kto ośmielił się wyjawiać tajemnice organizacji, ponosi za to śmierć. Zdaniem autora, ostateczna decyzja o likwidacji człowieka przez specjalne grupy „czyszcicielskie”, od czasów Lenina po dziś, zawsze zapada na Kremlu. Wołodarski w intrygujący sposób udowadnia, że na terenie Rosji znajdują się ściśle tajne laboratoria, które przygotowują odpowiednie trucizny, indywidualnie dopasowane do przyszłej ofiary tak, aby śmierć zawsze wyglądała na „przypadkową”. Chemicy i biolodzy niemalże inżyniersko wytwarzają trucizny, niczym garnitury szyte na miarę przez krawców z londyńskiego Savile Row.

Jest to obowiązkowa lektura dla każdego, kto interesuje się historią szpiegostwa, śmiercią Aleksandra Litwinienki i wielu innych, którzy odważyli się głośno mówić o nielegalnych działaniach Rosji.

JAKUB NAWROCKI

Borys Wołodarski, „Truciele z KGB. Likwidacja wrogów Kremla od Lenina do Litwinienki”, RM, 2015





KSIĄŻKA

Nie skończyła się oblawa

Teresa Kaczorowska przybliży mało wciąż znane wydarzenia z lipca 1945 roku.

W lipcu tego roku obchodziliśmy 70. rocznicę oblawy augustowskiej, nazywanej również lipcową lub małym Katyniem. Była to, według wszelkich źródeł, największa zbrodnia na Polakach dokonana przez Sowieców po II wojnie światowej. Mimo że od tamtych dramatycznych wydarzeń upłynęło kilkadziesiąt lat, wszystkie kulisy nie zostały wyjaśnione, a ofiary odnalezione. Nie jest znana również ich dokładna liczba.

W lipcu 1945 roku Sowieci postanowili rozprawić się z AKO (Armią Krajową Obywatelską) na terenie Puszczy Augustowskiej. Wieś po wsi, miasteczko po miasteczku żołnierze Armii Czerwonej, funkcjonariusze NKWD, kontrwywiadu wojskowego Smiersz, UB i MO przeszukali domy w poszukiwaniu wrogów nowej władzy. Zatrzymano wówczas kilka tysięcy osób. Większość poddano brutalnemu śledz-

twu, kilkuset nigdy nie wróciło do domu. Ich losy nie są znane, mimo śledztwa prowadzonego od lat przez stronę polską. Pozostają jedynie domysły.

Autorka książki poświęconej oblacie augustowskiej, Teresa Kaczorowska, doktor nauk humanistycznych, zasłużona działaczka kulturalna i dziennikarka, pokazała te wydarzenia przez pryzmat wspomnień siedmiorga ich uczestników. Jednak ich relacje są w dużym stopniu odbiciem pamięci zbiorowej mieszkańców Puszczy Augustowskiej, ich dramatów rodzinnych i ciągłego oczekiwania na jakąkolwiek informację o bliskich.

Jest w książce bardzo wymowna scena, przywołana przez jednego z rozmówców Teresy Kaczorowskiej, Mariana Tananisa. Aresztowany, spędził w zamknięciu wiele dni. W tym czasie jego oddział został rozbity nad jeziorem Brożane, w największej bi-

twie oblawy augustowskiej. Zginął wówczas, lub został ujęty, sierż. Władysław Stefanowski „Grom”, dowódca oddziału Obwodu AKO Augustów. Po kilku tygodniach Tananis wraz z kolegami wybrali się nad Brożane, żeby pochować kolegów. Nie znaleźli nic, jakby nigdy nie było tam żadnej bitwy. Wszystko wysprzątane, ślady zatarte. Nie wydarzyło się. To „nie wydarzyło się” prześladowuje wszystkich rozmówców Kaczorowskiej, którzy po latach zdecydowali się jeszcze raz sięgnąć pamięcią do tamtych wydarzeń. Jak wskazują Danuta i Zbigniew Kaszlejowie w swoistym podsumowaniu pracy, Rosjanie nigdy się nie przyznali do zamordowania Polaków ujętych podczas oblawy. Prokuratura Generalna FR w piśmie z 1995 roku potwierdziła jedynie, że aresztowano wówczas 592 obywateli, jednak ich dalszy los nie jest znany. Nie wydarzyło się.

Książka Kaczorowskiej pod względem warsztatu dziennikarskiego może nie jest doskonała. Ale też polscy twórcy non fiction w ostatnich latach naprawdę wysoko podnieśli poprzeczkę. Pod względem tematu jednak bez wątpienia jest ważnym dokumentem naszej historii.

JOANNA ROCHOWICZ

Teresa Kaczorowska, „Oblawa augustowska”, Bellona, 2015

KSIĄŻKA

Wojna mózgów

Jak osiągnąć cele strategiczne, gdy posiada się znaczne zasoby, ale nie ma do dyspozycji odpowiednich instrumentów?

Książka jest efektem badań naukowych, które autor, wykładowca akademicki, prowadził bez jakiegokolwiek pomocy środowisk uniwersyteckich czy fundacji. Paul Kennedy podjął próbę nowego spojrzenia na II wojnę światową – pod kątem jej technicznych aspektów, wzięwszy pod uwagę okres od końca ro-

ku 1942 do połowy lata 1944 roku. To opowieść o złożoności wojny, w której dzięki niewielkim grupom ludzi, rozmaitym instytucjom, przywódcom politycznym udało się osiągnąć zwycięstwo. Autor analizuje, w jaki sposób skutecznie prowadzono działania, zgłębia „mechanikę i dynamikę strategicznych sukcesów i porażek”, za którymi w każdym wypadku stał człowiek. Skupia się jednak przede wszystkim nie na tych, którzy dowodzili czy walczyli, lecz na „mózgach” rozmaitych działań, czyli ludziach, których pomysły umożliwiły strategom osiągnięcie celów. Był wśród nich także Polak, por. Józef Kosacki, który służył w armii brytyjskiej. Zbudował on ręczny akustyczny wykrywacz min. Później z tego wynalazku korzystały armie na całym świecie.

Punktem wyjścia do rozważań autora jest spotkanie w styczniu 1943 roku

w Casablance Winstona Churchilla, Franklina Delano Roosevelta i szefów połączonych sztabów, którzy mieli zdecydować o dalszym przebiegu wojny. Z tych rozmów wyniknęły wytyczne operacyjne dla przyszłej strategii brytyjsko-amerykańskiej. Książka jest próbą wyjaśnienia, w jaki sposób zostały one wprowadzone w życie. Jak autor sam zaznacza, włącza się w ten sposób w szerszą dyskusję o podejmowaniu decyzji i rozwiązywaniu problemów na przestrzeni dziejów.

RENATA GROMSKA



Paul Kennedy, „Architekci zwycięstwa. Jak inżynierowie wygrali drugą wojnę światową”, RM, 2015



Honor miasta

Wydarzenia sierpniowe w szerszym kontekście historycznym

Film w reżyserii Eugeniusza Starky'ego ukazuje jeden z najbardziej dramatycznych epizodów w historii XX wieku – największą bitwę ruchu oporu w Europie w czasie II wojny światowej, powstanie warszawskie. Przybliża je w kontekście najważniejszych wydarzeń końca wojny oraz zrywów w Paryżu i Pradze. Oprócz bogatego materiału archiwalnego w filmie znalazły się wywiady z uczestnikami powstania po obu

stronach barykad, a także komentarze znanych historyków i polityków. O powstaniu warszawskim i jego roli mówią m.in. historycy Norman Davies i Marek Chodakiewicz, powstańcy Jan Moor-Jankowski, Julian Kułski i Wieńczyśław Wagner, sanitariuszka Wanda Lorenc oraz Jan Nowak Jeziorański, Zbigniew Brzeziński i żołnierz niemiecki Mathias Schenk.

1 sierpnia, godz. 10.40

TVP
HISTORIA

Zejsć na ziemię

Autorom tego dokumentu udało się zarejestrować szokujące chwile wspomnienia z tragicznych 63 dni walk z obu stron barykady. Są to relacje nie tylko powstańców i cywilnych mieszkańców miasta, lecz także żołnierzy Wehrmachtu. W opowieści o przeżytym koszmarze przez ówczesnych szesnasto-, siedemnastoletnich bohaterów wpleciono materiały archiwalne, w tym niemieckie zdjęcia lotnicze okupowanej stolicy, które zostały odnalezione w amerykańskim archiwum narodowym w Waszyngtonie.

1 sierpnia, godz. 8.10

Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki

Koncert

Rokrocznie 1 sierpnia warszawiacy spotykają się, by uczcić powstańców. Razem z artystami: Weroniką Grozdew-Kołacińską, Rafałem Grozdewem, Katarzyną Warno, Piotrem Pieronem, zespołem męskim Gregorianum, Chórem Warszawskiej Opery Kameralnej, zespołem instrumentalnym pod dyktando Andrzeja Borzysa, zaśpiewają powstańcze piosenki. Organizatorem koncertu jest Muzeum Powstania Warszawskiego.

1 sierpnia, godz. 14.30

Dni pamięci

71. rocznica powstania warszawskiego

1 sierpnia, o godz. 17, tradycyjnie już na antenie TVP Historia, tak jak w Warszawie i wielu miastach Polski, zawyją syreny, by przypomnieć godzinę „W”. Przez 63 dni będą emitowane kolejne odcinki cyklu „Powstańcy”. To swoiste kalendarium każdego powstańczego dnia – zwycięstw i klęsk, a jednocześnie osobiste relacje powstańców. Przez wszystkie sierpniowe dni (o godz. 18) będziemy prezentować kolejne odcinki serialu „Czas honoru. Powstanie”.

Dom przy Olesińskiej 5

Wspomnienia osób, które przeżyły masakrę zgotowaną 4 sierpnia 1944 roku ludności cywilnej przez hitlerowców w piwnicy domu przy ul. Olesińskiej 5.

1 sierpnia, godz. 21.10

TVP
HISTORIA

Dziewczyny z powstania

Cafe Historia



W dniu wybuchu powstania warszawskiego w mieście znajdowało się pół miliona kobiet. Wciąż zbyt mało się mówi o ich roli w tamtych wydarzeniach. Przejycia 11 z nich – sanitariuszek, łączniczek, zwykłych kobiet – opisuje Anna Herbach w książce „Dziewczyny z powstania”. Gości program „Cafe Historia” są jej autorka i jedna z bohaterek.

1 sierpnia, godz. 16.40

JERZY
EISLER

Bitwa o Anglię

JEDEN Z NAJLEPSZYCH
FILMÓW OPOWIADAJĄCYCH
O WALKACH LOTNICZYCH
W CZASIE II WOJNY
ŚWIATOWEJ



Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Tymi znanymi słowami Winstona Churchilla, odnoszącymi się do pilotów, którzy latem 1940 roku w powietrznej walce ocalili Wielką Brytanię przed niemiecką inwazją, twórcy jednego z najslawniejszych filmów wojennych, „Bitwy o Anglię” (producenci: Benjamin Fisz i Harry Saltzman oraz reżyser Guy Hamilton), zakończyli swoje monumentalne dzieło. Zrealizowany w 1969 roku za 12 mln dolarów obraz, do dziś pozostaje, zdaniem wielu fachowców, jednym z najlepszych filmów opowiadających o walkach lotniczych w czasie II wojny światowej.

Na podkreślenie zasługuje, że „Bitwa o Anglię” – zupełnie wyjątkowo – miała polską premierę zaledwie trzy miesiące po światowej prapremierze w Londynie. Wynikało to między innymi z tego, że twórcy filmu, zgodnie z historycznymi realiami, pokazali także polskich pilotów biorących udział w powietrznych zmaganiach latem 1940 roku. Co więcej, Polacy na ekranie mówią w ojczystym języku, chociaż niezbyt wyraźnie i przede wszystkim koncentrują się na przekleństwach.

„Bitwa o Anglię” praktycznie od samego początku była zresztą dziełem „skazanym na sukces”. Producenci zadbali o to, aby, zgodnie z konwencją wojennych superprodukcji, zapewnić filmowi doborową obsadę aktorską. Przez ekran przewijają się więc, zarówno w rolach historycznych postaci, jak i fikcyjnych bohaterów, takie gwiazdy, jak: Michael Caine, Edward Fox, Trevor Howard, Curd Jürgens, Laurence Olivier, Christopher Plummer, Michael Redgrave, Robert Shaw i Susannah York.

Najwięcej problemów przysporzyła twórcom realizacja scen batalistycznych, zwłaszcza walk powietrznych. Aby móc je nakręcić po prawie trzydziestu latach od historycznych wydarzeń, na plan ściągnięto dziesiątki – stale jeszcze będących w stanie wznieść się w powietrze – oryginalnych samolotów z lat II wojny światowej, niekiedy nawet z każdym wypadku akurat takich modeli, jakie w 1940 roku walczyły nad Wielką Brytanią i kanałem La Manche. Na pokładzie amerykańskiego bombowca B-25, dla bezpieczeństwa pomalowanego w jaskrawe kolory, umieszczono platformę operatorską. Aby wzbogacić obraz o optykę pilotów brytyjskich, operatorzy filmowali także z dwóch treningowych spitfire’ów.

Film, który rozpoczyna się scenami ewakuacji z pokonanej Francji brytyjskich myśliwców, znakomicie ukazuje kolejne fazy powietrznej bitwy o Wyspy Brytyjskie. Początkowo młodzi piloci, po obu stronach, wręcz rwali się do walki. Z czasem, w obliczu coraz większych strat, nastroje uległy wyraźnemu pogorszeniu, co udało się autorom filmu pokazać nader sugestywnie. Niemcy mieli zresztą zdecydowaną przewagę. Luftwaffe dysponowała bowiem początkowo 990 myśliwcami i 1640 bombowcami wobec 600 myśliwców i 400 bombowców Royal Air Force. Pierwotnie niemieckie samoloty bombardowały wyłącznie lotniska, stacje radiolokacyjne i inne obiekty wojskowe, a dopiero po kilku tygodniach zaatakowały angielskie miasta, w tym także Londyn. Zdjęcia bombardowanej stolicy kręcono w wyburzanej w końcu lat sześćdziesiątych dzielnicy St. Katharine Docks, która, szczęśliwym trafem, w czasie nalotów w 1940 roku uniknęła większych zniszczeń. Autorzy jak gdyby przy okazji pokazali, że wojna w rozmaity sposób dosięga wszystkich ludzi. Mam tutaj na myśli przedstawione w filmie, w sumie dość przypadkowe, ale przecież przez to wcale nie mniej tragiczne, ofiary wśród teoretycznie bardziej bezpiecznej ludności cywilnej. ■

PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

Ankieta

Jak oceniasz miesięcznik „Polska Zbrojna” i portal polska-zbrojna.pl?



📄 Ankieta oraz regulamin konkursu:
www.polska-zbrojna.pl/ankieta.

Drogi Czytelniku.

Zapraszamy Cię do podzielenia się uwagami na temat miesięcznika „Polska Zbrojna” i portalu polska-zbrojna.pl.

Twoje opinie zostaną uwzględnione przy przygotowaniu kolejnych wydań miesięcznika oraz serwisu internetowego.

Uczestników ankiety zapraszamy do udziału w **konkursie z nagrodami** w postaci: prenumerat miesięcznika „Polska Zbrojna”, książek, albumów, wydawnictw okolicznościowych i innych materiałów promocyjnych.

PYTANIE KONKURSOWE: Czytam „Polską Zbrojną”, ponieważ...

Nagrody czekają na autorów najciekawszych odpowiedzi.

Warunkiem udziału w konkursie jest przesłanie wypełnionej ankiety, odpowiedzi na pytanie konkursowe (do 500 znaków) oraz danych kontaktowych.

Wypełnione ankiety oraz odpowiedzi na pytanie konkursowe prosimy przysyłać do **15 września 2015 r.** pocztą na adres organizatora: Wojskowy Instytut Wydawniczy, Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa, lub pocztą elektroniczną na adres e-mail: ankieta@zbrojni.pl.

CZĘŚĆ I – PREFERENCJE CZYTELNIKA

Co czytasz?

- ☐ miesięcznik „Polska Zbrojna”
- ☐ portal polska-zbrojna.pl
- ☐ miesięcznik „Polska Zbrojna” i portal www.polska-zbrojna.pl

Czytam, bo jestem:

- ☐ żołnierzem zawodowym
- ☐ pracownikiem wojska
- ☐ osobą związaną z bezpieczeństwem narodowym spoza resortu obrony narodowej
- ☐ dziennikarzem lub pracownikiem mediów
- ☐ studentem lub uczniem
- ☐ nie należę do żadnej z powyższych kategorii – czytam, ponieważ interesuję się tematyką bezpieczeństwa i wojskowości

Jaką tematykę preferujesz?

- ☐ ćwiczenia i poligony
- ☐ misje
- ☐ sprawy socjalne żołnierzy
- ☐ sprzęt wojskowy
- ☐ porady prawne
- ☐ geopolityka (strategia i bezpieczeństwo)
- ☐ historia
- ☐ kultura
- ☐ sport

Jakie inne wydawnictwa WIW czytasz?

- ☐ „Przegląd Sił Zbrojnych”
- ☐ „Kwartalnik Bellona”
- ☐ „Kurier Weterana”
- ☐ „Prezentuj Broń”
- ☐ nie znam innych wydawnictw WIW

CZĘŚĆ II – TWOJA OPINIA O NAS

MIESIĘCZNIK „POLSKA ZBROJNA”

Wskaż najmocniejsze strony miesięcznika „Polska Zbrojna”

- ☐ układ gazety
- ☐ szata graficzna
- ☐ zdjęcia, infografiki
- ☐ dobór tematów
- ☐ aktualność treści
- ☐ zawartość merytoryczna
- ☐ opinie ekspertów
- ☐ wiarygodność informacji
- ☐ język artykułów
- ☐ dostępność miesięcznika

Wymień najsłabsze strony miesięcznika „Polska Zbrojna”

- ☐ układ gazety
- ☐ szata graficzna
- ☐ zdjęcia, infografiki
- ☐ dobór tematów
- ☐ aktualność treści
- ☐ zawartość merytoryczna
- ☐ opinie ekspertów
- ☐ wiarygodność informacji
- ☐ język artykułów
- ☐ dostępność miesięcznika



PORTAL POLSKA-ZBROJNA.PL:

Wskaż najmocniejsze strony portalu polska-zbrojna.pl

- ☐ szata graficzna/layout
- ☐ zdjęcia, infografiki
- ☐ materiały wideo
- ☐ nawigacja
- ☐ dobór tematów
- ☐ aktualność treści
- ☐ opinie ekspertów
- ☐ wiarygodność informacji
- ☐ język artykułów
- ☐ stabilność strony

Wymień najsłabsze strony portalu polska-zbrojna.pl

- ☐ szata graficzna/layout
- ☐ zdjęcia, infografiki
- ☐ materiały wideo
- ☐ nawigacja
- ☐ dobór tematów
- ☐ aktualność treści
- ☐ opinie ekspertów
- ☐ wiarygodność informacji
- ☐ język artykułów
- ☐ stabilność strony

Zaproponuj zagadnienia, które w Twojej ocenie powinny zostać poruszone na łamach miesięcznika „Polska Zbrojna” lub portalu polska-zbrojna.pl

Jakie zachęty mogą Cię przekonać do zakupu prenumeraty miesięcznika „Polska Zbrojna”?

CZĘŚĆ III – NASZ CZYTELNIK

Płeć

- ☐ kobieta ☐ mężczyzna

Wiek

- ☐ <15 ☐ 15–30 ☐ 31–45 ☐ 46–55 ☐ >55

Miejsce zamieszkania:

- ☐ miejscowość powyżej 1 mln mieszkańców
☐ miejscowość powyżej 200 tys. do 1 mln mieszkańców
☐ miejscowość powyżej 50 tys. do 200 tys. mieszkańców
☐ miejscowość powyżej 10 tys. do 50 tys. mieszkańców
☐ miejscowość powyżej 1 tys. do 10 tys. mieszkańców
☐ miejscowość poniżej 1 tys. mieszkańców

Przedział dochodów netto, w którym byś się umiejscowił:

- ☐ poniżej 1 tys. ☐ od 1 do 3 tys.
☐ od 3 do 5 tys. ☐ od 5 do 10 tys.
☐ powyżej 10 tys. ☐ nie podaję

Wielkość gospodarstwa domowego:

- ☐ 1 os. ☐ 2 os. ☐ 3 os. ☐ 4–5 os. ☐ powyżej 5 os.

Zainteresowania:

- ☐ historia
☐ sport
☐ turystyka
☐ motoryzacja
☐ nowe technologie
☐ lotnictwo
☐ fotografia
☐ inne

Wykształcenie:

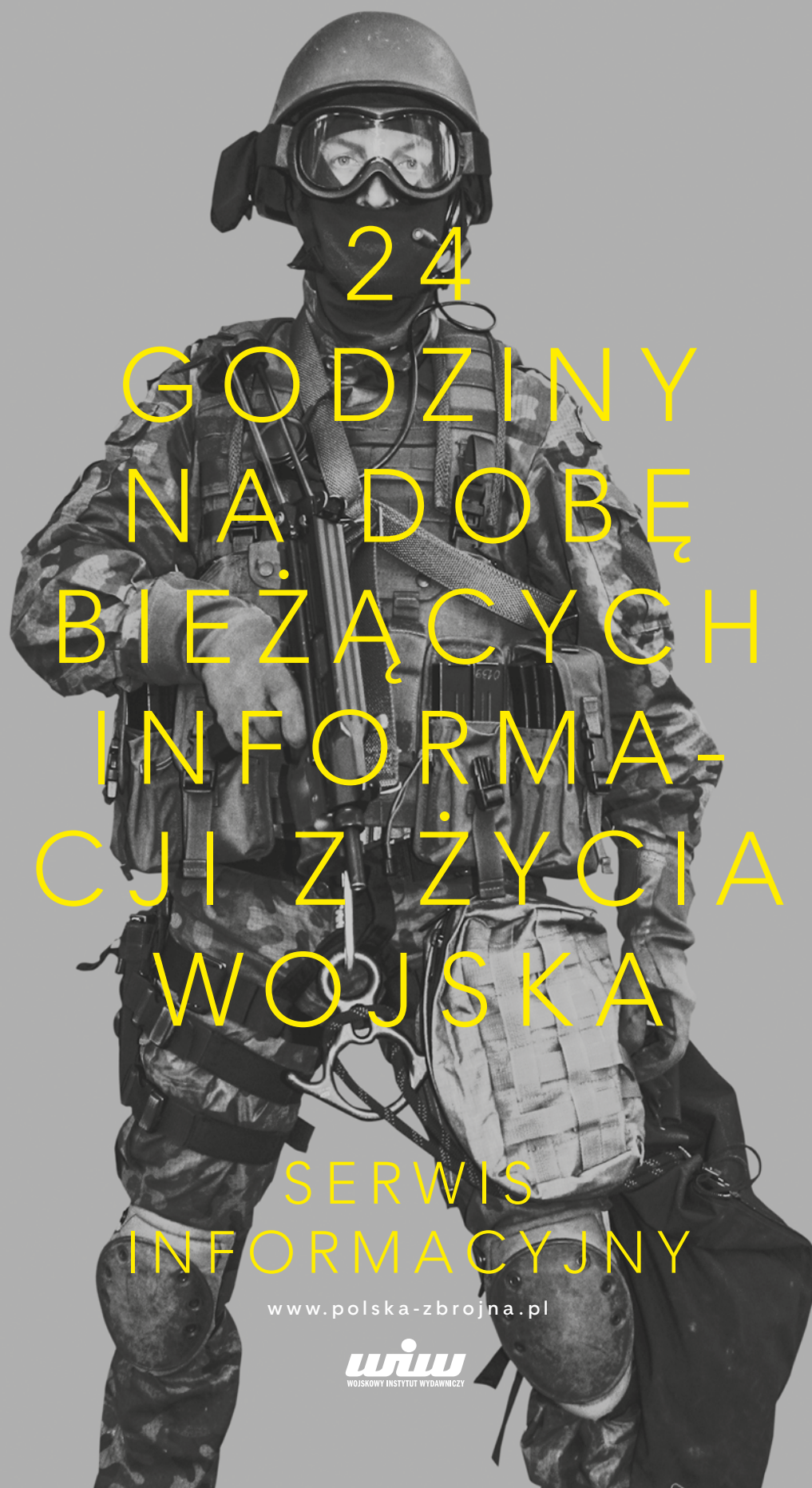
- ☐ wyższe ☐ średnie ☐ zawodowe ☐ gimnazjalne

Dane kontaktowe – udział w konkursie. Podaj adres e-mail lub inny adres do korespondencji:

- ☐ Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Wojskowy Instytut Wydawniczy z siedzibą przy Al. Jerozolimskich 97, 00-909 w Warszawie dla potrzeb związanych z analizą opinii oraz budową profilu czytelnika wydawnictw WIW.



POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

200 stron **fotografii lotniczych** *zespołów akrobacyjnych z całego świata*



*Obejrzyj
fragment
albumu*

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400